

Intrygująca opowieść o kobiecie,
która została wybrana, by czynić dobro.

KAROLINA WILCZYŃSKA

*Anielski
kokon*



Anielski
kokon

KAROLINA WILCZYŃSKA

Anielski
kokon



Copyright © Karolina Wilczyńska, 2019
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Joanna Pawłowska
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Projekt okładki: Magda Bloch
Fotografia na okładce: egal / depositphotos.com
Fotografia autorki: Studio Fot Molly Polly

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-102-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Człowieku! Gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,
I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze,
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli – szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz (...)
A. Mickiewicz, *Dziady*, cz. III



I

„Masz nową wiadomość”.

Mała koperta na monitorze migotała, nie pozwalając Oldze skupić się na kolumnach cyfr. Dziewczyna westchnęła i próbowała zignorować mrugającą ikonkę. Musiała skończyć ważny raport, „na wczoraj”, jak powiedział szef, i nie po to została po godzinach w dusznym biurze, żeby zajmować się sprawdzaniem poczty.

Starła się skoncentrować na raporcie, ale jakby wbrew jej woli wzrok wciąż kierował się na ikonkę. Zrozumiała, że dopóki nie sprawdzi, kto do niej napisał, nie uda jej się skupić na niczym innym.

Z westchnieniem potarła dłońmi twarz i skierowała kursor myszy na „Odbierz”. *Może to szef przesyła dodatkowe wskazówki, usprawiedliwiła się. Lepiej sprawdzić niż potem poprawiać.*

Monitor zamigotał i oczom Olgi ukazało się tylko jedno zdanie napisane dużymi literami na błękitnym tle.

– ZOSTAŁAŚ WYBRANA, BY STAĆ SIĘ ANIOŁEM – przeczytała na głos, mając nadzieję, że to pomoże jej zrozumieć sens informacji, ale nadal nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Spojrzała na adres nadawcy. Ananke – to słowo z niczym jej się nie kojarzyło. Taki adres elektroniczny mógł mieć każdy korzystający z poczty dużego portalu.

To jakiś głupi dowcip, zdecydowała.

Skoro już los chciał, żeby zrobiła sobie przerwę, postanowiła napić się kawy. Burczało jej w brzuchu, ale nie miała ochoty na jedzenie. Wiedziała z doświadczenia, że kiedy jest głodna, szybciej pracuje. Zresztą nigdy nie zabierała do pracy kanapek. Denerwowało ją to celebrowanie śniadań przez koleżanki. Poza tym nie lubiła jeść w miejscach publicznych, kiedy ktoś na nią patrzył, nie mogła przełknąć ani kęsa.

W pracy pozwalała sobie jedynie na wypicie kawy. Musiała być taka, jaką Olga lubiła najbardziej. Z dwóch łyżeczek, niezbyt czubatych, ale i nie płaskich – jeśli będzie jej zbyt dużo lub zbyt mało, to kawa do niczego. Potem woda. Trochę więcej niż pół kubka, ale mniej niż dwie trzecie. Olga oceniła poziom płynu w kubku i dołąła jeszcze odrobinę, dosłownie dwie krople. Teraz dobrze. Trzy łyżeczki cukru i uzupełnić mlekiem, ale takim zwyczajnym, z kartonu. Skondensowane lub śmietanka nie wchodziły w grę. Jeżeli nie miała mleka – rezygnowała z kawy. Dziś miała mleko i cukier – kawa była pyszna. Stała przy oknie z kubkiem w dłoni. Starła się nie zauważać pędzących samochodów, próbowała zatrzymać wzrok na koronach drzew rosnących wzdłuż ulicy. Lubiła patrzeć na zieleń, to zawsze ją uspokajało.

Po drugiej stronie pod kasztanowcem stał młody mężczyzna. Patrzył w kierunku biurowca; wyglądało, jakby na kogoś czekał. Olga wiedziała, że nikogo prócz niej już nie ma w biurze, poza portierem, rzecz jasna, ale wątpiła, by młody człowiek czekał właśnie na niego. *Na mnie też nie czeka, pomyślała. To akurat wiem na pewno. Chociaż mógłby, bo z daleka wygląda całkiem zachęcająco.*

Upiła łyk kawy i wróciwszy do biurka, odstawiła kubek jak najdalej od równiutko ułożonych wydruków tej części raportu, którą już skończyła. Nie chciała ryzykować katastrofy i dodatkowej straty czasu. Naczynie zadźwięczało w momencie zetknięcia z blatem, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę. Olga spojrzała na nie, zatrzymując wzrok kilka sekund dłużej niż zwykle. Na kubku, jej ulubionym zresztą i najlepszym do kawy, namalowany był aniołek.

Wszyscy znali tę słabość Olgi. Uwielbiała aniołki. Były wszędzie – na jej obrazkach, na naczyniach, nawet na pościeli. Zbierała ich figurki, więc znajomi nigdy nie mieli kłopotów z prezentem dla niej, a kolekcja powiększała się z roku na rok.

Zyskała pewność, że otrzymana wiadomość była żartem. Pewnie

informatycy się nudzili.

Swoją drogą, to powinni raczej zająć się obowiązkami, pomyślała z przekąsem. Przeczytanie wszystkich wiadomości wysyłanych ze służbowych komputerów zajmuje przecież trochę czasu.

To, że poczta elektroniczna jest przeglądana przez kogoś poza nią, zauważyła już dawno. Bywało, że szef pytał ją o coś, o czym nie mógł wiedzieć, o sprawy rodzinne lub osobiste. Najpierw była zdziwiona, pytała, skąd o tym wie, a tłumaczenia, że musiała mu kiedyś o tym wspomnieć, w ogóle jej nie przekonywały. W końcu odkryła prawidłowość – ilekroć napisała e-mail do znajomych, tylekroć szef znał nowe szczegóły z jej życia. Dla uzyskania ostatecznej pewności zaczęła pisać peany na cześć przełożonego. Efekt był natychmiastowy – premia była wyższa niż zazwyczaj i szef lepiej ją traktował.

Skoro mogą czytać moje listy i jeszcze zachciewa im się głupich dowcipów, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby im się zrewanżować, zdecydowała Olga.

DZIĘKUJĘ, ALE BRAK CZASU NIE POZWALA MI NA PRZYJĘCIE DODATKOWYCH OBOWIĄZKÓW. TYM BARDZIEJ ŻE NIE MA ANI SŁOWA O WYNAGRODZENIU – wystukała na klawiaturze i wysłała do nadawcy głupiego listu. Proszę bardzo, niech ma nauczkę.

Spojrzała na zegarek i poczuła złość. Straciła prawie godzinę. Nie dotrze do domu przed ósmą, a Gabi czeka i jest już z pewnością bardzo głodny. Na dodatek, jak na złość, za nic nie mogła skupić się na raporcie.

Do roboty, do roboty, przywoływała się do porządku, bo jak dasz plamę, to jutro nie pomoże nawet najbardziej chwalebny e-mail o szefie.

Zerknęła w okno. Mężczyzna nadal stał pod drzewem. Wzruszyła ramionami i wróciła do pracy. Po chwili wystukiwała kolumny cyferek, dopisywała komentarze. Drukarka szumiała miarowo, wypluwając kolejne kartki.

Dwie godziny później raport był gotowy. Olga przeciągnęła się

w fotelu i dopiła kawę, czekając na ostatnie strony wydruku. Równiutko ułożyła efekt swojej popołudniowej pracy i poszła do łazienki umyć kubek. Zawsze to robiła, nie zniosłaby rano widoku naczyń z zaschniętymi resztkami naparu. Teraz pozostało już tylko wyłączenie komputera...

„Masz nową wiadomość”.

BYCIE ANIOŁEM TO NIE PRACA, TO POWOŁANIE.

Tego już za wiele! Nerwowo pozamykała programy i wyłączyła komputer. Chwyciła torebkę i potrącając w biegu stosik ułożonych przed chwilą kartek, ruszyła w stronę drzwi.

Pozbieram rano, zdecydowała, zamykając pokój na klucz. Szybko, stukając obcasami, zbiegła po schodach do piwnicy, gdzie znajdowała się siedziba informatyków. Miała zamiar zrobić im najnormalniejszą w świecie awanturę. Nacisnęła klamkę, bez skutku. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze raz. Nic z tego. Zakłęła w myślach i z bezsilności kopnęła w metalowe drzwi. Ból palców sprawił, że emocje nieco opadły. Lekko utykając, wróciła na parter. Miała dość, chciała być już w domu, napić się herbaty.

– Czy informatycy dawno wyszli? – zapytała portiera, podbijając kartę pracy, co czyniła skrupulatnie, choć jeszcze nigdy nie zapłacono jej za nadgodziny.

– Dawno, pani Olgo, zaraz po szesnastej. – Pan Janek podniósł głowę znad gazety i przyjrzał się jej uważnie. – Jakiś problem ze sprzętem? Bo coś niewyraźnie pani wygląda...

– Nie, zmęczona jestem i tyle. Do jutra, panie Janku.

– Do widzenia pani. – Portier wrócił do kontemplacji wdzięków rozebranej panienki w gazecie.

Olga pchnęła ciężkie drzwi i z ulgą poczuła świeże powietrze. Nareszcie! Spacer do domu dobrze jej robi, a za rogiem pewnie czeka już Gabi. Kupi mu coś pysznego na kolację i spędzą miły wieczór.

Przechodząc przez ulicę, znowu zauważyła młodego mężczyznę. Stał tam, gdzie widziała go kilka godzin temu, pod tym samym drzewem. Patrzył na nią. Poczowała nieprzyjemny dreszcz na

plecach. Odwróciła wzrok i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu. Skręcając za róg, dyskretnie sprawdziła, czy mężczyzna za nią nie idzie. Nie, wciąż stał pod drzewem, na szczęście.

Co za dzień! Olga pokręciła głową z niedowierzaniem.



Wieczory, które spędzała w domu, właściwie nie różniły się od siebie. Prawdę powiedziawszy, większość z nich spędzała w domu. Te nieliczne, kiedy wychodziła gdzieś z Gaborem, zawsze były pełne wrażeń. Nazywała je nawet „przepełnionymi”, bo po kilku godzinach w modnych klubach lub restauracjach, w gwarze rozmów, przy hałaśliwej muzyce, z niezliczoną ilością przyjaciół i znajomych Gabora wracała do domu zmęczona. Jemu nigdy się do tego nie przyznała, bo bała się, że nie zrozumie, o co jej chodzi. Nie wyobrażała sobie, że zaakceptowałyby sobotni wieczór w maleńkiej knajpce przy kieliszku wina i cichej muzyce, która nie przeszkadza w rozmowie. A tak właśnie Olga wyobrażała sobie spotkanie, podczas którego i po którym czułaby się szczęśliwa i zrelaksowana. I kochana. Nie żeby nie wierzyła w miłość Gabora, skądże! Tylko że on w takiej sytuacji zanudziłby się na śmierć.

Olga nigdy nie potrafiła w relacjach z Gaborem postawić na swoim. Było to o tyle zadziwiające, nawet dla niej samej, że zwykle nieźle sobie radziła, osiągała zamierzone cele. I chociaż najczęściej wiązało się to raczej z ciężką pracą niż wykrzykiwaniem swoich racji lub zmuszaniem ludzi do robienia tego, co ona chce, to i tak mogła nieskromnie mówić, że dobrze jej się w życiu układa.

Tak czy siak, z Gaborem było inaczej. Nie umiała się przeciwstawić temu wulkanowi energii, którą nieustannie tryskał. Obawiała się, że jeżeli i ona energiczniej zaczęłaby upierać się przy swoim zdaniu, ich związek mógłby eksplodować. Próbowwała więc ostudzić nieco jego temperament, przystopować chęć wrywania z życia tego, co najlepsze, jakby na zapas, żeby najeść się do syta, bo może braknąć albo nie wystarczy czasu. Studziła więc, ale bez większych efektów, za to w ciągu kilku wspólnie spędzonych

godzin zużywała tak dużo energii, że długo nie mogła przyjść do siebie po każdej takiej eskapadzie.

Wydawało jej się, że Gabor wyczuwał jej niechęć do jego stylu życia. Może właśnie dlatego nie spotykali się często. I choć on nazywał ją „swoją dziewczyną”, to Olga miewała wątpliwości, czy tak powinien wyglądać związek dwojga kochających się osób. Kiedyś, na początku znajomości, podobała jej się ciągła zabawa, ruch, taniec, picie drinka za drinkiem, nawet poranny kac nie wydawał się straszny, bo warto było.

Kiedyś... bo od jakiegoś czasu coraz bardziej denerwowali ją ci wszyscy ludzie mówiący tylko o nic nieznaczących bzdurach, żyjący pracą i wieczornym wydawaniem zarobionych pieniędzy. Czuła, że to wszystko jest takie płytkie, że nie ma w tym szczerości, prawdziwych uczuć, w dusznych i hałaśliwych lokalach nie czuła się szczęśliwa ani kochana. Były tam tylko dym tytoniowy, alkohol i strach – przed przyszłością, starością, utratą pracy, partnera, i jeszcze wieloma innymi rzeczami. Tak, w tych wszystkich miejscach tak śmierdziało strachem, że nie mógł go zabić nawet zapach drogich perfum i dużych pieniędzy.

Nie sądziła, żeby w ten sposób można było długo żyć, nie uważała, żeby takie życie było cokolwiek warte. Nie chciała, żeby ten wstrętny zapach i za nią ciągnął się jak welon. Nie miała pojęcia, co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi, ale przeczuwała, że nic dobrego. Niepokoiło ją to, denerwowało i potęgowało jej własny strach.

Gabor pojawił się w jej życiu zupełnie nieoczekiwanie. Wyskoczył niczym diabeł z pudełka pewnego wieczoru, kiedy w towarzystwie koleżanek jadła obiad w małym barze. Doskonale pamięta tamto popołudnie. Siedziały przy małym stoliku, na którym z trudem mieściły się talerze. Ciągłe poszturchiwanie sąsiadek wywoływało serie chichotów. *Prawdę mówiąc, pomyślała Olga, zachowywałyśmy się wtedy jak nastolatki. Nie rozumiem, co mogło go w nas zainteresować, bo nasze zachowanie musiało być raczej żenujące.*

Przechodząc obok szafki nocnej, machinalnie wzięła do ręki zdjęcie Gabora i przysiadła na łóżku. Patrzyła w brązowe oczy, czarną, dobrze przystrzyżoną czuprynę i biel zębów widocznych w uśmiechu. Te zęby...

Od początku przykuły jej uwagę. Już wtedy, gdy podszedł do stolika i zapytał:

– Czy mają panie kartę?

Pytanie było zupełnie bez sensu, bo kto widział kartę dań w małym bistro. Ponieważ mężczyzna nie wyglądał na idiotę, zinterpretowały jego słowa jako próbę zawarcia znajomości. I zachichotały po raz kolejny. Wszystkie prócz Olgi, bo ta zamarła wpatrzona w jego uśmiech. Te zęby... Białe, równiutkie jak z reklamy pasty, tylko że było ich jakby za dużo. Skojarzyły jej się z rekinem, który ma ich kilka rzędów; na miejsce złamanych odrastają mu nowe. Tak, Olga doskonale pamięta, że na tę myśl zrobiło jej się nagle zimno i na jej rękach pojawiła się gęsia skórka. Nagle zorientowała się, że mężczyzna zwraca się do niej.

– Może pan powtórzyć? – poprosiła. – Nie słyszałam, co pan mówił.

– Pytałem, co pani może mi polecić. – Znowu szeroki uśmiech.

– Przy barze jest wszystko wypisane, chyba umie pan czytać?

– Zrobię, co w mojej mocy. Dzięki za radę.

Odszedł w kierunku baru, a koleżanki natychmiast na nią napadły:

– Jak mogłaś się tak zachować! Taki przystojniak! – Kaśka była niepokieszona. Wieczna łowczyni, kolekcjonerka mężczyzn, nie mogła ścierpieć, że taka okazja uciekła jej sprzed nosa.

– Oślepiłaś czy coś cię ugryzło?! Ty widziałaś, jakie on ma oczy?! A jakie zęby?! Z przyjemnością dałabym się pogryźć! – Izka także była podekscytowana, co u niej objawiało się zawsze podniesionym tonem i nerwową gestykulacją.

Te zęby...

– Drogie panie, nie jestem istotą krwiożerczą... – Nieznajomy wrócił do ich stolika. – Ale jeśli którejsz z pań zależy, to mogę

delikatnie podgryźć.

Dziewczyny zachichotały po raz setny, a Oldze wydało się, że widzi przez ułamek sekundy, jak nowo poznany mężczyzna szarpie swoimi pięknymi zębami kawał surowego mięsa. Widziała strużki krwi płynące z kącików ust, dzikość oczu i te zęby... Zrobiło jej się niedobrze, czuła, że jeśli nie wyjdzie, to zwróci zjedzony przed chwilą obiad. Wstała, potrącając krzesło, i bez żadnych wyjaśnień, rzucając tylko ogólne „do widzenia”, wyszła z baru. Świeże powietrze otrzeźwiło ją nieco, ale wspomnienie krótkiej wizji nie dawało spokoju.

Wieczorny telefon od mężczyzny z baru przyjęła z niechęcią. Najpierw próbowała kłamać, że nie pamięta go, ale on był uparty. Poza tym okazał się czarującym rozmówcą i sama nie wiedziała, kiedy zgodziła się pójść z nim do kina. Spędziła bardzo przyjemny wieczór. Chociaż wtedy nie był jej chłopakiem, czuła ukłucia zazdrości, widząc, jak kobiety na niego patrzyły. Trudno jej było to zrozumieć, bo ciągle pamiętała przedpołudniowe skojarzenia, ale Gabor tak bardzo się o nią troszczył tego wieczoru i podczas kolejnych spotkań, że wkrótce wspomnienia zbladły. Zdarzało się jedynie, że miewała sny, których był bohaterem – i nie były to sny erotyczne, ale raczej koszmary. Chyba gdzieś głęboko w jej podświadomości wciąż istniał Gabor rekin...

W zamyśleniu pogłaskała zdjęcie i westchnęła. Słyszając to westchnienie, Gabi wskoczył na pościel i polizawszy Olgę po rękę, ułożył się, dotykając zimnym nosem jej uda.

– Dobry piesek. – Podrapała pupila za uchem. – Tak, tak, ty wiesz, kiedy jestem smutna...

Często zastanawiała się, dlaczego Gabor wybrał właśnie ją. Uważała, że koleżanki, z którymi była tamtego dnia w barze, są atrakcyjniejsze i bardziej warte zainteresowania mężczyzny takiego jak Gabor. Zresztą one podzielały ten pogląd i też się dziwiły. Straszły ją czasem, że jeżeli nie będzie się bardziej starała, to z pewnością nie zatrzyma go przy sobie. A Olga jakoś nie chciała się starać. To Gabor się starał, a jej to bardzo

odpowiadało. Wprowadził ją w świat najlepszych knajp w mieście, do towarzystwa młodych ludzi, którzy robili karierę w biznesie, mieli pieniądze i w wolnym czasie lubili je wydawać. Zasmakowała w tym i nawet zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie przyszło jej do głowy, że można tak przyjemnie spędzać czas. Nikt z nowych znajomych nie miał kłopotów, a jeżeli nawet, to nie mówiło się o tym. Dobry alkohol, czasami dodatkowy doping czyniły świat kolorowym, zabawnym i pozwalały znaleźć dość sił, żeby z tego wszystkiego korzystać. Tak, wtedy bardzo jej się to podobało...

Olga zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć, kiedy to się zmieniło. Nie pamiętała dokładnie, ale chyba to były urodziny Gabora. Zaprosił najbliższych znajomych, tak twierdził, pojawiło się kilkadziesiąt osób. Nie było w tym nic dziwnego, bo wieści o imprezach rozchodzą się szybko, a klub to nie mieszkanie i przyjść może każdy. Na urodziny dostał od kogoś maskotkę. Olbrzymią. Pluszowego rekina.

– Dla najbardziej drapieżnego młodego rekina biznesu! – krzyczeli znajomi, o ona zbladła.

– Co ci jest? Słabo ci? – Gabor natychmiast zauważył zmianę na jej twarzy. Zawsze wszystko zauważał, jakby czuł to samo co ona.

Burknęła coś pod nosem i poprosiła o wezwanie taksówki. Kiedy czekała na jej przyjazd, Gabor troskliwie obejmował ją ramieniem. A ona zamiast radości czuła niepokój. Salę rozświetlały kolorowe reflektory, mnóstwo migających świateł, ale czuła, że w kątach jest mrocznie i niebezpiecznie. I ramię Gabora nie tłumilo tego lęku. A przecież powinno.

Jadąc taksówką przez miasto, widziała co innego niż zwykle. Neony nie świeciły tak jasno jak zawsze, latarnie uliczne przygasały. W bramach stali pijani mężczyźni, każdy zakamarek pełen był dziwnych cieni. W domu rzuciła się na łóżko, nawet nie zdejmując butów, i zasnęła głębokim, lecz pełnym koszmarów snem, w którym walczyła z rekinem w brudnej i śmierdzącej wodzie.

Nigdy więcej nie miała podobnych koszmarów, związek

z Gaborem trwał i nie mogła mu właściwie nic zarzucić. Dlaczego wspomnienia wróciły właśnie dziś?

Dzwonek telefonu gwałtownie wyrwał ją z zamyślenia. Wzdrygnęła się, bo przez chwilę nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Telefon dzwonił uparcie, więc odstawiła ramkę ze zdjęciem na miejsce i poszła do przedpokoju odebrać telefon.

– Dziecko kochane, dzwonię i dzwonię. Dlaczego nie odbierasz? – usłyszała głos matki. – Już myślałam, że coś się stało. Kiedyś zawału przez ciebie dostanę. – Potok wypowiedzianych z wyrzutem słów bombardował uszy Olgi. Matka zawsze tak zaczynała rozmowę; choćby Olga podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku, i tak usłyszałyby, że matka dzwoni i dzwoni...

– Przepraszam, mamó. Położyłam się na chwilę i chyba zasnęłam.

– Przed dziesiątą? To co ty w nocy będziesz robiła, jak teraz śpisz? Pamiętaj, żeby wypić szklankę ciepłego mleka, zanim znowu się położysz, bo inaczej jutro będziesz niewyspana.

– Dobrze, mamó, będę pamiętała. – Olga, wyrwana brutalnie z zamyślenia, wciąż jeszcze nie do końca powróciła do rzeczywistości.

– Masz jakiś dziwny głos. Źle się czujesz? Przeziębilaś się? Zawsze ci powtarzam, że nie ubierasz się odpowiednio do pogody. Jak mieszkaliśmy razem, to jeszcze mogłam nad tym zapanować, ale teraz robisz, co chcesz. I sama widzisz, jakie są skutki. Wezwij lekarza, teraz łatwo o powikłania.

– Jestem zdrowa, mamó – Olga przerwała słowotok matki – tylko zmęczona. Pracowałam prawie do ósmej, kończyłam raport. Zadzwoń jutro, dobrze?

– Jutro, jutro, tylko tyle masz do powiedzenia matce? – Rozżalony głos po drugiej stronie sprawił, że dziewczyna zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Jak zawsze podczas rozmowy z rodzicielką. – Ty za dużo pracujesz. Nie można tak. Zaharowujesz się, a i tak nikt tego nie docenia. Za taką pracę to już dawno powinnaś awansować albo chociaż podwyżkę dostać.

Popatrz na Gabora, on sobie świetnie radzi. Tak jak on powinnaś iść śmiało do przodu, niech wreszcie inni pracują na ciebie. Kiedy porozmawiasz z szefem o podwyżce? Gabor mówił, że trzeba walczyć o swoje.

– Tak, Gabor, Gabor... – pomyślała na głos Olga.

– Pokłóciłaś się z nim? Nic nie mówił. Co ci się znowu w nim nie podoba? To wspaniały chłopak i ma czas, żeby do mnie zadzwonić. Częściej to robi niż moja własna córka. – Znowu płaczliwy ton. – Szanuj go, dziecko, bo lepszego nie znajdziesz. On mi co prawda złego słowa na ciebie nie powie, ale ja wiem, że lekko z tobą nie ma. Ty nigdy nie wiedziałaś, czego chcesz i co dla ciebie dobre. O wszystko to ja musiałam zadbać. A teraz jak ci się trafiło takie szczęście, jak ślepej kurze ziarno, to jeszcze grymasisz. Przepróż go natychmiast!

Olga przyzwyczajona była do tego, że matka w jednej sekundzie płacze, a zaraz potem twardym głosem wydaje rozkazy. Nie potrafiła pojąć, jak można tak szybko przechodzić z nastroju w nastrój, i zawsze ją to denerwowało.

– Nie pokłóciłam się z Gaborem, bądź spokojna. A teraz muszę kończyć, bo naprawdę jestem zmęczona. Chcę się położyć. Dobranoc, mamó – chłodno zakończyła rozmowę i zaraz po odłożeniu słuchawki znowu poczuła wyrzuty sumienia.

Relacje Olgi z matką ostatnio jeszcze się pogorszyły. Zwłaszcza od czasu, kiedy postanowiła wyprowadzić się z domu. Kiedy poinformowała rodzicielkę o swojej decyzji, ta zrobiła awanturę; płacz na przemian z wykrzykiwanymi wyrzutami i zakazami słychać było chyba w całej dzielnicy. Dopiero Gabor, którego matka darzyła niezwykłą sympatią, zdołał ją przekonać i Olga mogła zamieszkać w kawalerce odziedziczonej po dalekiej krewnej. Starsza z kobiet narzekała, że rodzona córka pozbawia ją części dochodu, bo dotąd wynajmowała mieszkanie studentom, ale kiedy Olga zaproponowała, że będzie jej dawać co miesiąc taką samą kwotę, matka obraziła się i szlochając, oznajmiła, że własna córka ma ją za potwora i że nie zamierza zabierać pieniędzy własnemu

dziecku, i że prędzej będzie żebrać, niż weźmie od niej choćby grosz. Minął rok, a matka dotąd nie żebrała, nie wyglądało też, aby czegoś jej brakowało. Po prostu zawsze lubiła postawić na swoim, nie znosiła, kiedy ktoś sam decydował, a kiedy tym kimś była na dodatek Olga, to już w ogóle nie mieściło jej się to w głowie.

Zresztą, co tu kryć, samej Oldze trudno było to pojąć. Przyzwyczajona od dziecka do posłuszeństwa wobec matki, karmiona przypomnieniami, że winna jest matce wdzięczność za trud samotnego wychowywania, tylko dzięki wsparciu Gabora zdobyła się na pierwszy poważny bunt i pewnie gdyby nie jego interwencja, nigdy nie doprowadziłaby sprawy do końca. Zawsze ulegała. Tłumaczyła sobie, że to dla świętego spokoju, ale tak naprawdę nie czuła się na siłach, żeby walczyć z wyrzutami matki. Zwycięstwo przyszło nieoczekiwanie, a jego ceną były ciągłe telefony i konieczność wysłuchiwanie mnóstwa dobrych rad, pouczeń i żalów. Oraz wyrzuty sumienia, których nie potrafiła się pozbyć.

Olga zerknęła na zegarek. Zrobiło się naprawdę późno i wiedziała, że jeżeli zaraz się nie położy, to jutro rzeczywiście nie zachwyci szefa swoim wyglądem. Wzięła prysznic i pomna obietnicy danej matce wypila kubek ciepłego mleka. Oczywiście tamta nie mogła tego widzieć, ale wypicie mleka zmniejszyło nieco Olgowe poczucie winy. Zasnęła szybko, spała mocno, bez sennych marzeń, tak jak śpią ludzie, dla których sen jest prawdziwym odpoczynkiem od rzeczywistości.



Marianna z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Było jak zawsze. Ta dziewczyna nigdy się nie zmieni. Prawie trzydzieści lat mordegi na nic. A przecież każdego dnia starała się robić, co w jej mocy, żeby to dziecko wyrosło na ludzi. I nic! Żadnej wdzięczności, ani odrobiny starania, żeby nie zawieść matczynej nadziei. Zresztą niczego innego nie można było się spodziewać. Widać

odziedziczyła geny po tym łajdaku, swoim, pożał się Boże, ojcu.

Marianna usiadła w ulubionym fotelu i sięgnęła w kierunku stoliczka, na którym stała szklanka z herbatą. Swoim zwyczajem nie piła wprost ze szklanki, ale nabierała płynu na łyżeczkę. Siorbała przy tym głośno, bo odkąd córka wyprowadziła się z domu, nie było już nikogo, dla kogo mogłaby być wzorem do naśladowania. No właśnie, tyle lat się starała i pilnowała na każdym kroku, żeby dziecko widziało odpowiedni wzorzec postępowania. Skoro już nie miała ojca, to matka powinna starać się za dwoje. Tak uważała Marianna.

Córka pytała o ojca raz czy dwa, ale nie mogła usłyszeć nic dobrego. Jak tu zresztą mówić dobrze o człowieku, który nie potrafi sprostać obowiązkom. Nie kazała mu przecież, żeby ją kochał. Dziecka też nie musiał, ale powinien stanąć na wysokości zadania. Spłodził, to niech wychowuje i pomaga. A ten łajdak nic. Kiedy tylko się dowiedział – zaraz zwiął. Zostawił Mariannę z brzuchem, bez pieniędzy i męskiego wsparcia.

Westchnęła ciężko i odstawiła szklankę na stolik, zamieniając ją na pilota od telewizora. Przycisnęła guzik i ekran zamigotał. Zmieniała kanały, próbując znaleźć coś, co pozwoli jej mile spędzić resztę wieczoru.

Ciekawe, czy postucha i zacznie w końcu dbać o tego chłopaka. Gdyby wyszła za męża, to Marianna wreszcie miałyby kłopot z głowy. Bo co tu kryć, wychowywanie dziecka to dla samotnej kobiety kłopot i nielekkie życie. Gdyby nie dziecko, to mogłaby jeszcze przynajmniej kilka lat używać życia, bawić się, a tak co? Zaraz pieluchy, przecieranie zupek i wytykanie palcami. Trzeba było zacisnąć zęby i mocować się z życiem. O pozbyciu się dziecka nie myślała, o oddaniu też, bo to przecież grzech. Trzeba dźwigać swój krzyż i tyle. Taki los jej Bóg dał, to musiała się z Jego wolą pogodzić.

Robiła, co mogła, Bóg świadkiem. I wychowywała jak najlepiej. Troszczyła się o każdy drobiazg, pilnowała na każdym kroku. I przekazywała wszystko, co sama wiedziała. Pragnęła tylko dwóch

rzeczy: żeby córka nie dała się tak jak ona uwieść i nie została z brzuchem oraz żeby wyrosła na silną kobietę, która da sobie radę w życiu.

Tymczasem córka była od maleńkości zupełnie inna od Marianny i jej marzeń. Nieśmiała taka i cicha, z dziećmi nie bardzo chciała przebywać. Dużo płakała. *Co ja się namęczyłam, wspominała Marianna, żeby ją tego beczenia oduczyc. Prośbą i groźbą, ale wreszcie stwardniała. Cóż z tego, kiedy nadal tylko jej w głowie niebieskie migdały były. Ciągle zamysłona, żyła w swoim świecie. Bóg mi świadkiem, że nic jej się nie udawało, zawsze chciałam być z niej dumna, ale się nie dało. Nawet nie było za co Olgi pochwalić. Jedno dobre, że się zawsze słuchała i nie wyklócała o nic, jak to inne dzieci potrafią. Mnie to nawet nie w smak było, bo dobrze, jakby charakter czasem pokazała, a tu nic. Gdzie ją pošlesz, tam pójdzie. Takie cielę na niedzielę. I do tej pory tak samo. W pracy siedzi, robi, co każą, ale nie umie o swoje powalczyć. A całe życie jej powtarzam, że trzeba walczyć, bo inaczej to inni po tobie przejdą i pójdą dalej. Sama przecież wiem najlepiej, swoje przeżyłam.*

Wzrok Marianny przykuł kolejny odcinek telenoweli o losach ubogiej dziewczyny, która łącząc urodę i wdzięk ze sprytem, robiła karierę u boku przystojnego i bogatego szlachcica.

Gdybym miała takie dziecko, to byłoby dobrze. Tego ją całe życie uczyłam, ale grochem o ścianę. Ja powinnam już w spokoju odpoczywać, a nie ciągle pilnować, żeby znowu czegoś nie popsuta. Za jakie grzechy mnie to spotyka, takie dziecko do niczego, ciepłe kluchy takie – pomyślała Marianna z niesmakiem i żalem.

Kilka sekund potem całym sercem kibicowała poczynaniom serialowej bohaterki, czując z nią więź dużo głębszą niż z własnym dzieckiem.



Co się stało?! Olga usiadła gwałtownie na łóżku. Nieprzytomnym

wzrokiem rozejrzała się dokoła, starając się zrozumieć, gdzie jest i co właściwie się dzieje. Bez wątpienia była we własnym domu. *Co to za dźwięk?! Budzik?! Alarm?! Ach, telefon...* Przeczesła palcami włosy, nadal półprzytomna, jeszcze trochę w marzeniach sennych, ale jednocześnie już myśląca. No, próbująca myśleć. Tymczasem telefon nadal wygrywał dziwną melodyjkę, wygrywał ile sił.

Umarłego by obudził, pomyślała Olga i aż podskoczyła. Sąsiedzi jej tego nie darują. Która godzina? Fosforyzujące wskazówki odpowiedziały brutalnie – trzecia, środek nocy.

Nie musiała nawet ułamka sekundy tracić na zastanawianie się, kim może być osoba tak pragnąca kontaktu z nią o tej porze. Wiedziała, przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze: Gabi siedział przed komórką, którą zostawiła na fotelu, i warczał cichutko. Po drugie: upiorna melodyjka. Nigdy nie wiedziała, jak Gabor to robi, a jednak zawsze w jakiś sposób udawało mu się ustawić telefon tak, żeby jego numer miał przypisany podobną kakofonię dźwięków, i to najgłośniejszą, jak się dało. Dałaby głowę, że ostatnio nie miał możliwości pozostania sam na sam z jej telefonem, a jednak...

Stukanie w ścianę zmotywowało ją ostatecznie do działania. Zerwała się na równe nogi, jednym susem dopadła fotela i chwyciła aparat.

– Zwariowałaś! – krzyknęła, jednocześnie wciskając klawisz z zieloną słuchawką. – Wiesz, która jest godzina?!

– Wyluzuj, kocie. – Głos Gabora był spokojny i jedwabisty jak zawsze. – Po co te nerwy? Dzwonię, bo może wpadniesz na chwilę, świetnie się bawimy... – Ponieważ nie zareagowała, dodał kusząco: – Tęsknię za tobą, brakuje mi cię tutaj.

– Prosiłam, żebyś nie mówił do mnie: „kocie”. I jak ty to sobie wyobrażasz? Że teraz wstanę, ubiorę się i polecę się bawić? Za trzy i pół godziny muszę wstać do pracy, mam oddać ważny raport, rozmawiać z szefem, mówiłam ci przecież!

– No, przesadzasz jak zawsze. – Widziała oczami wyobraźni, jak siedzi i uśmiecha się do słuchawki. – Tyle razy ci powtarzam,

żebyś rzuciła tę robotę. Znajdę ci coś lepszego, za większe pieniądze. Będziesz bliżej mnie i może trochę ci się humor poprawi. Zresztą skoro i tak niedługo musiałybyś wstać, to co to za różnica, te kilka godzin. Przyjedź, proszę...

– Nie ma mowy.

– Czuję się zaniedbywany. – W jego głosie usłyszała nutki zniecierpliwienia. Był zły, czuła to, ale na razie przyjął pozę rozkapryszzonego dzieciaka. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to tylko cienka warstwa pozorów, pod którą aż kipi. Ten człowiek nie rozumiał odmowy, ani w życiu zawodowym, ani prywatnym. Dążył do celu i nie uznawał porażki. Nie ukrywał tego, ba, był dumny ze swoich zwycięstw, szczycił się nimi i karmił. Biada temu, mówił, kto nie pozwoli mi osiągnąć tego, czego chcę. Olga zawsze czuła, że dotyczy to także jej, i chociaż Gabor nigdy wprost nie okazał niezadowolenia, kiedy odmawiała spotkania, to wiedziała, że dzieje się tak wyłącznie dlatego, iż w tym wypadku opór jest dla niego formą gry, zabawy ofiary z drapieżcą, w której z góry wiadomo, kto zwycięży.

Dziś wyjątkowo wyraźnie czuła powarkiwanie niezadowolenia, prawie słyszała je pomiędzy miłymi słówkami. W głowie miała dziwny mętlik, ale nie tak wielki, żeby stracić instynkt samozachowawczy. Nie miała ochoty na żadne konfrontacje. Nie teraz.

Przez kilka sekund, podczas których zastanawiała się, co odpowiedzieć Gaborowi, spojrzała w lustro. Pokój spowijał mrok, w szklanej tafli zobaczyła swoją twarz oświetloną jedynie światłem ulicznej latarni, które z trudem przebijało się przez zasłony. Twarz, którą zobaczyła, wydała jej się zupełnie obca, nierealna, nie jej. Nienaturalnie blada, z oczami jakby zapadniętymi w głąb oczodołów, z wąskim paskiem warg wygiętym w jakimś strasznym cierpieniu. *To przecież nie ja*, pomyślała przerażona. *To ktoś inny, w innym pokoju, w innym świecie.*

– Jesteś tam? – Zniecierpliwiony głos Gabora dotarł do ucha Olgi, która zamrugała szybko. Wszystko wróciło do normy, pokój

znowu miał dawne proporcje, a ona była po prostu kobietą wyrwaną ze snu w środku nocy.

– Jestem – odpowiedziała. – I mam wielką ochotę być teraz z tobą, ale naprawdę nie dam rady. Nie mam tyle sił co ty, mój niepokonany bohaterze – szepnęła do słuchawki tonem panienki z sekstelefonu. Zazwyczaj działało, dziś nie przyniosło oczekiwanych rezultatów.

– Sądziłem, że dasz się skusić. – Głos Gabora był lodowaty. – Nie wiesz, co tracisz, ale twoja sprawa. Zadzwoń w tygodniu, jak będziesz chciała gdzieś wyskoczyć.

– Zadzwonię. – Marzyła o powrocie do łóżka i naprawdę nie miała ochoty przedłużać rozmowy.

– Znam wiele miejsc, które na pewno ci się spodobają – zakończył Gabor nieoczekiwanie zmysłowo. – I pomyśl o mnie, zanim zaśniesz.

O ile teraz w ogóle uda mi się zasnąć, pomyślała Olga. Odrzucając do tyłu niesforny kosmyk włosów, poczłapała do kuchni. Wyjęła z szafki tabletki, które w podobnych sytuacjach pomagały jej znaleźć się w objęciach Morfeusza, wysypała na rękę dwie i połknęła. Popiła wodą prosto z dzbanka, nie miała już sił na ceregiele ze szklanką.

Wróciła do pokoju. Gabi siedział przed drzwiami balkonowymi i merdał ogonem.

– A cóż ty tam widzisz, psie, o tej porze? – zapytała zwierzę i zaciekawiona podeszła do okna. Natychmiast z przerażeniem odskoczyła. Na ławce obok trzepaka ktoś siedział i patrzył w górę. W jej okno?! Dlaczego?! Kto?!

To niemożliwe, przywołała się do porządku. Zerknęła raz jeszcze, zza zasłony. Na ławce nie było nikogo.

W nocy widzi się rzeczy, których nie ma, uspokajała samą siebie, ale dla pewności sprawdziła, czy dobrze zamknęła drzwi. Na szczęście tabletki zrobiły swoje i zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.



Zasnęła tak skutecznie, że nie usłyszała budzika, i gdyby nie pies, z pewnością zapałaby jeszcze bardziej. Od razu wiedziała, że musi zrezygnować ze śniadania. Poranną toaletę i makijaż wykonała błyskawicznie, żeby nadrobić stracone minuty. Za nic nie chciała się wyrzec kawy i papierosa. Tych pięć do siedmiu minut każdego poranka było jej niezbędne, żeby móc stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Prędzej wyszłaby z domu nieumalowana, głodna, ubrana byle jak. Nalała więc kawy do kubka i postawiła na kuchennym stole. Zanim usiadła, podeszła jeszcze do parapetu, skąd zabrała figurkę aniołka. Schowała ją do szuflady, a na jej miejsce postawiła inną... figurkę aniołka. To był jej kalendarz. Inny aniołek na każdy dzień tygodnia. Tylko po nich czasami poznawała, że jest sobota lub niedziela i nie musi iść do pracy. Były niezwykle pomocne, pomagały jej odnaleźć się wśród jednakowych poranków.

A więc mamy wtorek, pomyślała, patrząc w stronę parapetu. Tak samo beznadziejny jak poniedziałek i środa.

Przypaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Gabi zaszczekał krótko i przenikliwie. Zawsze tak szczekał, kiedy paliła. Jakby tego nie lubił, jakby ostrzegał.

– Cicho, pies nie będzie mnie pouczał – uciszyła go, starając się nadać głosowi gniewny ton. Ale w głębi duszy cieszyła się tą psią troską. Nawet jeżeli po prostu nie lubił zapachu dymu, to przyjemnie było wierzyć, że zwierzę przejmuje się nią. Bezinteresownie. A dotąd nie zdarzało się jej, żeby ktoś interesował się nią właśnie tak, bez powodu, nie oczekując niczego w zamian. No, może Gabor, chociaż nie miała pewności. Co prawda nie widziała w sobie niczego, na czym mogłoby zależeć temu, który wszystko ma lub bez trudu mieć może, więc wyglądało na to, że niczego od niej nie chce, ale... pewna nie była. Szczególnie ostatnio. A może jestem przewrażliwiona? Może przesadzam? W końcu ciągle mnie gdzieś zabiera, zapewnia mnóstwo atrakcji, nie zwraca uwagi na koszty, czego jeszcze

chcieć?

Zdusiła niedopałek w popielniczce, na której kiedyś, gdy próbowała rzucić palenie, napisała lakierem do paznokci „palenie bardzo szkodzi”. Popielniczka była jednym z niewielu przedmiotów w jej domu, na których nie było wizerunku anioła. Wydało jej się to niestosowne, nie umiałyby gasić papierosa aniołkowi na głowie.

Gabi już czekał przy drzwiach. Dobrze wiedział, że zaraz wyjdą. Dawniej, szczególnie zimą, próbowała namówić go do pozostania w mieszkaniu, ale za nic nie chciał. Drżała, wyobrażając sobie, jak marznie, wolałaby, żeby czekał na nią na kanapie, ale nie było na niego sposobu. Wychodzili razem, a kiedy wracała z pracy, zawsze spotykała go po drodze.

Poklepała psa po grzbiecie i podrapała za uchem. Pomachał radośnie ogonem. *Mam jeszcze chwilę, więc może drugi papierosek?* – zapytała w myślach samą siebie. *I kawkę bym dopiła...*

Gabi opuścił stanowisko przy drzwiach i wrócił na swoje posłanie. Wciąż miała wrażenie, że to zwierzę zna jej myśli, wie, co zrobi za chwilę. Oswajała się z tym uczuciem dosyć długo, bo Gabi był dziwnym psem.

Po raz pierwszy spotkała go jesienią. Wracała z jakiejś imprezy, mocno zakrapianej. Nieco chwiejnym krokiem weszła po schodach. Przed drzwiami zaczęła szukać kluczy w torebce. Nie mogła znaleźć...



...w głowie czuła lekkie wirowanie. No, może więcej niż lekkie. Nie takie, jakie lubiła, takie, które daje miłe uczucie pewności siebie, zadowolenia i dobrej zabawy, ale takie, które świadczy o przekroczeniu subtelnej granicy. Do tego zaczynało jej się robić duszno, szalik uciskał szyję, a kurtka zdawała się ważyć tonę. A kluczy nie było. Musiała je zgubić w klubie, może wypadły w toalecie, kiedy wyjmowała puderniczkę, żeby poprawić makijaż. Co teraz? Zapasowy komplet był w mieszkaniu, bo nie chciała dawać go matce w obawie przed niezapowiedzianymi wizytami,

a gdyby dała je Gaborowi, mógłby to odczytać jako zachętę do zacieśnienia ich związku – na to zaś nie miała ochoty. Taki gest to jak oddanie komuś prawa do swojego całego życia, wyrzeczenie się prywatności. Nie była na to gotowa, a zresztą nie wiedziała nawet, jak mógłby zareagować Gabor. Przez te wszystkie obawy i wątpliwości stała teraz przed własnymi drzwiami i nie mogła dostać się do łóżka, łazienki i wody mineralnej.

Oparła głowę o olejną lamperię. Emalia była chłodna i ten chłód pozwolił Oldze przez chwilę pomyśleć logicznie. Dobrze, że jakiś zapominalski sąsiad nie zamknął drzwi na klatkę schodową. W przeciwnym razie stałaby teraz na zewnątrz i byłaby doskonałym celem zaczepek wyrostków włóczących się nocą po osiedlu. *Szkoda, że nie chciałam, żeby Gabor odprowadził mnie na górę, pożalowała decyzji sprzed kilku minut. Teraz po prostu moglibyśmy pojechać do niego, a rano wezwać ślusarza. Wezwę taksówkę i sama pojedę, będzie miał niespodziankę.*

W tym momencie zdała sobie sprawę, że nie wie, jaki adres podać taksówkarzowi. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka jej chłopak! Znali się przecież już długo, a jednak nie wiedziała...

Może mówił, tylko nie mogła sobie przypomnieć? Doprawdy, ten ból głowy nie pozwalał rozsądnie myśleć.

Po raz kolejny włożyła rękę do torebki i wśród wielu drobiazgów odnalazła znajomy kształt telefonu. Wyciągnęła go, zdecydowana zadzwonić do Gabora, żeby jak najszybciej przyjechał i zabrał ją do siebie. Rozluźniła szalik, rozpięła kurtkę i usiadła na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Spojrzała na ekran telefonu i zobaczyła, że z rozmowy nici. Komórka się rozładowała, jak zawsze, kiedy naprawdę jej potrzebowała.

Niech to szlag! Ze złością cisnęła aparat do torebki. Co teraz?

Alkohol powoli przestawał działać, ból głowy przybierał na sile. Zgasło światło na klatce schodowej, a ona była zbyt słaba, żeby wstać i nacisnąć guzik. Zaczynały jej marznąć nogi, bo buty włożyła odpowiednie do okazji, tylko że tą okazją miała być impreza w klubie, a nie nocleg na schodach. Zdjęła buty i owinęła

stopy szalikiem. Tak lepiej, cieplej. Może uda się jakoś przetrwać do rana, kiedy będzie mogła zapukać do sąsiadki i poprosić o pomoc.

Żeby jeszcze głowa przestała boleć i ktoś poratował łykiem wody... Olga zapadła w dziwny sen nie sen, w którym kontury schodów i poręczy przeplatały się ze wspomnieniem świateł klubu i dotykem ręki Gabora. Tak, Gabor zawsze miał zimne ręce, teraz też to czuła.

W jednej sekundzie zerwała się przerażona na równe nogi. Zapomniała, że stopy ma owinięte szalikiem, upadła na kolana, zerwała szalik i po raz kolejny poderwała się, rzucając nieomal na włącznik światła. To nie był sen, coś zimnego dotykało jej ręki. Na pewno szczur!

Błysnęło światło i Olga odważyła się spojrzeć na miejsce, w którym przed chwilą siedziała. Wybuch nerwowego śmiechu przyszedł razem z histerycznym szlochem. Chichotała, jednocześnie ocierając łzy. Na stopniu siedział mały pies. Kudłaty i niemiłosiernie brudny, ale z pewnością pies. Spod zbyt długiej sierści nie było widać oczu i tylko po kawałku różowego języczka z jednej strony i merdającym ogonku z drugiej mogła się zorientować, gdzie to stworzenie ma przód, a gdzie tył.

– Ale mnie przestraszyłeś – szepnęła do psa. – Nic dla ciebie nie mam, sama muszę tu jakoś przetrwać, więc lepiej idź sobie poszukać towarzystwa gdzie indziej.

Pies zamierdał ogonem i zbiegł na dół. Olga popatrzyła na swoje bose stopy, podarte rajstopy, wyobraziła sobie rozmazany makijaż i potargane włosy. Doszła do wniosku, że musi wyglądać strasznie. Na dodatek było jej niedobrze; z głodu, pragnienia i bólu głowy. Czekwała przez chwilę, czy nie usłyszy ruchu za drzwiami sąsiadki. Czujna staruszka zawsze wszystko widziała i słyszała, więc hałas w środku nocy powinien ją zainteresować. Niestety, żaden dźwięk nie przerwał ciszy. Olga nie mogła wiedzieć, że pani Stanisława czterokrotnie tego wieczoru żądała interwencji policji, skarżąc się na głośne zachowanie młodzieży na podwórku.

Wreszcie, zniechęcona brakiem satysfakcjonującej ją reakcji, włożyła stopery do uszu i spała spokojnie przykryta puchową pierzyną.

Dziewczyna postanowiła iść w ślady psa i wyjść na zewnątrz. Liczyła, że świeże nocne powietrze pomoże opanować nudności. Włożywszy buciki, powoli, starając się nie robić więcej hałasu, zeszła na parter i przecisnęła się przez drzwi, ledwo je uchylając, bo skrzypiały niemiłosiernie.

Stała przy kolumnie podtrzymującej daszek nad drzwiami na klatkę. Omiotła wzrokiem podwórko. Było puste. Wiatr szarpał koronami drzew, zrywając z nich ostatnie liście. Gołe gałęzie schylały się w jej stronę, jakby drzewa chciały ją pochwycić. Wzdrygnęła się, a po kręgosłupie przeszedł jej nieprzyjemny dreszcz. Latarnia oświetlająca skwerek przed blokiem migotała resztkami sił, po chwili zgasła zupełnie. Z oddali dobiegł dźwięk policyjnej syreny. Gdzieś niedaleko trzasnęło okno, brzęk sztucznej szyby zabrzmiał jak grzmot, a w ślad za nim rozległo się przekleństwo.

Poczuła strach. Lepiej chyba wrócić na schody; tutaj, na zewnątrz, narażona była na spotkanie z czymś groźnym. Ciemność mogła kryć wszystko i każdego.

Krótki szczek sprawił, że spojrzała niżej, zauważając w mroku znajome zwierzę. Pies siedział na krawężniku i merdał zachęcająco ogonem. Jego obecność ucieszyła Olgę, poczuła się pewniej.

– Chodź tu – powiedziała. – Miły jesteś, wiesz? Może nawet cię pogłaszczę. Mam nadzieję, że nie masz pcheł, co?

Pies nadal merdał ogonem, ale się nie ruszył. Olga wzruszyła ramionami i odwróciła się, żeby wrócić pod swoje drzwi. Zatrzymało ją piszczenie. Ciche, ale zdecydowanie proszące.

– Czego chcesz? Albo chodź tu, albo daj mi spokój, psie. Nie mam ochoty na droczenie się z tobą. Najlepiej idź do domu. Wystarczy, że ja nie mogę.

Pies nie przestawał merdać ogonem i nadal popiskiwał cieniutko. Olga westchnęła zrezygnowana, wzruszyła ramionami i podeszła

do zwierzęcia.

– Niech ci będzie. W końcu nie mam nic lepszego do roboty, tych parę kroków niczego nie zmieni.

Myliła się, i to bardzo. Kiedy przykucnęła, żeby pogłaskać psiaka, zobaczyła, że obok niego w trawie leżą... jej klucze. W ciemnościach połyskiwał metalowy breloczek, w kształcie aniołka, rzecz jasna. Bez namysłu chwyciła zgubę.

– Dzięki, psie! – Szybko skierowała się w stronę budynku. Pysznic, mineralna i ciepła pościel nagle stały się na powrót realne. Przed drzwiami o czymś sobie przypomniała, odwróciła się i zobaczyła, że pies biegnie szybko w głąb ulicy.

– Hej! – krzyknęła – Poczekaj, psie! Należy ci się znaleźne!

Zwierzak przystanął, obejrzał się, szczeknął wesoło i pobiegł sobie tylko znanymi ścieżkami. W sąsiednim bloku ktoś otworzył okno i zaspany głos krzyknął w stronę Olgi:

– Może byś się tak nie darła, bo ludzie chcą spać! Środek nocy jest, ty lafiryndo!

Olga machnęła ręką na nieznanego sąsiada i stukając obcasami, wbiegła na piętro. Otworzyła drzwi i z ulgą przekroczyła próg.

Wiatr ustał, latarnia rozbłysła na nowo, a kiedy Olga następnego dnia wyspana i odświeżona wychodziła do sklepu, na wycieraczkę przed drzwiami zastała kudłatego pieska merdającego ogonkiem na powitanie. W dziennym świetle okazał się jeszcze brudniejszy i bardziej kudłaty. Olga nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić. A fant wysunął koniec różowego jęczyczka i nadal machał ogonem.

– A więc wróciłeś? I co ja mam z tobą zrobić? Obiecałam znaleźne, pamiętasz, tak? Jeżeli grzecznie tu poczekasz, to kupię w sklepie coś dobrego dla ciebie – tłumaczyła psiakowi, a ten przekrzywił łeppek to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jakby rozumiał, co do niego mówi. Rozbawił ją tym zachowaniem.

– Czekał tu grzecznie na mnie – nakazała, ale pies nie zamierzał słuchać. Gdy zaczęła schodzić po schodach, natychmiast ruszył za nią. Nic nie dały prośby i namowy, widocznie zwierzak nie

wierzył w jej rychły powrót albo postanowił dopilnować, żeby nie zapomniała o nagrodzie dla niego.

Olga kupiła kilka parówek, bo nie miała pojęcia, co dać nowemu znajomemu do zjedzenia, a z dobranocek o Reksiu pamiętała, że największym marzeniem animowanego psiaka były serdelki. Kudłaty piesek czekał grzecznie przed sklepem i karnie ruszył w drogę powrotną, trzymając się kilka kroków za Olgą. Nie musiała go długo namawiać, żeby wszedł do mieszkania. Obawiała się nieco, czy będzie potrafił się zachować, ale były to obawy nieuzasadnione. Nie podnosił nogi przy meblach, nie wskakiwał na łóżko; grzecznie usiadł w kącie kuchni, bez marudzenia spałaszował kiełbaski, a potem położył się przy drzwiach.

Otworzyła je, sądząc, że pies zamierza już ją opuścić, ale ten ani drgnął. Najwidoczniej chciał zostać. Nie umiała odmówić. *To w ramach nagrody*, tłumaczyła sobie w myślach, bo przecież nie planowała zostać właścicielką psa. Przy jej trybie życia, zwłaszcza odkąd była z Gaborem, regularne spacerunki były nierealne.

– Tylko na jedną noc. I żebyś jutro nie miał pretensji – oznajmiła stanowczo, a pies znowu zaczął kręcić łepkiem, czym zupełnie ją rozbroił. Podrapała go za uchem, a następnie poszła umyć ręce. Tak na wszelki wypadek.

Następnego ranka pies grzecznie wyszedł razem z nią. Nie musiała nic mówić, bo gdy tylko sięgnęła po kurtkę, już stał przy drzwiach. Wyglądał jak puchata kuleczka, brudna kuleczka, ale bardzo sympatyczna. Oldze było trochę żal rozstawać się z miłym stworzeniem, które przecież tak jej pomogło w potrzebie, ale nie widziała innego wyjścia. Przez cały dzień w pracy zastanawiała się, jak taki mały pies poradzi sobie w coraz zimniejszej nocy. Niepokój szybko minął, bo zwierzak siedział na wycieraczkach i czekał na nią. Spędził więc u Olgi drugą noc i trzecią, a po czwartej Olga zdecydowała, że może zostać. Pies podzielał jej zdanie, bez protestów poddał się kąpielom i czesaniu. Z radością oczekiwał nowych miseczek i posłanie ze starej poduszki owiniętej kocem. Nie chciał tylko zostawać sam w domu. Wychodził razem z Olgą, a kiedy

wracała, już na nią czekał. Był pogodny, z uwagą słuchał zwierzeń pani i z czasem stał się jej prawdziwym powiernikiem.

– Pora, żeby cię jakoś nazwać. Skoro już zostałeś, to powinnam wiedzieć, jak się do ciebie zwracać – tłumaczyła Olga psu. – Myślałam nad tym i doszłam do wniosku, że będziesz wabił się Gabi. To taki skrót od Gabriel, to taki archanioł. Dlatego, że mi pomogłeś jak anioł stróż. Podoba ci się? Gabi! Gabi! – zawołała, a pies zaszczekał wesoło, zatwierdzając tym samym swoje nowe imię.

Był z nim tylko jeden kłopot. Nie akceptował Gabora; kiedy chłopak pojawiał się w drzwiach, pies chował się pod łóżko i za żadne skarby świata, nawet za parówkę, nie chciał wyjść. Gabor też nie był zachwycony decyzją Olgi. Można powiedzieć, że pies i chłopak darzyli się taką samą niechęcią. Było to tym dziwniejsze, że nigdy właściwie nie zetknęli się bezpośrednio, bo Gabi podczas wizyt Gabora siedział pod łóżkiem, a Gabor, zadowolony chyba z takiej sytuacji, zachowywał się, jakby psa w ogóle nie było. Z czasem dziewczyna przestała nawet wspominać o zwierzęciu, ale cały czas w głębi serca żałowała, że nie udało im się zaprzyjaźnić.

Gabi do tego stopnia nie znosił Gabora, że wyczuwał jakimś psim sposobem, kiedy tamten telefonował, i warczał, siedząc obok aparatu. Nie rozumiała tej niechęci, ale skoro nie potrafiła tego zmienić, musiała zaakceptować. Poza tym Gabi nie przysparzał Oldze problemów, a jego obecność łagodziła samotność, która często dokuczała jej wieczorami.



Dzień zapowiadał się nie najlepiej. Wiosna w tym roku jakoś nie chciała pokazać swojego piękna. Liście na drzewach były zielone, skrawek ziemi otaczający trzepak pokrył się trawą, ale nie było tak jak zawsze, chociażby jak w ubiegłym roku. Olga miała wrażenie, że wszystko pokrywa kurz, szara warstwa, która tłumiała kolory, nie pozwalając zieleni objąć świata we władanie.

Papieros zaczął parzyć jej palce. Zdusiła niedopałek

w popielniczce, nie zwracając uwagi na popiół, który spadł na podłogę. Kawa wystygła, lecz mimo to Olga jednym haustem wypiała resztkę zimnego napoju, wiedząc, że jeżeli się nie pospieszy, to z pewnością spóźni się do pracy.

– Gabi! Pora na nas! – Niepotrzebnie krzyczała, bo pies już stał przy drzwiach. Prawie w biegu chwyciła kurtkę i torebkę, zamarudziła jeszcze chwilę, szukając kluczy, i mocno już zdenerwowana zamknęła drzwi.

Droga do pracy nie była długa; Olga miała szczęście, nie musiała korzystać z publicznych środków transportu. Nie znosiła autobusów, w których człowiek skazany jest na bliskość nieznanym osobom. Nie chciała, żeby dotykali jej ci obcy ludzie, wydawało jej się, że zostawia na niej ten okropny zapach potu, resztek jedzenia i snu. Odgłos zamykających się drzwi powodował u niej panikę; zaczynała się dusić, czuła się uwięziona wśród wielu twarzy, które życzą jej jak najgorzej.

Lubiła poranki – oczywiście te, kiedy udało jej się wyjść na tyle wcześnie, że mogła iść powoli. Dziś jednak obcas butów wybijały na chodniku rytm tak szybko, jak to było możliwe. Gabi natychmiast pobiegł gdzieś w swoich psich sprawach, przeczuwając, że tym razem nie może liczyć na wspólny spacer i lepiej nie kręcić się pani pod nogami.

Cholera, zakłęta w myślach Olga, skąd tu tyle dziur? Przysięgłabym, że wczoraj ich nie było. Pewnie ktoś złośliwie całą noc wybijał je w chodniku tylko po to, żebym nie mogła zdążyć na czas do pracy. A tu przecież zebranie u szefa... Cholera! Cholera!

Już niedaleko, jeszcze tylko ulica, już widać budynek – prostokątne betonowe pudełko pomalowane na okropny buraczkowy kolor. Krótkie spojrzenie na zegarek. Zdążyć! I nagle ból. Jakby ktoś wbił jej metalowy pręt prosto w czaszkę. Szczęście, że zdołała oprzeć się o pień rachitycznej topoli, bo z pewnością by upadła.

Co się dzieje? – pomyślała przerażona. Ból ustąpił tak szybko, jak się pojawił, trwał zaledwie kilka sekund, ale był tak silny, że

przez chwilę nie mogła się zorientować, gdzie jest.

– Czy coś się stało? Może wezwać lekarza?

Przechodzący obok mężczyzna zainteresował się młodą kobietą, która opierała się o drzewo, zasłaniając dłonią oczy.

– Nie... Już w porządku... To chyba migrena.

Mężczyzna odszedł, uspokojony, z poczuciem, że zachował się, jak przystało na porządnego człowieka, i zadowolony, że pomoc okazała się niepotrzebna, bo przecież miał wiele pilnych spraw do załatwienia. Na przykład spotkanie z sąsiadem przed sklepem, gdzie co rano wspólnie wypijali piwo i wracali do domów z siatką pełną świeżego pieczywa, narzekając na poranne kolejki i zyskując wdzięczność żon za odciążenie ich w obowiązkach domowych.

Tymczasem Olga doszła już do siebie. Bez powodu otworzyła torebkę, potem ją zamknęła i powoli, bo i tak już była spóźniona, a poza tym nogi nie chciały nieść jej szybciej, ruszyła w kierunku przejścia dla pieszych. Zielone światło było jedynym pozytywnym wydarzeniem tego ranka. Jeszcze trzy kroki do ulicy, jeszcze dwa...

Czarny samochód z przyciemnianymi szybami z ogromną szybkością przeciął pasy, zostawiając po sobie jedynie podmuch powietrza i zapach spalin. Kierowca nawet nie próbował hamować, widać nic nie robił sobie z sygnalizacji, jakby to, że siedzi za kierownicą luksusowego i szybkiego auta, stawiało go ponad prawem.

Gdybym nie przystanęła pod drzewem, to... Olga zdała sobie sprawę, że w tej chwili mogła już nie żyć. Ten wariat chciał mnie zabić. Musiał widzieć, że zbliżam się do przejścia, i nawet nie próbował się zatrzymać!

Nogi jej drżały; czuła, że za chwilę zemdleje. Strużka zimnego potu spłynęła od nasady włosów w dół policzka, ale nawet nie miała siły, żeby podnieść rękę i zetrzeć tę kroplę. Próbowwała głęboko oddychać, nie mogła przecież zemdleć tutaj, na chodniku. Podniosła wzrok, próbując ocenić, czy znajdzie w sobie dość siły, żeby przejść na drugą stronę.

Wtedy go zobaczyła. Stał pod drzewem, tam gdzie wczoraj. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale wiedziała, czuła, że się do niej uśmiecha. Promienie słońca, które właśnie znalazło wyrwę wśród chmur, oświetlały drzewo, przenikały przez liście i zatrzymywały się na jego postaci. Sprawiały, że blond włosy zdawały się świecić niezwykłym blaskiem.

Wygląda nieziemsko, oceniła Olga. Słoneczne promienie wygrały z chmurami i przyjemne, ciepłe światło rozlało się wokół. Szarość ustąpiła, a ona poczuła przyływ sił. Przypomniała sobie o szefie, zebraniu i raporcie.

Co za poranek! – pomyślała. *Przecież nikt mi nie uwierzy. Sama nie uwierzyłabym w taką historię. Powiem, że zasnęłam. Trudno, jakoś to będzie.*

Za przejściem odwróciła się, żeby raz jeszcze spojrzeć na nieznajomego. Pod drzewem nie było nikogo. Został tylko promień światła tworzący na trawie nieregularną plamę.



Na szczęście zebranie przebiegło nad podziw gładko. Wiesław Krawczuk, zwany Wieśkiem nie z racji imienia, lecz zamiłowania do wstrętnych granatowych garniturów marnej jakości i równie wstrętnych krawatów, spóźnił się ponad godzinę.

– To skandal! – ryknął od wejścia. – Wariatom powinni zabierać prawo jazdy na zawsze!

Zebrani pracownicy przyjęli to w milczeniu. Każdy z nich miał wątpliwą przyjemność podróżowania z Wieśkiem i każdy wiedział, że trzeba żelaznych nerwów, aby wytrzymać to, co prezentował jako kierowca; wyprzedzanie na trzeciego i pokonywanie zakrętów z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę to żelazny zestaw poczynań szefa za kółkiem, a gdy dodać do tego jeszcze fakt, że prowadził jedną ręką, drugą tymczasem przytrzymując przy uchu telefon komórkowy, miało się zagwarantowane niezapomniane wrażenia. Wszyscy się zastanawiali, co musiał wyprawiać ten, który przez Krawczuka został nazwany wariatem.

– Jadę sobie spokojnie do pracy – zaczął szef, rozparty swoim zwyczajem w skórzanym fotelu – a tu z przeciwka jedzie ten idiota. Grzał ze sto osiemdziesiąt, bo zobaczyłem go dopiero, kiedy byłem w połowie wyprzedzania. On zresztą też.

Pracownicy ze zgrozą wymienili spojrzenia. To musiał być niesamowity widok; cztery samochody pędzące na siebie na dwupasmowej ulicy.

Wiesław zdążył już zdjąć marynarkę, rozluźnić krawat i podwinąć rękawy koszuli. Na widok wchodzącej sekretarki wyszczerzył w uśmiechu zęby i wydał krótkie polecenie:

– Zielona herbata!

Olga się zastanawiała, czy gdyby modny stał się napar z koziego nawozu, to szef piłby go co rano z taką samą radością. Doszła do wniosku – a poparło ją kilka koleżanek, z którymi podzieliła się tym dylematem – że gdyby Prezes zaczął go pijać, to Wiesiek z pewnością też. Należał bowiem do ludzi, którzy manifestują swoją lojalność wobec firmy, naśladując we wszystkim szefa. Zarazem do tych, których zdaniem całkowicie dozwolone jest płacenie firmową kartą kredytową za obiad swojej rodziny i zaksięgowanie faktury za ten posiłek jako służbowy lunch.

– ...na szczęście tylko boczne lusterko mi urwał – kontynuował Wiesław Krawczuk. – Ale i tak kilka stów w plecy. Dobrze, że auto mam tanie, bo służbowe! – Roześmiał się z własnego dowcipu i uderzył otwartą dłoń w stół. – No, dosyć ploteczek, czas na pracę! Olga, masz ten raport?

Biorąc z rąk pracownicy plik dokumentów, dodał jeszcze:

– Nawet numerów nie dało się zapisać, tak zasuwał. Widziałem tylko, że czarny metalik i miał przyciemniane szyby.

To ten sam, który mało mnie nie zabił, przemknęło Oldze przez głowę. Nie miała jednak czasu na zastanowienie się, musiała zebrać myśli, bo czekała ją seria podchwytliwych pytań szefa i reszty zespołu.



– Widzisz, Olga – szef poklepał ją po ramieniu, gdy wychodziła z gabinetu – a mówiłaś, że masz za mało czasu. Ja już dawno wyczułem, że ty najlepiej pracujesz w stresujących sytuacjach. Mój menedżerski nos mi podpowiedział.

Uśmiechnęła się bez przekonania. Menedżerski nos, też coś! Wiesiek nie miał pojęcia o marketingu i rynku, a sukces zawdzięczał wyłącznie temu, że w pierwszych latach nowego ustroju miał na tyle dużo lat, żeby pracować, i na tyle mało, żeby dobrze odgrywać rolę młodego narybku rozwijającej się przedsiębiorczości.

Olga najbardziej nie lubiła jego protekcyjnego tonu, mówienia pracownikom po imieniu, co oczywiście obowiązywało tylko w jednym kierunku, oraz poufałego poklepywania po ramieniu. Nic jednak nie mogła na to poradzić, bo człowiek ten był odporny na delikatne aluzje, a sprzeciw wyrażony jawnie zaowocowałby w najlepszym razie obcięciem premii z byle powodu.

Z ulgą wróciła do swojego pokoju i opadła na krzesło. Tu czuła się bezpiecznie. Mimo że w pomieszczeniu stały trzy biurka, to nie pamiętała już, kiedy miała współpracowników. Nikt jakoś nie zagrzał miejsca w dziale, w którym trzeba było zarabiać dla firmy duże pieniądze, dostając w zamian niewielkie plus wieczne niezadowolenie z wyniku pracy. Taka sytuacja wcale Olgi nie martwiła, bo zapewniała jej spokój i komfort. Nie musiała z nikim plotkować, wysłuchiwać zwierzeń, opowiadać w zamian o sobie. W pracy lubiła pracować.

Biurko ustawiła tak, że wraz z dodatkową szafką na monitor i regałem pełnym segregatorów stanowił doskonałą zapórę chroniącą ją przed resztą świata. Najlepiej czuła się w tej niewielkiej wydzielonej przestrzeni. To był jej teren i nikt nie miał prawa przekroczyć jego granicy.

Włączyła komputer i otworzyła skrzynkę, żeby odebrać wiadomości. Dwie oferty reklamowe banków, jedna od biura podróży proponującego egzotyczne wycieczki za niewielkie pieniądze oraz... mail od Ananke.

W pierwszej chwili nie skojarzyła nadawcy, ale słowo wydało jej się znajome. Kliknęła, ekran zamigotał i...

NIE BÓJ SIĘ, BĘDĘ CI POMAGAŁ. OCHRONIĘ CIĘ. CZY DZIŚ TEGO NIE UDOWODNIŁEM?

NIE UCIEKAJ PRZED PRZEZNACZENIEM.

Olga poczuła pulsowanie w skroni. Miała naprawdę dosyć dziwnych sytuacji. Poranek pełen wrażeń i na dokładkę zebranie z Wieśkiem to wystarczająca porcja.

Była już pewna, że to robota informatyków. Musieli przez okno widzieć zdarzenie na przejściu dla pieszych i postanowili wykorzystać je do dalszej zabawy. A Olga nie miała ochoty na dowcipy, i to jeszcze takie, które wytykały jej słabości. Kochała swoje aniołki, nie ukrywała tego, ale to nie powód, żeby się z niej naśmiewać. Ze złością zamknęła skrzynkę i podniosła słuchawkę, wystukując numer pokoju informatyków.

Odebrał Szymon, ten specjalista od komputerów, którego lubiła najbardziej. Dziś jednak nie miało to żadnego znaczenia.

– Nie wiem, czy to ty, czy któryś z twoich kolegów, a może wszyscy razem, ale mam dosyć waszych wygłupów. Ślijcie sobie e-maile do kogo innego, bo ja nie mam czasu ani ochoty na takie zabawy. Jeszcze raz się to powtórzy, to powiadomię szefa, że macie za mało roboty. – Słyszając, że Szymon nabiera tchu, żeby coś powiedzieć, pozbawiła go tej szansy i dodała: – A od aniołków wara! Nie wasza sprawa!

I odłożyła słuchawkę.

Po kilku sekundach aparat zaterkotał, ale go zignorowała. Przestał dzwonić, więc zabrała się do pracy. Musiała skontaktować się z kilkoma klientami wartymi – jeśli operować terminologią dyrektora Krawczuka – grube tysiące. Nie zdążyła jeszcze wykręcić numeru, kiedy faks zaczął wypływać kartkę. Oczom Olgi powoli ukazał się tekst:

NIE OSKARŻAJ NIEWINNYCH. MASZ BYĆ PRZECIEŻ ANIOŁEM.

Tego było za wiele. Chwyciła kartkę z zamiarem pokazania jej szefowi jako dowodu i uniosła się na krzesło. Nie zdołała zrobić

ani kroku. Ból był nagły i przejmujący, przewiercał czaszkę. Kartka wypadła Oldze z ręki, a ona sama, opierając się o biurko, potem przytrzymując szafy, dotarła do parapetu. Otworzyła szeroko okno i zaczęła gwałtownie wciągać i wypuszczać powietrze. Ból powoli ustępował. Stała przez chwilę, opierając ręce na parapecie i próbując zrozumieć, co się z nią dzieje. Poczowała na karku ciepły wiosenny wiatr i bała się podnieść głowę. Wiedziała, co zobaczy, ale nie była pewna, czy tego chce. W końcu nie było wyjścia. Wzrok sam powędrował na drugą stronę ulicy. On tam stał. Znowu. Pod tym samym drzewem. I patrzył na nią, teraz była pewna, że na nią.

Może to rzeczywiście nie informatycy? – pomyślała. A jeżeli to ten człowiek? Stałam się ofiarą jakiegoś psychopaty. On najwyraźniej mnie śledzi.

Podmuch wiatru stał się silniejszy, wtargnął do pokoju, szarpiąc połówką okna, porwał leżącą na podłodze kartkę i zabrał ją ze sobą.

Olga ze złością zatrzasnęła okno. Wiedziała, że dziś z pracy już nic nie będzie. Trzeba tylko doczekać szesnastej i jak najszybciej dotrzeć do domu. *Dobrze chociaż, że ból ustąpił*, pomyślała zrezygnowana.



Tuż przed szesnastą do pokoju z impetem wpadła Izka. Olga właśnie zamierzała chyłkiem wymknąć się z budynku, ale widząc koleżankę, zrozumiała, że z szybkiego powrotu do domu nic nie będzie.

– Bierz torebkę i lecimy! – zadysponowała tamta tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jesteśmy umówione z dwoma fantastycznymi facetami. Miałam zabrać Kaśkę, ale ona wkurza mnie ostatnio, taka jakaś się zrobiła dziwna, nie uważasz? – trajkotała Izka, nie czekając na odpowiedź. – Mówię ci, oni są naprawdę do rzeczy. Poznałam ich przedwczoraj na dyskotecę. Trochę młodszy od nas, ale oczywiście o tym nie wiedzą. Nie bój się,

nie połamiam się, bo my przecież nieźle się trzymamy, co nie? – Wyrzucając z siebie słowa, zdążyła poprawić włosy, wyciągnąć Olę z biurka i sięgnąć po jej torebkę, z której wyjęła perfumy. Psiknęła sobie na nadgarstek i powąchała. – O, fajny zapach! Co to? Pewnie od Gabora? Nim się nie przejmuj, nie o wszystkim musi wiedzieć. Zresztą wiadomo, co on robi, kiedy nie wychodzi razem z tobą? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Olga, nie wiedząc kiedy, znalazła się z koleżanką na korytarzu. Nie miała ochoty na randkę z nieznanymi, ale przyszło jej do głowy, że to może być dobry sposób na poprawienie sobie nastroju. Ostatecznie nie ma nic złego w niezobowiązującym spotkaniu, a może nawet flircie. W końcu nie ma męża ani nawet oficjalnego narzeczonego. *Jak mi się nie spodoba, to zawsze mogę wyjść, pomyślała. I nawet nie będę musiała wiele mówić, bo Izka na pewno będzie cały czas nadawać.*

Oldze poprawił się humor. Poranne wspomnienia zniknęły gdzieś na dnie podświadomości, popołudnie zapowiadało się wesoło. Uwolniła się od Izki ciągnącej ją za łokieć.

– Sama pójde, nie musisz mnie szarpać.

Zgodnie zbiegły po schodach, oddały klucze portierowi, który tym razem zajęty był układaniem pasjansa i tylko kiwnął głową na pożegnanie, nie odrywając wzroku od monitora, na którym przekładał właśnie waleta na damę.

Dziewczyny przepychały się w drzwiach ze śmiechem. Biegły przez parking, wymuszając pierwszeństwo na samochodach wyższej kadry kierowniczej. Kierowcy nie mieli im tego za złe, bo widok dwóch młodych, eleganckich i radosnych kobiet sprawiał im przyjemność.

A po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna i patrzył na Olę. Zobaczyła go i stanęła jak wryta. Dobry humor zniknął niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pojawiło się pulsowanie w skroni.

– Co jest? – Izka z rozpędu przeszła jeszcze kilka kroków i stała teraz przed Olgą z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Chyba nie dam rady. – Olga przycisnęła dłonie do skroni. – Źle się poczułam, od rana źle się czuję...

– Coś ściemniasz, koleżanko. – Izka najwyraźniej była zła i nie miała zamiaru uwierzyć w usłyszaną wymówkę. – Przed chwilą wszystko było w porządku.

– Słuchaj, to może głupie, ale ktoś mnie śledzi. Ciągłe stoi pod oknem i patrzy na mnie. Przesyła mi głupie e-maile i faksy – wydusiła z siebie Olga, cały czas patrząc na mężczyznę, który właśnie do niej machał.

– Co?!

– Mówię przecież – zdenerwowała się Olga. – Nie rozumiesz? Psychopata się do mnie przyczepił. – Złapała koleżankę za ramię i spojrzała jej w oczy. – Jak nie wierzysz, to się odwróć, tylko dyskretnie. On tam stoi, pod drzewem. Już wczoraj stał.

Iza, mająca duże doświadczenie w dyskretnym ocenianiu mężczyzn w klubach i kawiarniach, udała, że szuka czegoś w torebce, i powoli się odwróciła, zerkając we wskazanym kierunku.

– Tam nikogo nie ma. – Podniosła zdumione spojrzenie na Olgę.

No tak, pod drzewem nie było już nikogo.

– Niezły kit, prawie się nabrałam. Powiedz lepiej, że ci się odechciało i wolisz wracać do swoich aniołków. – Widać było, że Iza jest naprawdę zła. – A idź, może Gabor łaskawie zadzwoni i zechce ci poświęcić kilka chwil. Łaski nie robisz, dam sobie radę sama.

Wzruszyła ramionami i energicznie zarzucając torebkę na ramię, ruszyła przed siebie, zostawiając Olgę na środku chodnika.

– On tam naprawdę stał. Widziałam przecież – powiedziała Olga, ale koleżanka już jej nie słyszała.

Nie pozostawało jej nic innego, jak wracać do domu. Zrezygnowana, ze spuszczoną głową, czując ogromne zmęczenie, poszła w stronę osiedla.



Stanisława Bocheńska nie narzekała na swój los. Nie przeszkadzało jej, że od prawie piętnastu lat mieszkała samotnie. Odkąd zmarł mąż, a dzieci w poszukiwaniu szczęścia i pieniędzy wyjechały za ocean, była zdana tylko na siebie, ale wcale nie uważała się z tego powodu za nieszczęśliwą. Prawdę mówiąc, uwolniona od konieczności gotowania obiadów i sprzątanía mogła zająć się tym, co lubiła naprawdę, a na co przez całe życie nie miała czasu. Ambicja bycia dobrą żoną, matką i panią domu nie pozwalała zaniedbać odkurzania, prania i dwudaniowych obiadów, ale jednocześnie kazała zepchnąć na dalszy plan przyjemności.

Teraz to co innego. Stanisława zdała sobie sprawę, że kurz na telewizorze może sobie leżeć do woli, bo poza nią nikt go nie widzi. Jadała tę samą zupę przez cztery dni, bo przyzwyczała się do gotowania w dużym garnku i w mniejszym żadna się nie udawała. A przy okazji mogła przez trzy dni nie gotować wcale.

Wolny czas spędzała na spacerach, oglądaniu wystaw sklepowych i obserwowaniu ludzi. Kiedy choroba stawów uniemożliwiła jej wychodzenie z domu, zajęła się szydełkowaniem nikomu niepotrzebnych serwetek i czytaniem. Dla przyjemności. Wyłącznie.

Nikt Stanisławy nie odwiedzał, ale i ona nie szukała towarzystwa. Dosyć się całe życie nagadała z ludźmi, z którymi wcale nie miała ochoty rozmawiać. Zakupy zwykle robiła jej młoda sąsiadka, jedyna osoba, z którą utrzymywała kontakty.

Lubiła tę sąsiadkę, chociaż dziwiło ją, że młoda dziewczyna tak często spędza wieczory w domu. I to sama. Dużo słyszała w telewizji o dzisiejszej młodzieży, o tym, że urządzają głośne imprezy, że dzisiaj dziewczęta zmieniają partnerów jak rękawiczki. A ta nie. Ciągle sama. Nic dziwnego, że mówi do siebie.

Stanisława słyszała często długie monologi wygłaszane za ścianą. Nie przeszkadzało jej to wcale, a cienkie mury uznała z czasem za zaletę obecnego budownictwa, bo przeżycia sąsiadki stały się czymś w rodzaju reality show, to wyrażenie znała

z telewizji, tyle że zamiast obrazu miała wyłącznie głos. *Dobrze, że słuch mi dopisuje*, pomyślała wesoło Stanisława.

O, właśnie wraca. Zmęczona pewnie, bo wchodzi powoli i tak ciężko stawia nogi na kolejnych stopniach. Ciekawe, czy była już w sklepie?

Stanisława uchyliła drzwi i radośnie zagadnęła czarny beret sąsiadki:

– Trudny dzień w pracy, dobrze zgaduję?

Dziewczyna odwróciła się powoli.

– Skąd pani wie?

– A czy to trudno zgadnąć? Teraz czasy diabelskie, dobrym ludziom ciężko. – Stanisława miała nadzieję, że w ten sposób łatwiej będzie namówić dziewczynę do pójścia do sklepu. Chciała ze dwadzieścia deka ulubionych ciasteczek, nic pilnego, ale ma przecież prawo do przyjemności. – A ty dobre dziecko jesteś, odmówić pomocy nie potrafisz... Taki aniołek jak ty to prosto do nieba powinien...

Stanisława zamilkła w pół zdania. Młoda sąsiadka patrzyła tak jakoś dziwnie i odwróciła się do niej plecami. Ramiona jej drżały, gdy otwierała drzwi. Kiedy jedną nogą była już w swoim mieszkaniu, nagle się odwróciła.

– O co pani chodzi? Czego pani ode mnie chce?! Niech się pani wreszcie odczepi! – Ręce jej drżały, i broda, ze zdenerwowania niewyraźnie wymawiała wyrazy, tak że Stanisława ledwo rozumiała to, co słyszy.

– Aniołku drogi, co ty...

– Nie jestem żadnym aniołkiem! Niech mu pani powie, żeby dał mi spokój! A pani, starsza osoba, a bierze udział w tym prześladowaniu! Jeszcze raz, to zawiadomię policję!

Trzasnęły drzwi i Stanisława została sama. Nie mogła zrozumieć tego, co się stało. Przecież ona chciała tylko dwadzieścia deka ciastek.



Krawczuk lubił mówić i lubił, żeby go słuchano. Uważnie. I podziwiano, rzecz jasna. Bo przecież był najlepszy. Wysoką samoocenę miał wrodzoną, nie musiał ćwiczyć jej na szkoleniach dla menedżerów jak niektórzy koledzy. W szkole nauczyciele nazywali to zarozumiałością i beczelnością, próbując, na szczęście bezskutecznie, stłumić w nim te cechy, niezwykle pomocne, zdaniem Wiesława, w zarządzaniu ludźmi. W związku z tym pogardzał nauczycielami i nauką w ogóle. Czytał oczywiście literaturę fachową, szybko przyswajał ładnie brzmiące teorie rodem z zachodnich podręczników marketingu, ale nie interesowały go szczegóły.

Z moim talentem, myślał, sam potrafię zrobić to lepiej. Poza tym na razie nie popełniłem żadnego błędu. Prezes jest zadowolony, a pracownicy mnie szanują. Nie przyszło mu nawet do głowy, że to, co nazywał szacunkiem, było wyłącznie milczeniem, a milczenie to zawdzięczał temu, że każdego, kto się odważył na krytykę, po prostu zwalniał pod pretekstem „nieumiejętności dostosowania się do zespołu”. Pojęcia nie miał o tym, że podwładni mają go za zarozumialca i źle wychowanego, potakują jego słowom, a za plecami i tak robią po swojemu. Krawczuk miał wyniki, mógł je pokazać Prezesowi i uważał, że zawdzięcza je wyłącznie swemu talentowi oraz umiejętności motywowania pracowników.

To był dzień rozliczeń kwartalnych. Najpierw ogólne zebranie, a potem indywidualne rozmowy z każdym pracownikiem. Jakie to pole do popisu dla dyrektora! *Ileż razy w ciągu dnia będę miał okazję udowodnić, że można zrobić jeszcze więcej dla firmy i że w moim dziale nic się przede mną nie ukryje,* cieszył się Wiesław.

Z uśmiechem wszedł do sali konferencyjnej i – tak jak radziła psycholog na szkoleniu z socjotechnik – każdemu po kolei patrzył prosto w oczy. Skutek był zgodny z oczekiwaniami, spuszczała wzrok i wbijali go w wypolerowany na błysk blat stołu. W ten sposób zyskiwał przewagę, zanim jeszcze coś powiedział.

A ta co robi? Wygląda na to, że nawet nie zauważyła, że wszedł.

Ciekawe, jaką premię będzie chciała za miniony kwartał.

Nieco zdenerwowany Wiesław, jak zawsze kiedy coś nie szło po jego myśli, rozpoczął zebranie, nie mogąc się skupić, bo wciąż spoglądał na Olgę, która uparcie skrobała ołówkiem na kartkach.

Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z odczuć szefa. Obudziła się w dobrym humorze, szarość za oknem skwitowała wzruszeniem ramion. Droga do pracy minęła bez niespodzianek, a skrzynka e-mailowa zawierała jedynie służbowe wiadomości, w tym decyzję jednego z klientów oznaczającą duże wpływy do firmowej kasy.

Czekając na spóźniającego się jak zwykle Krawczuka, postanowiła wypunktować sobie najważniejsze informacje, żeby nie pominąć niczego podczas zebrania. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale jej myśli płynęły własnym torem. Byłoby to niezwykle przyjemne, gdyby nie fakt, że od pewnego czasu monotony głos szefa zdawał się zakłócać odbiór miłych wrażeń. Czy musiał wdzierać się ze swoimi pseudoteoriami nawet do jej własnego świata?

– Co tam skrobiesz na tych karteczkach? – Kolega szturchnął Olgę, która zrozumiała, że Wiesław mówi do niej. – I to zamiast skupić się na meritum. – Podkreślił ostatnie słowo, bo niezłe brzmiało. Odkrył je niedawno i z lubością używał. – Co jest bardziej zajmujące niż nasza dyskusja? Może się z nami tym podzielisz?

Właściwie czemu nie? Olga wstała i bez namysłu, zła z powodu bezpośredniego ataku, podjęła rękawicę.

– Pewnie, że się podzielę. Wszystko.

– Co „wszystko”? – nie rozumiał Krawczuk.

– Wszystko jest ciekawsze od tego, co pan nam serwuje od – zerknęła na zegarek – czterdziestu minut. Znamy to na pamięć i nikogo to nie interesuje.

– Czy pani nie przesadza? – Dyrektor przeszedł do oficjalnej formy, czując, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. – I proszę mówić w swoim imieniu. Koledzy to jednostki i sami

mogą...

– Tak, mogą, pewnie! Ciekawe, co mogą? Potakiwać panu, tyle mogą! Ale proszę bardzo, mogę mówić tylko za siebie. Mam wiele ciekawszych rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie pańskich przemysłów. – Otwarta walka z szefem sprawiła Oldze niesamowitą satysfakcję. Poczwała, że robi coś bardzo ważnego, że załatwia sprawę ważną dla wielu osób, że może zmienić wszystko. – Powinnam jak najszybciej wrócić do pracy, żeby wykonać te wyśrubowane normy, które pan ustalił, żeby zadowolić Prezesa. A potem jeszcze muszę się zastanowić, dlaczego jestem w stanie zarobić na pana samochód i dom, a ledwie wystarcza mi na zapłacenie własnych rachunków! To właśnie mam do roboty i to jest ważniejsze!

Głośno odsunęła krzesło i wybiegła z sali konferencyjnej, trzaskając drzwiami.

W absolutnej ciszy Wiesław Krawczuk podszedł do miejsca, na którym siedziała, i wziął do ręki pozostawione na stole kartki. Przeglądał je powoli, chcąc zyskać na czasie, uspokoić się i zdecydować, jak powinien postąpić. Ze zdumieniem stwierdził, że wszystkie kartki wypełnione są wizerunkami aniołków; były tam duże aniołki i małe, wesole i smutne. *To tym się zajmowała, zamiast słuchać, co mówię?*

Krawczuk podjął decyzję. Jednym szybkim ruchem zmiął kartki i wrzucił do kosza. Podszedł do drzwi, otworzył je i krzyknął w głąb korytarza:

– Zieloną herbatę poproszę!

Odwrócił się w stronę wciąż milczących pracowników i wskazał palcem na jednego z nich.

– Na co czekasz? Mów, czym tam możesz się pochwalić.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi zebranych. Nie oberwą. Spotkanie trwało dalej.



Olga w ogóle się nie zdziwiła, gdy w drzwiach pokoju zobaczyła

sekretarkę szefa. Usłyszawszy: „Dyrektor prosi do siebie”, skinęła tylko głową, nawet nie podnosząc wzroku na bladą i wiecznie wystraszoną dziewczynę oddaną przełożonemu do tego stopnia, że donosiła mu o każdym słowie usłyszonym na korytarzu oraz o każdej minucie, którą pracownicy spędzali na papierosie lub w toalecie.

Co za kanał! – pomyślała Olga. *Nerwy mi puściły, a teraz muszę wypić piwo, którego sama sobie nawarzyłam.* Rozmowy z Krawczukiem kiedyś traktowała poważnie, w nadziei, że ma do czynienia z fachowcem, który potrafi docenić fachowość innych. Odkąd zorientowała się, że ani jedno, ani drugie założenie nie jest prawdziwe, a każda ocena pracy zmierza nie do obiektywizmu, ale do przyznania jak najniższej premii, nie znosiła kontaktów z pracodawcą i starała się ograniczyć je do minimum. A dziś wyskoczyła jak filip z konopi i sama skazała się na spotkanie w cztery oczy. Z westchnieniem dopiła herbatę, poprawiła żakiet i ruszyła korytarzem w kierunku gabinetu. Szła, licząc kwadraty na wykładzinie. Wiedziała dokładnie, ile ich jest, ale nawyk był silniejszy. Osiemnaście, dziewiętnaście... dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, gabinet.

– Jestem – oznajmiła sekretarce, która natychmiast podniosła słuchawkę.

– Panie dyrektorze, przyszła pani Olga. Tak, przekażę. – Słuchawka wylądowała na swoim miejscu. – Masz czekać.

Mogłam się domyślić, stary numer. Po tych szkoleniach zrobił się tak przewidywalny jak nigdy. Olga zajęła miejsce w fotelu dla oczekujących. *Gdybym przyszła za dziesięć minut, i tak kazałby mi czekać.*

Wreszcie drzwi obite dźwiękoszczelnym materiałem się uchyliły i stanął w nich Wiesław Krawczuk. Zapraszającym gestem wskazał wewnątrz. Kolejny gest skierował ją do okrągłego stolika. *A więc nie wyrzuci mnie od razu, odgadła. W takich wypadkach wskazuje krzesło naprzeciw biurka.*

Usiadła. Dyrektor zajął miejsce obok. Przez chwilę nic nie mówił,

jedynie tarł dłonią twarz i oczy, sugerując, że jest zdenerwowany, a sytuacja poważna. Czekwała cierpliwie na wyrok.

– Pani Olgo, czy ja kiedykolwiek panią skrzywdziłem?

Tak, tak, niezliczoną ilość razy – krzyczało coś w Oldze, ale rozsądek zwyciężył i nie powiedziała ani słowa. Krawczuk zresztą nie oczekiwał odpowiedzi, bo kontynuował:

– W naszej Firmie – wymówił to słowo wielką literą i z namaszczeniem – dbamy o pracowników. Stworzyliśmy ścieżki kariery, organizujemy darmowe szkolenia, słowem, robimy wszystko, a w zamian oczekujemy tylko rzetelnej pracy. Oraz odrobiny wdzięczności i zrozumienia.

Olga nadal milczała, choć uczucia kłębiły się w niej i szukały ujścia. Znowu pulsowanie w skroni. Na razie delikatne, ale wiedziała już, czym może się skończyć. Jak długo on jeszcze będzie przemawiał?! Wiesław kontynuował niestrudzenie:

– Zawsze ceniłem pani zaangażowanie i wyniki. Myślałem o podwyżce dla pani, może awansie. Teraz już nie wiem, co robić. Pani dzisiejsze zachowanie było nieprzemyślane i nieodpowiedzialne. Próbowwała pani podważyć mój autorytet. Po co? Może spróbuje pani to wyjaśnić?

Powinna powiedzieć prawdę. Musi, ale... gdzie znajdzie pracę? Jeśli nawet, to potrwa to jakiś czas, a ona nie ma żadnych oszczędności.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – zaczęła zrezygnowana. – Mogę tylko przeprosić... – Ból głowy stał się nagle tak silny, że musiała przerwać i ścisnąć rękami skronie.

– Źle się pani czuje? – zaniepokoił się dyrektor. – Może poprosić o wodę?

– Nie, nie trzeba, to zaraz minie. Widzi pan, panie dyrektorze, od kilku dni mam takie kłopoty. Może stąd to zdenerwowanie i wybuch. Poza tym jest jeszcze jedna sprawa...

Szef nie pozwolił jej dokończyć.

– Jeżeli ma pani problemy ze zdrowiem, to proszę iść do lekarza. Najlepiej od razu, może pani wcześniej wyjść z pracy. – Odchylił

się do tyłu i rad, że udało mu się znaleźć przyczynę zajścia, w dodatku taką, która nie godziła w jego ego, szybko zakończył spotkanie. – Rozumiem pracowników i jestem wrażliwy na ich problemy. Jednakże ostrzegam, że podobna sytuacja nie może się powtórzyć, bo to osłabia cały pion. To wszystko, a teraz zmykaj do lekarza, bo potrzebna tu jesteś zdrowa i gotowa do pracy!

Ból osłabł, ale pulsowanie pozostało. Wizyta u lekarza wydawała się jedyną rozsądną rzeczą, jaką mogła teraz zrobić, bo wiedziała, że nawet mocna kawa nie usunie niesmaku, który czuła w ustach. Przegrała, poddała się i zachowała jak skończona idiotka.



Lekarz medycyny Janusz Leszczyński nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć siedzącej przed nim kobiecie. Wydanie diagnozy na podstawie jednego zdania usłyszanego od niej było niemożliwe. Rutynowe badania, które mógł wykonać, nie naprowadziły go na żaden trop; ciśnienie miała w normie, nie dosłuchał się niczego w sercu ani płucach. Pochylony na kartą spoglądał spod oka na swoją pacjentkę.

Było w niej coś dziwnego. Kiedy weszła do gabinetu, pierwsze wrażenie nie przyniosło rewelacji. Niebrzydka, bardzo zadbana i elegancka, ale wniosła ze sobą ten rodzaj chłodu, który sprawia, że mężczyźni nie mają odwagi nawet zagadnąć.

Z wielkim niepokojem poinformowała lekarza o bólach głowy. Żądała natychmiastowej diagnozy. Na pierwszy rzut oka widać było, że obawia się poważnej choroby; jak większość pacjentów wyobrażała sobie pewnie, że ma nowotwór. Na szczęście w swojej karierze doktor Leszczyński widział takich wielu i przestał już dzielić niepokoje pacjentów, zanim nie zobaczył wyników szczegółowych badań.

Od kilku minut próbował wytłumaczyć siedzącej przed nim kobiecie, że nie powie nic, póki ta nie wykona zaleconych badań. Chciał zacząć od podstawowych, ale spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem.

– Chcę zrobić wszystko, co się da, i to od razu. Muszę znać prawdę.

– Rozumiem, ale to i tak potrwa. Na specjalistyczne badania trzeba czekać, czasem kilka miesięcy, wie pani, jak jest teraz w służbie zdrowia...

– Nie interesuje mnie to. Proszę pisać skierowanie – oznajmiła chłodnym i rozkazującym tonem. – Pójdę prywatnie, chyba tak da się to załatwić od ręki?

– Oczywiście, ale nie chciałbym narażać pani na koszty.

Już go nie słuchała. Janusz był zły. Przecież, do diabła, to on jest lekarzem w tym gabinecie i on powinien decydować o badaniach. Ta kobieta tymczasem zdawała się tego nie zauważać. *Chce, niech płaci, co mnie to obchodzi*, zdecydował i zaczął wypisywać skierowania.

– Czy pan coś podejrzewa? – spytała cicho pacjentka. Naraz wydała mu się taka bezbronna i nieszczęśliwa. – Proszę powiedzieć mi prawdę...

Tak, to z pewnością ze strachu była taka nieprzyjemna. Ludzie różnie reagują, kiedy boją się o swoje zdrowie lub życie, kiedy myślą o najgorszym.

– Naprawdę nie potrafię teraz nic pani powiedzieć. Ból głowy może być objawem wielu chorób, może sam w sobie być chorobą albo oznaką zmęczenia lub stresu.

Mówił, ale widział, że pacjentka go nie słucha. Patrzyła jakby przez niego, przez ścianę za nim, gdzieś daleko. W rękach nerwowo skręcała pasek torebki. *Po co ja się produkuję?* – zastanawiał się doktor Leszczyński. *Inni pacjenci czekają.*

– Proszę przyjść ze wszystkimi wynikami. Jeżeli zależy pani na czasie, to polecam mój prywatny gabinet. Nie będzie pani czekać w kolejce, spokojnie porozmawiamy, napijemy się kawy – zaryzykował, bo ta kobieta właściwie mu się podobała.

– Dziękuję. – Pacjentka nie wykazała żadnego zainteresowania propozycją lekarza, co nieco go dotknęło. – Do widzenia.

Doktor Janusz Leszczyński nie miał pojęcia, że prawdziwa

przyczyna zdenerwowania Olgi była zupełnie inna. Zanim weszła do jego gabinetu, odebrała dziwny telefon. Miły męski głos powiedział tylko kilka słów:

– Dlaczego nie powiedziałaś mu, co naprawdę myślisz? Nie może być zgody na zło, przecież sama to czujesz, prawda?

I się rozłączył. Numer, z którego dzwonił, był zastrzeżony. Nie zdziwiła się, bo wiedziała, kto to. Była pewna, że to mężczyzna, który ją prześladowuje. Skąd wiedział o rozmowie z szefem? I czego właściwie od niej chciał? Schowała do torebki plik skierowań na badania i opuściła budynek przychodni.



– Znowu zapomniałaś o starej matce – wyrzut wyprysnął z słuchawki wprost w ucho Olgi. – Mogłabym umrzeć, a ty nawet byś o tym nie wiedziała. I to ma być córka wdzięczna za wychowanie?

– Przepraszam, mamu, ale miałam ciężkie dni w pracy – tłumaczyła bez przekonania, bo wiedziała, że cokolwiek by powiedziała, i tak nie zatrzyma lawiny, która ruszyła.

– Gabor mówi, że nie masz dla niego czasu...

– Skarżył się?! – Olga przerwała matce ze złością.

– Skąd! Jest na to zbyt dobrze wychowany. Po prostu dzwonił, by zapytać, co u mnie, i wspomniał, że nie widział cię już od kilku dni. Czy ty go nie zaniedbujesz? Uważaj...

– Mamu – przerwała grzecznie, ale stanowczo. – Wiem, co mam robić. Poza tym nie mam ochoty na spotkania, bo boli mnie głowa. Byłam u lekarza i...

– Dobre sobie! – gorzko zaśmiała się matka. – Mówisz jak żona po piętnastu latach małżeństwa! Głowa ją boli, też coś! I z tym do lekarza pobiegłaś? Jakbym ja chciała z każdym bólem chodzić po lekarzach, toby mi czasu na nic innego nie wystarczyło. Żebyś ty wiedziała, co mnie dolega... Ale skąd masz wiedzieć, skoro wcale nie dzwonisz.

– Mamu... – próbowała Olga.

– Żadne „mamo” – kategorycznie ucięła Marianna. – Weź jakąś tabletkę i zadzwoń do Gabora, żeby się nie rozmyślił i nie poszukał sobie innej dziewczyny. Jakoś nie widzę, żeby się inni w kolejce do ciebie ustawiali. Skończ z tymi głupimi wymówkami, bo jak nic zostaniesz starą panną. Słyszysz, co mówię? No, powiedz coś!

– Tak, mamo, słyszę. Zaraz wezmę tabletkę.

– No, nareszcie. I zadzwoń do niego. To ja kończę, żeby linii nie blokować.

– Dobranoc, mamo.

Wzięła tabletkę, chociaż wiedziała, że to nic nie da. Brała już kilka, a pulsowanie w skroni robiło, co chciało. Raz było wyraźne, chwilami słabło, a bywały godziny, że nie czuła go wcale. Nie miało to żadnego związku z czasem, w którym powinny działać leki przeciwbólowe.

Miała wszystkiego dosyć. Czuła się beznadziejnie i nie miała żadnego pomysłu, jak to zmienić. Zresztą po co? Była przekonana, że jest chora, poważnie chora; ból głowy był dziwny, niepodobny do migren, które czasem miewała. Zastanawiała się, czego to objaw: guza mózgu? A może nowotworu? Dzięki znajomości z pewną lekarką udało jej się zrobić badania poza kolejnością, a wyniki będzie miała jutro rano, nawet tomografii, bo żeby nie czekać, zapłaciła za to badanie. Zresztą nie musiała zobaczyć wyników, miała pewność, że spotka ją coś strasznego. Szpital, operacja, może chemioterapia, a jak się nie uda, to...

Była przygotowana na najgorsze, ba, była pewna najgorszego. Nie chciało jej się pocieszać, nie czuła woli walki. Po co i dla kogo? Nie miała pewności, czy komukolwiek na niej zależy, włączając w to matkę i Gabora. Bez niej świat się nie zmieni.

A co mi po tym wszystkim? – myślała, bawiąc się machinalnie środowym aniołkiem. Nie potrafię odnaleźć się w tym świecie, nie pasuję do niego tak jak na przykład Gabor. Nie potrafię walczyć. Sensu w moim życiu tyle co nic, każdy tylko patrzy, jak drugiemu dokopać. Wróg na wrogu i wrogiem pogania. Dookoła sami cynicy, bezwzględni i głodni sukcesu. Dawno już zepchnęli mnie na boczny

tor. Taka wegetacja jest bez sensu. To już naprawdę lepiej umrzeć...

Aniołek wypadł jej z rąk i roztrzaskał się na podłodze. Nie poczuła nic, nie było w niej żadnych uczuć; ani złości, ani żalu, ani smutku. Sięgnęła po szczotkę i zmiotła do kosza gliniane skorupki. *Teraz środy będą bez aniołka*, pomyślała tylko.

Gabi gwałtownie domagał się spaceru. Drapał łapą w drzwi i piszczał.

– Idź sam, psie. – Nacisnęła klamkę. – Mnie się odechciało wszystkiego, nawet spaceru.

Włączyła telewizor i zaczęła szukać czegoś, co oderwałoby ją od przykrych myśli. Wypadek samochodowy..., ojciec zabił troje dzieci i popełnił samobójstwo..., zamach w Iraku..., głodne dzieci... Wyłączyła.

Żadnej nadziei. Czy ludzie postawili sobie za cel zniszczenie samych siebie? Kim w obliczu tych tragedii jestem ja? Nikim, nikt nawet nie zauważy, że mnie już nie ma. Nikt nie będzie mnie pamiętał. Może nawet niektórzy się ucieszą, bo zwolni się mieszkanie, miejsce pracy, kolejka w sklepie będzie krótsza. Tak, tylko na to czekają!

Pies nie wracał. Zaczynała mieć wyrzuty sumienia, że puściła go samego. Co prawda zawsze wracał, ale przecież wieczorem wychodzili razem. A jeśli coś mu się stało? Zaniepokojona podeszła do okna. To, co zobaczyła, przeraziło ją.

Na ławce obok trzepaka siedział spokojnie jej prześladowca, a przed nim stał Gabi, machając ogonkiem. Mężczyzna wyciągnął coś z kieszeni i dał psu, ten zjadł i oblizał pyszczek różowym języczkiem.

Chce otruć mi psa! Olga nie wiedziała, co robić. Zdesperowana otworzyła okno i zawołała:

– Gabi! Wracaj do domu! Natychmiast!

Pies spojrzał w górę, szczeknął krótko i posłusznie pobiegł w stronę klatki schodowej. Mężczyzna podniósł się, skinął głową w stronę Olgi i pomachał ręką.

Zatrzasnęła okno bez słowa i pobiegła wpuścić Gabiego.

– Nie wolno nic brać od nieznajomych, słyszysz? A jeżeli teraz zdechniesz, to co?

Zwierzak wyglądał zdrowo, ale kto wie, jak działają trucizny? Nie miała pojęcia, co robić. Zdenerwowana chodziła po pokoju w tę i z powrotem. Była osaczona, prześladował ją wariat i na dodatek na pewno jest śmiertelnie chora.

Delikatnie uchyliła firankę i spojrzała na podwórze. Mężczyzna nadal siedział na ławce. Znowu pomachał ręką. A przecież nie mógł jej widzieć. Odskokczyła od okna jak oparzona.

Co to zresztą za różnica, stwierdziła, czy zabije mnie psychopata, czy guz mózgu.

Pulsowanie znowu się wzmogło.

Chyba wezmę tabletkę. Najwyżej zabije mnie tabletką, podsumowała.

– Umrzemy razem, co, psie? – zapytała, ale zwierzak nie odpowiedział, tylko odwrócił się w stronę okna, pokazując swojej pani mniej szlachetną część psiego ciała.



Kaśka i Iza stały przy kserokopiarce i wykorzystywały to, że urządzenie co rusz się zacinało, żeby wymienić się najświeższymi ploteczkami. I chociaż czujna sekretarka co chwilę zerkała w ich stronę i starała się wyłapać szczegóły rozmowy, to nie mogły się powstrzymać i od czasu do czasu wybuchały stłumionym chichotem.

– Nie wiem, czy to powód do śmiechu, naprawdę! A myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami!

Obie dziewczyny zerwały się na równe nogi, zaskoczone niespodziewanym atakiem. Stały twarzą w twarz ze zdenerwowaną Olgą.

– No co ty? – pierwsza odzyskała głos Kaśka. – Nawet o tobie nie rozmawiałyśmy.

– Akurat! Macie mnie za głupią? Z daleka was słychać.

Iza też odzyskała głos i przyszła Kaśce z odsieczą.

– Jakby nas tak było słyhać, to wiedziałabyś, że mamy lepsze tematy niż twoja osoba. Zresztą możesz spytać tę. – Wskazała głową na sekretarkę, która już nawet nie udawała, że zajmuje się czymś innym, i otwarcie wpatrywała się w rozmawiające. – Czy ty nie jesteś trochę przewrażliwiona?

Olga odeszła bez słowa. Kaśka posłała Izie pytające spojrzenie, a ta odpowiedziała wzruszeniem ramion. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie skomentowała całej sytuacji.

– Dziwaczeje czy co? Może to staropanieństwo? – Nagle coś sobie przypomniała i z wrażenia aż chwyciła koleżankę za ramię. – Ty wiesz, co ona mi próbowała ostatnio wmówić? – Zniżyła głos do szeptu i pochyliła się ku Kasi: – Twierdzi, że ktoś ją śledzi. Jakiś facet. Niby pisze do niej e-maile i faksy przysyła, czujesz?

– O Boże! A jeśli to prawda? Może coś jej grozi?

– Może by chciała, nie? Bo ten Gabor to niespecjalnie nią zainteresowany. Wiem – uśmiechnęła się – bo przez kilka ostatnich wieczorów interesował się kimś innym...

– Chyba nie próbujesz odbić go Oldze? – W głosie Kasi była wyraźna nagana, więc Iza próbowała załagodzić sytuację.

– W życiu! Koleżance?! Ale czy to moja wina, że się mną interesuje? Przecież nie będę udawała, że go nie znam. Spotkaliśmy się przypadkiem...

Kasia nie miała ochoty słuchać wyjaśnień.

– Tak się nie robi. Nic dziwnego, że Olga jest ostatnio podenerwowana. – Pokręciła z dezaprobatą głową. – To już nie ma innych?

– A jak myślisz: Wiesiek dał jej wczoraj ostrą burę? Taki show urządziła, całkiem jej nerwy puściły, nie? – Iza próbowała zmienić temat.

Tym razem to Kasia wzruszyła ramionami.

– Nie nasza sprawa. Jakby chciała, toby powiedziała. Martwię się o nią, dziwna jest ostatnio...

– Tak, pewnie, ostatnio! A wcześniej to nie była? Weź się

zastanów, dziewczyno! Zawsze...

Nie dokończyła, bo widok sekretarki idącej w stronę kserokopiarki z plikiem dokumentów w ręce był jednoznacznym sygnałem, że pora wracać do pracy, jeżeli nie chcą, żeby niepoehlebny komentarz dotarł do szefa. Każda chwyciła swoje kartki i obie czmychnęły do pokojów, posyłając sekretarce nieszczerze uśmiechy, w zamian otrzymując taki sam.

W tym czasie Olga walczyła z chęcią zapalenia papierosa. Jak się powstrzymać, kiedy nawet przyjaciółki odwracają się od ciebie plecami? Mogła się domyślać, że Izka natychmiast opowie wszystkim o tym, że jest śledzona, i pewnie jeszcze doda coś od siebie. Ale żeby Kaśka? Tego się nie spodziewała! Nawet nie miały odwagi się przyznać!

Chodziła tam i z powrotem po pokoju, aż za którymś z kolei zwrotem uderzyła się boleśnie o róg biurka, rozdzierając przy tym rajstopy. Zakląła i uderzyła pięścią w mebel. Postawiony na samym brzegu biurka kubek podskoczył i Olga jak w zwolnionym tempie patrzyła na rysę, która pojawiła się u podstawy naczynia, a potem powoli biegła coraz wyżej i wyżej, przepoławiając wizerunek aniołka. Opadła na krzesło. Jeszcze nie czuła bólu, ale wiedziała, że zaraz nadejdzie. Nie nadszedł.

Jeszcze nie zdążyła się zdziwić, kiedy sygnał komunikatora dał znać, że ktoś chciałby z nią rozmawiać. Ananke – przyszło jej do głowy. Miała rację. Prześladowca pisał: WSPOMINAŁEM JUŻ, ŻEBYŚ NIE OSKARŻAŁA NIEWINNYCH.

Oldze przyszło do głowy, że zamiast unikać nieznanego, powinna podjąć grę. Może uda się dowiedzieć, dlaczego właśnie ona stała się obiektem jego maniakałnych fascynacji i skąd tyle o niej wie.

„Skąd mam wiedzieć, że są niewinne?” – odpisała.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie:

PRZECIEŻ TO CZUJESZ. PYTAJ SIEBIE, A BĘDZIESZ WIEDZIAŁA.

„Czego ode mnie chcesz?”

NICZEGO.

„Dlaczego więc mnie prześladujesz?”

PRZEŚLADUJĘ? POMAGAM CI TYLKO. ZAPYTAJ SIEBIE...

„Dobra, niech Ci będzie. Dlaczego więc mi pomagasz?”

MÓWIŁEM JUŻ. ZOSTAŁAŚ WYBRANA. BĘDZIESZ ANIOŁEM.

„A Ty kim jesteś?”

JESTEM ANANKE.

„Widzę, że w ten sposób daleko nie zajdziemy. Nie chcę być aniołem, jasne? I odczep się ode mnie”.

NIE MOGĘ.

„Dlaczego?”

BO ZOSTAŁAŚ WYBRANA, ŻEBY BYĆ ANIOŁEM.

„Niech będzie. Zostanę aniołem. Zgadzam się. Czy teraz dasz mi spokój?”

NIE. MUSZĘ CIĘ CHRONIĆ, DOPÓKI TO SIĘ NIE STANIE.

„Nie potrzebuję ochrony”.

NIC NIE ROZUMIESZ. I NIE WIERZYSZ. ZAPYTAJ SIEBIE...

„A jeśli nie zechcę zostać tym aniołem, to co?”

NIE MASZ WYJŚCIA, ZOSTAŁAŚ WYBRANA.



Teresa Jawor uwielbiała wizyty u lekarza. Były to jedyne chwile w życiu, kiedy ktoś wyrażał zainteresowanie jej osobą. W domu mąż i dwójka dzieci oczekiwali śniadań, kanapek do pracy, obiadów, kolacji, czystych ubrań, porządku w łazience i szafach, zakupów i wielu innych rzeczy. Oczekiwali, że zrobi to wszystko, ale nie oczekiwali jej samej. Gdyby zamiast Teresy zajęcia te wykonywał ktokolwiek inny, mogłaby nie istnieć. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy pewnego dnia poczuła się tak źle, że nie mogła wstać z łóżka. Pamięta ten dzień i nie zapomni do końca życia. O siódmej trzydzieści rano do sypialni wszedł Tomeczek, ukochany syn, i zapytał:

– Nie zrobiłaś śniadania?

Właściwie nie było to pytanie, lecz stwierdzenie połączone ze

zdumieniem. Teresa, przygotowana na pytanie o swoje zdrowie i o to, jak jej pomóc, z rozpędu odpowiedziała:

– Niezbyt dobrze się czuję. – Tak naprawdę czuła się wprost okropnie, ale postanowiła nie martwić dziecka. – Mógłbyś mi zrobić szklankę herbaty?

– Miałaś mi rano uprasować koszulkę – przypomniał syn, jakby głuchy na to, co mówiła matka.

– Ale nie wyprasuję, bo nie mam siły wstać – odparła Teresa zdumiona jego zachowaniem.

Syn zaszczycił wreszcie rodzicielkę spojrzeniem i na tym poprzestał. Przez chwilę dłubał palcem w nosie, następnie odwrócił się i wyszedł. Córka nawet nie zajrzała do jej pokoju, a mąż nie wrócił na noc, co czasem mu się zdarzało; Teresa wolała wierzyć, że wówczas pracuje, niż usłyszeć prawdę, której i tak się domyślała.

Tamtego dnia Teresa Jawor zrozumiała, że jest kimś pomiędzy służącą a robotem kuchennym. Od własnej rodziny nie oczekiwała już niczego. Potrzebowała jednak motywacji do wykonywania swoich obowiązków. Argument, że kocha męża i dzieci, jakoś do niej nie przemawiał. Wymyśliła sobie więc, że jest chora i zanim umrze, musi zakończyć wszystkie ważne sprawy, do których zaliczyła pranie mężowskich koszul i sprzątanie pokoi nastoletnich dzieci. Będzie bohaterko walczyła z chorobą i stała na posterunku. Pozostało tylko znaleźć tę chorobę – i nic innego Teresa Jawor od kilku lat nie robiła. Tym bardziej że lekarze, których odwiedzała, z uwagą słuchali opowieści o dolegliwościach i o tym, jaka jest dzielna. Czuła, że to zainteresowanie może być spotęgowane tym, że chodziła na wizyty do prywatnych gabinetów, ale odrzucała te podejrzenia. Zresztą jeśli nawet, to tym bardziej była panią sytuacji, czego nigdzie indziej nie doświadczała.

Siedząc na błękitnym krześle, czekała, aż poprzednia pacjentka opuści gabinet. Czekwała niecierpliwie, bo było jej zbyt gorąco w zimowym płaszczu, ale nie chciała zostawić go w poczekalni z obawy przed kradzieżą. Teresa Jawor była więc mokra od potu.

Właśnie kartkowała mocno sfatygowane już kobiece pismo.

Nagle drzwi od gabinetu otworzyły się i wybiegła z niego młoda kobieta. Doktor Leszczyński próbował ją zatrzymać. Chciał chwycić ją za rękaw kurtki, ale ona zwinnie uskoczyła i zbiegła po schodach. Trzasnęły drzwi wyjściowe.

– Czy coś się stało? – zapytała zaintrygowana Teresa. – Pewnie rak, co? Boże drogi, taka młoda, życie przed nią, a tu takie nieszczęście...

– Przeciwnie – sprostował doktor Leszczyński, w zamyśleniu pocierając policzek pokryty kilkudniowym zarostem. – Jest całkiem zdrowa.

– To chyba powinna się cieszyć, a nie uciekać w popłochu?

Lekarz nie dał się wciągnąć w dyskusję. Gestem zaprosił ją do gabinetu, zastanawiając się jednocześnie, jaką dolegliwość wymyśliła sobie tym razem.

Szkoda, że nie chce nic powiedzieć, pomyślała Teresa. Ale że głupia jakaś, to pewne. Kto normalny tak reaguje na wiadomość, że nic mu nie jest? Młoda, ładna, to raczej powinna cieszyć się z życia. Nikt nie lubi chorować...



Biegająca ulicą Olga wiedziała swoje. Lekarz ją oszukuje. Była tego pewna. Tak długo przeglądał badania, wpatrywał się w wyniki tomografii. Gdyby była zdrowa, to przecież jeden rzut oka wystarczyłby, żeby to stwierdzić. A on patrzył i patrzył. Nie, nie da się tak łatwo oszukać. Nie wmówi jej, że te bóle to tylko stres, nerwy i przemęczenie. To coś więcej. I on o tym wie, tylko nie mówi jej prawdy. W końcu człowiek czuje, kiedy jest poważnie chory, organizm sam mu to podpowiada. Jej podpowiadał, Olga czuła to wyraźnie. Nie rozumiała, dlaczego lekarz nie chce jej pomóc, ale skoro matki zabijają swoje dzieci, nastoletni mordercy chodzą stadami po osiedlach, a pod jej oknami wystaje psychopata, to może i lekarze wolą skazywać na śmierć swoich pacjentów zamiast im pomagać. To odkrycie nie zdumiało Olgi

specjalnie, wydało jej się nagle, że czuła to od dawna.

Wobec tego sama się dowie, na co jest chora. Głupia przecież nie była, a w internecie można znaleźć wszystko. Jeśli zechce, to będzie znała prawdę.



Gabor przyszedł bez zapowiedzi i chociaż Olga nie zamierzała zwierzać mu się ze swoich kłopotów, to kiedy zobaczyła go w drzwiach, łzy same jej popłynęły. Mężczyzna najpierw starannie powiesił płaszcz na wieszaku, potem wziął ją stanowczo za łokieć i posadził na kanapie, sam zajmując miejsce obok. Odczekał chwilę, aż strumień łez nieco obeschnie, a szloch ustanie na tyle, żeby Olga mogła mówić w sposób zrozumiały. Nie sposób było bowiem cokolwiek zrozumieć z urywanych zdań dobywających się spomiędzy dłoni, w których skryła twarz.

– Zrobię kawy – zdecydował i zniknął w kuchni. Kiedy wrócił, niosąc tacę z filiżankami, Olga była już na tyle spokojna, że uznał, iż można z nią porozmawiać.

– Szef? Koleżanki? – sondował.

– Ja umrę.

– Każdy kiedyś umrze. To nie powód, żeby wylewać łzy. Masz jeszcze dużo czasu, który można spożytkować lepiej, niż spędzając samotne, rozmazane wieczory. Nie sądzisz?

– Nie rozumiałeś. Ja umrę niedługo. Jestem bardzo chora – chlipnęła raz jeszcze. Zwierzenie się z tego, co zaprzętało jej wszystkie myśli, przyniosło ulgę. Teraz Gabor zajmie się wszystkim.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Spodziewała się współczucia, troski, opieki. Przecież nawet tak nieskory do wyrażania uczuć człowiek jak Gabor w obliczu śmiertelnej choroby, jeżeli kocha naprawdę, powinien zareagować bardziej emocjonalnie. No, po prostu powinien się wzruszyć, zdenerwować, zasmucić, zrobić cokolwiek, powiedzieć coś, ale na pewno nie to, co powiedział. Nic mu o tym nie wiadomo? A skąd

miałoby być wiadomo?

- Teraz to ja nie rozumiem...
- Robiłaś badania? Byłaś u lekarza?
- Skinęła głową.
- Co powiedział?
- Że jestem zdrowa. Ale kłamał.
- Skąd wiesz?
- Wiem.

Mężczyzna sięgnął do tyłu i wyciągnął uwierający go przedmiot – gumowe kółeczko.

- A to co znowu? A, prawda, to ten twój pies. – Z niesmakiem odłożył zabawkę na stolik. – Uspokój się i pomyśl logicznie. Dlaczego miałby kłamać? Ma w tym jakiś interes czy co? Ubieraj się, idziemy do klubu. Czekają już na nas.

Olga była zdruzgotana. Człowiek, na którego zrozumienie liczyła, okazał się zupełnie pozbawiony uczuć. Jej niedługo nie będzie, a on chce iść do klubu.

- Zwariowałaś?! Ja umieram! Czy ty rozumiesz, co mówię?!
- Rozumiem, ale uznaję to za histeryczny wymysł. – Gabor wzruszył ramionami. – Nic ci nie dolega, badania w porządku...
- Głowa mnie boli! – wrzasnęła zdesperowana.
- Mnie też czasem boli i jeszcze nie umarłem. Idziesz czy nie?
- Nie.
- Jak chcesz. – Był już w przedpokoju. – Ale uważam, że dobrze byłoby, gdybyś się trochę zabawiła i pomyślała o czymś innym. Iza mówiła, że będzie – rzucił jakby od niechcienia, stojąc z ręką na kłance.

Olga nie odpowiedziała. Nic jej to nie obchodziło. Zyskała pewność, że musi się zmierzyć sama z tym, co na nią spadło. Sama, samotna; to odkrycie było czymś nowym, ale czy zmieniało wiele w jej życiu? Kiedy nie była? Zmieniło się tyle, że zyskała pewność.

Nawet nie zauważyła, że Gabor wyszedł. Dopiero kiedy usłyszała pukanie, podniosła się z kanapy i nie patrząc przez wizjer,

otworzyła drzwi. Była pewna, że to Gabor czegoś zapomniał, ale też w głębi duszy miała nadzieję, że wraca, bo zrozumiał, bo kocha, bo chce być przy niej...

Stała twarzą w twarz ze swoim prześladowcą. Natychmiast, bez zastanowienia, zatrzasnęła drzwi, przekreśliła zasuwę i oparła się plecami o ścianę. Gabi pędem wybiegł spod łóżka i dopadł do drzwi, drapiąc w nie łapami, machając ogonem i popiskując radośnie. Pukanie się powtórzyło. Pies szalał, a Olga była przerażona.

– Proszę odejść! Natychmiast!

– Olga, otwórz. – Głos miał miły; ciepły i spokojny. Ale jej nie oszuka.

– Wynocha! Dzwonię po policję!

Pukanie nie ustawało. Nieznajomy powtarzał je w regularnych odstępach, cały czas namawiając, żeby otworzyła. Wysypała wszystko z torebki w poszukiwaniu telefonu. Nie mogła znaleźć. Prawda! Jest przecież telefon stacjonarny. Drżącymi palcami próbowała wykręcić numer, nie udało się. Kolejna próba, trzecia, nareszcie!

– Proszę natychmiast przyjechać! Jakiś człowiek próbuje się dostać do mojego mieszkania! Jestem sama, potrzebuję pomocy, on chce mnie zabić! – Spokojny głos oficera dyżurnego dodał jej pewności siebie i mniej zdenerwowana podała nazwisko i adres. – Zaraz będzie tu policja – poinformowała z satysfakcją tego, który stał po drugiej stronie drzwi.

– To nie ma sensu – usłyszała. – Po co to robisz? Przecież wiesz, dlaczego przyszedłem. Otwórz!

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Mam ważniejsze sprawy. – Pewna przyjazdu posiłków, wystawiła język w stronę drzwi, jakby stojący za nimi mężczyzna mógł to widzieć. Zwyciężyła! Przynajmniej tego wariata będzie miała z głowy.



– Rozumiem pani zdenerwowanie, ale nie widzę żadnych śladów,

które wskazywałyby na próbę włamania. – Policjant podniósł do ust szklankę z wodą mineralną i starał się zachować spokój. Miał dwadzieścia kilo nadwagi, palił paczkę papierosów dziennie i prawdę mówiąc, wolał patrolować ulice, siedząc wygodnie w samochodzie, niż wdrapywać się po schodach, żeby pocieszać histeryczki.

– On się nie włamywał. Pukał i żądał, żebym otworzyła drzwi.

– To trzeba było nie otwierać, i tyle. Po co zaraz dzwonić po nas?

Do pokoju wszedł drugi policjant i bez skrępowania przeszedł do kuchni, skąd wziął szklankę. Wrócił do pokoju, zajął miejsce obok kolegi i nalał sobie wody.

– Sąsiadka niczego nie widziała i nie słyszała – odpowiedział na pytające spojrzenie partnera.

– No to mogę pani poradzić tylko jedno. Proszę zamykać drzwi, może dokupić sobie jeszcze jeden zamek i panować nad nerwami. Niech mi pani wierzy, zdarzają się gorsze rzeczy niż nieznajomy pukający wieczorem. Pewnie to był spóźniony akwizytor.

Olga czuła się jak wariatka. Ci ludzie myśleli, że zrobiła sprawę z niczego. Teraz zamierzają sobie pójść. *Do cholery, przecież płacę podatki i mogę żądać policyjnej ochrony!* Czy dopiero wtedy, gdy znajdą jej trupa, ktoś się zainteresuje?

– Tłumaczę panom, że ten człowiek śledzi mnie od jakiegoś czasu. Łazi za mną do pracy i przychodzi tu, pod dom. Czuję się osaczona i nikt nie chce mi pomóc! – Nie potrafiła dłużej ukryć irytacji. – A wy przecież od tego jesteście, tak czy nie?

– Proszę się uspokoić. – Obaj policjanci jak na komendę wstali i równocześnie zaczęli poprawiać paski od spodni. – Czy ma pani świadków na to, że jest pani prześladowana?

– No, nie...

– W takim razie nie mamy podstaw do wszczęcia postępowania. Poprzestaniemy dziś na pouczeniu, ale proszę pamiętać, że bezpodstawne wzywanie policji jest karalne. Dobranoc pani.

Zasalutowali. Olga odprowadziła ich do wyjścia. Po przekręceniu zasuwki osunęła się na podłogę i wtuliła twarz w poję płaszcza

wiszącego na wieszaku przy drzwiach. Nawet policja była przeciwko niej. Wszyscy byli. Nikt nie chciał jej słuchać, nie chciał wierzyć.



Po nocy spędzonej w kucki obok wieszaka nie czuła się dobrze. Twarz, którą zobaczyła w lustrze, nie należała do niej, była twarzą innej kobiety – zmęczonej, niewyspanej, bez nadziei. Dlaczego miała zrobić makijaż cudzej twarzy? Nie potrafiła znaleźć przekonującego argumentu. Przetłuszczone, potargane włosy też nie były jej, to pewne. Miała mnóstwo problemów i szkoda było czasu na zajmowanie się cudzymi.

Nie jadła śniadania, bo nie czuła głodu. Rozsądek milczał jak zaklęty, więc poprzestała na kawie i trzech papierosach. *W drodze do pracy muszę wstąpić do sklepu po nową paczkę, pomyślała. I po tabletki od bólu głowy.*

Spokojnie przyjęła obecność mężczyzny pod drzewem. Nie da mu satysfakcji, nie pokaże, że się boi.

Podbijając kartę, zagadnęła:

– Czy nikt o mnie nie pytał?

Portier, zajęty jak zwykle układaniem pasjansa, tylko pokręcił głową.

– A ten mężczyzna, który stoi od kilku dni tam, po drugiej stronie ulicy, nie zainteresował pana?

– Nie zauważyłem nikogo.

– Trudno się dziwić, skoro ciągle gapi się pan w monitor. Czy na tym polegają obowiązki stróża?

– Nie jestem stróżem, tylko portierem – odparł z urazą mężczyzna. – I mam pilnować budynku, a nie drugiej strony ulicy. To właśnie należy do moich obowiązków. A jak ma pani jakieś uwagi, to proszę rozmawiać z moim szefem.

– Dobra, dobra. – Olga nie zamierzała pozwolić, żeby tamten zyskał przewagę. *Trzeba walczyć, bo inaczej wejdą mi na głowę.* – Proszę więc pilnować budynku i nikogo obcego nie wpuszczać.

Zrozumiał pan?

Portier bez słowa, za to z wymowną miną, powrócił do komputera.



Wiesław Krawczuk rzadko zaszczycał pracowników wizytą. Uważał za znacznie lepszą sytuację, kiedy to on był u siebie, a pracownik przychodził i musiał zmierzyć się z dodatkowym stresem, jakim był widok szefa za masywnym biurkiem.

Tym razem jednak pofatygował się osobiście. Chciał sprawę załatwić szybko i w miarę dyskretnie. Trudne dla siebie sytuacje zawsze załatwiał szybko i dyskretnie, przeciwnie niż te trudne dla pracowników, którymi delectował się możliwie długo. Ta, z którą miał się zmierzyć, należała niewątpliwie do pierwszej kategorii. Dlatego korzystając z tego, że na korytarzu nie było nikogo (sekretarka sprawdziła), zmierzał szybko do celu.

Przez przeszklone drzwi (doskonały pomysł, Prezes pochwalił, bo można w każdej chwili popatrzeć, co robią pracownicy, samemu zwykle nie będąc widzianym) zobaczył, że ta, z którą miał za chwilę przeprowadzić rozmowę, stoi przy oknie i bębni palcami po parapecie. Najdziwniejsze jednak było coś innego – kiedy poczuła, że ktoś na nią patrzy, i odwróciła się, dyrektor zobaczył, że rysy twarzy ma inne niż zazwyczaj. *Jakby na twarzy miała maskę*, pomyślał.

Nie miał odwrotu, widziała go, więc musiał wejść.

– Dzień dobry – zaczął. Nie odpowiedziała. – Chciałbym z panią porozmawiać. Ostatnio wiele osób zgłaszało uwagi dotyczące pani zachowania.

Żadnej reakcji. Stała nieruchomo przy oknie, ciągle bębniąc palcami.

– Informatycy twierdzą, że oskarża ich pani o coś, o czym nie mają pojęcia; wiem, że coraz gorzej układają się pani stosunki z koleżankami, a dziś dyrektor administracyjny wspomniał, że niegrzecznie potraktowała pani portiera. Czy to prawda?

Cisza. Nieruchoma maska i oczy wpatrzone wprost w niego. Wiesław Krawczuk rozluźnił nieco krawat.

– Pani Olgo, cenię pani pracę i wiem, bo sama pani o tym wspominała, o pani kłopotach ze zdrowiem. Nie chcę tracić dobrego pracownika, więc proponuję urlop. Na razie dwa tygodnie, z tego zaległego sprzed dwóch lat. Przygotowałem pismo, wystarczy podpis.

Położył kartkę na biurku, z wewnętrznej kieszeni wyciągnął pióro i podał Oldze. Stali przez kilka sekund naprzeciw siebie w milczeniu i Wiesław zaczynał już dostrzegać śmieszność całej sytuacji. Przeklinał w myślach przeszklone drzwi i miał nadzieję, że nikt ich teraz nie obserwuje.

Wybuch śmiechu zaskoczył go do tego stopnia, że wypuścił pióro z ręki. Ona się śmiała! Krawczuk nic z tego nie rozumiał. A Olga po prostu zanosiła się śmiechem.

– Wspaniały pomysł, naprawdę, dyrektorze – parskała i prychała. – Marzyłam o urlopie. Od trzech lat każdego dnia marzyłam o urlopie, ale ciągle było tyle pracy. Bardzo dziękuję, że pan o mnie pomyślał. – Zasłoniła usta ręką, ale nie mogła stłumić śmiechu. – Oczywiście, że podpiszę. – Sięgnęła po długopis leżący na biurku. – Tutaj? Dobrze, tak? O, widzę, że urlop mam już od dziś. O wszystkim pan pomyślał, gratuluję! – Śmiała się nadal, ba, zanosiła się śmiechem, pakując osobiste drobiazgi do torebki. – W takim razie na mnie pora! Lecę, bo ktoś na mnie czeka. Do widzenia, do zobaczenia za dwa tygodnie! Pa, pa!

Wiesław Krawczuk jeszcze kilka minut stał nieruchomo na środku pokoju. Nie rozumiał tego, czego przed chwilą był świadkiem. Nigdy nie spotkało go coś takiego, nie przypominał sobie też podobnego ćwiczenia na żadnym ze szkoleń. Zrobił więc jedyne, co przyszło mu do głowy. Podniósł z podłogi pióro, w końcu było bardzo drogie, i dostojnym krokiem powrócił do gabinetu. Najważniejsze, że załatwił to, co miał załatwić. Skuteczność była jedną z cech, za które szczególnie chwalił innych Prezes.



Podjęła decyzję i czuła spokój. Ból głowy zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z lekkim uśmiechem na ustach zrobiła zakupy i szczególnie starannie przygotowała kolację.

Już o dwudziestej usiadła w fotelu i patrząc na odświętnie nakryty stół i palące się świece, czekała. Zegarek tykał miarowo, odliczając sekundy i minuty dzielące ją od tego, co nieuchronnie miało nadejść. Gabi leżał spokojnie na jej stopach.

Kilka minut po dwudziestej drugiej usłyszała pukanie. Pies podbiegł do drzwi i radośnie zaszczekał. Wahała się kilka sekund, ale wreszcie wstała i bez pośpiechu poszła do przedpokoju.

Zdecydowanym ruchem chwyciła klamkę, nacisnęła i drzwi ustąpiły.

– Proszę, wejdź – powiedziała. – Zjemy kolację i porozmawiamy.



II

– Nie musisz się mnie bać.

Ani trochę nie wierzyła w to, co mówił ten dziwny człowiek. Odkąd usiadła na kanapie, nie mogła uczynić najmniejszego ruchu. Była sparaliżowana, nie wiedziała tylko, czy strachem, czy też dziwną atmosferą, którą stwarzał nieznajomy. Nie potrafiła kiwnąć nawet palcem, nie była zdolna do wezwania pomocy, bała się, że gdyby teraz zechciał ją zamordować, to nie napotkałby żadnego oporu. Ani jeden dźwięk nie wydobył się z gardła Olgi. Wodziła jedynie za nim wzrokiem, obserwowała, jak pogłaskał psa, który wyglądał na bardzo zadowolonego, jak poszedł do kuchni, skąd przyniósł tacę z filiżankami i dzbankiem pełnym kawy. Obserwowała uważnie każdy, najmniejszy nawet ruch, chciała dokładnie zapamiętać, czego dotyczył, żeby potem, jeśli przeżyje, zawiadomić policję i ułatwić im złapanie psychopaty. Podjęła ryzykowną grę, postawiła wszystko na jedną kartę, wpuszczając mężczyznę do swojego domu. Zrobiła to wyłącznie dlatego, że była przekonana, iż niedługo umrze. Traktowała całą grę w kategorii dobrego uczynku, który być może uda jej się zrobić przed śmiercią, a który uratuje kolejne potencjalne ofiary. Jeśli się nie uda, to trudno, i tak nie miała przed sobą długiego, a tym bardziej szczęśliwego życia; przynajmniej zakończy je z poczuciem, że próbowała zrobić coś dobrego.

– Nie umrzesz. – Mężczyzna rozsiadł się wygodnie w fotelu i patrzył jej prosto w oczy.

– Właśnie, że umrę. – Nie poznała własnego głosu, był zachrypnięty i piskliwy.

– Już ci mówiłem, żebyś się nie bała. Jestem tu po to, żeby ci pomóc, a nie krzywdzić. Są rzeczy i wydarzenia, których nie unikniesz. Chcę, żebyś nie musiała błędzić. Szkoda czasu, bo jest nas coraz mniej.

Olga zyskała pewność, że ma przed sobą człowieka niespełna rozumu. Wydawało się jednak, że jest to wariat nieszkodliwy i naprawdę nie zamierza zrobić jej nic złego. Strach nieco zelżał.

– Ból głowy minął jakiś czas temu, prawda? Nie czujesz go już?

Skąd wiedział?! Miał rację, nie czuła uciążliwego pulsowania. Kiedy mężczyzna wstał i podszedł do niej, zeszywniała na nowo. Położył jej rękę na czole, drugą wykonywał chyba jakieś gesty ponad jej głową; nie widziała tego, ale czuła lekki powiew. Dłonie miał chłodne, mile łagodziły rozpalone czoło. Olga poczuła, że napięcie znika, strach odchodzi, że czuje się lekka i zrelaksowana. Żałowała, kiedy wrócił na fotel, ale nie powiedziała mu o tym. Zamiast tego spytała:

– Chcesz mi wmówić, że jestem aniołem?

– Nie zamierzam niczego ci wmawiać, pragnę cię tylko przekonać. Musisz uwierzyć, a zrozumienie przyjdzie samo.

– Ty też jesteś aniołem, tak?

– W pewnym sensie. Nazywam się Ananke, to oznacza przeznaczenie. Mówię wybranym o tym, do czego zostali wyznaczeni. Ty jesteś szczególna, dlatego pojawiłem się dosyć nieoczekiwanie, bez wstępu.

– Nie widzę w sobie nic szczególnego. Wydaje mi się, że się mylisz. – Ostrożnie, żeby go nie zdenerwować, próbowała skłonić go do zmiany decyzji.

Na twarzy Ananke pojawił się delikatny uśmiech, jakby wiedział o wszystkim, cokolwiek Olga pomyśli.

– Nadal mi nie wierzysz. Szkoda, bo wszystko stałoby się prostsze. Nalać ci kawy? – Widząc, że Olga skinęła głową, nalał płynu do jednej z filiżanek i podał ją dziewczynie. – Czeka nas długa rozmowa, więc przyda ci się wzmocnienie. – Powrócił do wygodnej pozycji, nogi oparł na brzegu stolika. Z niedowierzaniem dostrzegła, że na podeszwach butów, które były czyste, jakby wzięte wprost ze sklepowej półki, ma jeszcze przyklejone metki. Nieznajomy uchwycił jej spojrzenie i przekręcił stopę tak, aby zobaczyć, co przykuło uwagę Olgi.

– No tak, znowu gubią mnie szczegóły – roześmiał się. – Nie jestem najlepszy w tych ubraniowych sprawach, ciągle coś mi umyka. Widzisz, w zasadzie nie potrzebuję butów, bo nie chodzę. Nie rozumiesz? To proste, pojawiając się tam, gdzie chcę. No, ale noszę to wszystko, żeby nie wywoływać jeszcze większej sensacji. Chyba nie jest najgorzej, jak sądzisz?

Miał rację, było dobrze. Kremowy sweter z owczej wełny z golfem, do tego brązowe sztruksowe spodnie, zamszowe buty i kurtka w tym samym kolorze. To, oraz fakt, że był bardzo przystojny, tworzyło harmonijną całość, która w innej sytuacji z pewnością wzbudziłaby jej zainteresowanie. Teraz jednak intensywnie myślała o czym innym. Doskonale wiedziała, dlaczego buty są czyste. Po prostu założył je tuż przed drzwiami, a potem wyrzucił, żeby nie można było rozpoznać śladów. Sprytny jest ten aniołek, nie ma co! Ale na głupią nie trafił, o nie! Tylko co zrobić? Może zadzwonić dyskretnie po Gabora?

– Nie uda się. – Ananke był zły i nie ukrywał tego. – Komórka się rozładowała, a stacjonarny nie działa.

Olga zaczynała trochę panikować.

– Majstrowałeś coś przy linii, tak? – Ona też nie kryła uczyć. – Tak jak wcześniej przy faksie i mojej skrzynce e-mailowej. Odczep się ode mnie, świrze. – Miała dosyć, nerwy puściły i było jej wszystko jedno, co się stanie. – Jak masz mnie zabić, to zabij, a jak nie, to już idź, bo nie mam zamiaru dalej prowadzić tej chorej rozmowy. Nie będę żadnym aniołem. Nie wierzę w anioły ani w diabły, ani w nic. Czy to dla ciebie jasne, jesteś w stanie to zrozumieć?

Ananke wstał. Nagle wydało się Oldze, że wypełnia sobą cały pokój. Był potężny, wszechwładny, wiedziała, że nie ma w konfrontacji z nim żadnych szans. Poczowała coś w rodzaju szacunku, zdała sobie sprawę ze swojej małości, z tego, że nic nie znaczy. Już wiedziała, że zrobi wszystko, co ten człowiek zechce.

– Usiądź – powiedział twardo – i się uspokój. Pójdę, kiedy skończę to, co muszę powiedzieć. Teraz nie czas na dyskusje.

Olga usiadła, pokój powrócił do normalnych rozmiarów. Gość nie usiadł. Gestem odesłał psa na jego legowisko; ten posłuchał natychmiast i położył się grzecznie, kładąc uszy po sobie. Mężczyzna stał teraz na środku pokoju z gniewem w oczach. Budził respekt, łagodność znikła.

– Nie mam zamiaru tracić czasu na twoje bzdurne przypuszczenia. Z tym, co ci powiem, zrobisz, co zechcesz. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że ja nie odejdę. Będę przy tobie, dopóki nie odnajdziesz właściwej drogi. Wiedz, że to, co cię spotyka, nie jest karą, ale nagrodą i wielkim wyróżnieniem. Niewielu jest to dane. Zostałaś wybrana, bo już teraz chcesz czynić dobro, drażnią cię zło, pycha, fałsz, wzruszają cię nieszczęścia. Jesteś bardzo ważna, musisz pomagać ludziom. Bez aniołów świat zginie. One muszą istnieć, a niestety jest ich coraz mniej. Ludzie gubią się w pogoni za dobrami materialnymi, ulegają złu, nie walczą, bo po prostu nie chcą. Ty jesteś inna, wiesz o tym sama, tylko musisz dopuścić prawdę do siebie. Nie blokuj tego, o czym wiesz, że istnieje. Nie bój się, nie zwlekaj, nic nie zmienisz. Ja ci to mówię, Ananke. Chyba...

– Że co? – nie wytrzymała Olga, chwytając się jak ostatniej deski ratunku wahania, które usłyszała w głosie przybysza.

– Chyba że wybierzesz zło. Już raz byłaś blisko dokonania wyboru. Bałem się, ale wierzyłem w ciebie. Nie zawiodłaś. Ale zło nie zniknęło, wie, że jesteś ważna, i walczy o ciebie. Dlatego nie mogę odejść i zostawić cię w spokoju. To dzieje się tak szybko, bez przygotowania, możesz nie mieć jeszcze dość sił, żeby się przeciwstawić.

Ananke zamilkł i patrzył gdzieś ponad głową Olgi. Gdzieś daleko, w głąb świata, jakby chciał zrozumieć i poznać przyszłość. Po chwili zbliżył się do dziewczyny i znowu położył jej dłoń na czole.

– Zostawiam ci ten ból, on ostrzega. Z pewnością już to zauważyłaś, ale wiem, że i tego nie chcesz zaakceptować. Wiem też, że to uciążliwe, ale uwierz, że konieczne. Kiedyś minie, od ciebie tylko zależy, jak szybko. – Znowu się uśmiechnął, a Olga

poczuła dziwne ciepło w sercu. – Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz, ale pamiętaj, że nie masz go nieskończenie wiele. Im dłużej zwlekasz, tym gorzej dla tych, którym możesz pomóc. Teraz pójdę już, na mnie pora. Odpocznij.

Patrzyła, jak zakłada kurtkę. Robił to powoli, miał kłopot z zapięciem guzików. Uśmiechnął się przepaszająco.

– Widzisz, wiecznie mam z tym problem. Nie odprowadzisz mnie do drzwi?

Olga wstała i jak automat poszła za gościem do przedpokoju. Ten, stojąc już w drzwiach, odwrócił się raz jeszcze.

– Nie mów nikomu, że u ciebie byłem. Zwłaszcza Gaborowi. Tak będzie lepiej dla ciebie, uwierz mi. Dobranoc.

Natychmiast po zatrzaśnięciu drzwi spojrzała przez wizjer. Nie było nikogo. Nie słyszała kroków na schodach. Pobieгла do okna i długo patrzyła na chodnik prowadzący do klatki. Nikt nie wyszedł. W końcu zrezygnowana wróciła na kanapę. Chwilę wpatrywała się w stojące na stoliku naczynia. Jego filiżanka była nietknięta, czysta i biała. Biała? To niemożliwe, nie miała takich filiżanek. Wszystkie jej filiżanki miały namalowane przez nią osobiście aniołki. Teraz jeden z nich zniknął. Chwyciła filiżankę i po chwili mocowania się z drzwiami wybiegła na klatkę schodową.

– Pewnie jeszcze tam się gdzieś czaisz, psychopato! – wrzasnęła.
– Weź sobie to, co podrzuciłeś! Nie zrobisz ze mnie wariatki! Nie, nie i jeszcze raz nie! – Rzuciła naczynie i wróciła do mieszkania. Za plecami usłyszała brzęk i trzask zasuwu u sąsiadki.



Stanisława Bocheńska zawsze reagowała na podejrzaną sytuację. Informowanie policji, straży miejskiej i administracji bloku o wszystkim, co się działo w budynku, uznawała za swój obywatelski obowiązek. Przez to stała się dla służb porządkowych i urzędników prawdziwym utrapieniem. Tym razem, słysząc podniesiony głos młodej sąsiadki, także nie pozostała obojętna.

Chwilę tkwiła z okiem przy wizjerze, a następnie wyszła i zebrała rozbitą na półpiętrze filiżankę. *Taka ładna rzecz, pomyślała. Widać, że ręcznie malowana. Młodym to niczego nie szkoda, nie szanują ludzkiej pracy, myślą, że wszystko mogą kupić.*

Wróciła do swojego mieszkania, wyrzuciła stłuczoną porcelanę do kosza i nie zapominając uprzednio umyć rąk, żeby nie przywlec do domu jakiegoś choróbska, sięgnęła po telefon.

Uprzejmie poinformowała dyżurnego oficera policji o krzykach za drzwiami, dodając, że powinno ich to zainteresować, bo sami pytali o sąsiadkę. Zasmuciła się nieco, słysząc, że patrol nie przyjedzie, bo liczyła na kilka ekscytujących chwil. Noce dłużyły się Stanisławie bardzo, nie mogła spać, więc z wdzięcznością przyjęłaby nieco rozrywki. Nie, to nie. Postanowiła tylko, że jutro z samego rana zaproponuje administratorowi wydanie rozporządzenia nakazującego lokatorom sprzątanie po sobie na klatce schodowej. *A gdyby ktoś się przewrócił na tym rozbitym szkłe, pomyślała, mógłby się pokaleczyć i nieszczęście gotowe.*

Zadowolona ze swoich planów powróciła do oglądania programu, w którym amerykański jegomość rozmawiał z człowiekiem, o którego przed chwilą biły się cztery kobiety i jeden mężczyzna. *Ta Ameryka to kraj zboczeńców.* Stanisława pokręciła ze zgorzeniem głową, ale oglądała dalej.



Gabor ze złością zatrzasnął drzwi samochodu. Nie znosił blokowisk. Denerwowały go te ludzkie zbiorowiska, szarość i siermiężność otoczenia. Lubił luksus, wygodę i był esteta. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze przyjdzie mu bywać w takich miejscach, ale miał nadzieję, że nie będzie się to ciągnąć w nieskończoność. Położył bukiet czerwonych róż na dachu wozu, poprawił krawat i zapiął marynarkę. Szybko zerknął w lusterko i zadowolony z tego, co widzi, z uznaniem kiwnął głową. Szybkim krokiem ruszył w kierunku drzwi klatki schodowej, w połowie drogi przypomniał sobie o kwiatkach, wrócił po nie, wreszcie dotarł

do domofonu, ale nie wcisnął żadnego guzika. Pchnął drzwi; te bez oporu ustąpiły i Gabor, przeskakując po dwa stopnie, wspiął się na trzecie piętro.

– Przepraszam... – Sceniczny szept sprawił, że nie nacisnął dzwonka. Starsza pani z przepaszającym uśmiechem na pomarszczonej twarzy wysuwała głowę zza drzwi swojego mieszkania.

Nie znosił starości. Była brzydka, odrażająca i nie do zaakceptowania. Powstrzymując się z całych sił, żeby nie okazać obrzydzenia, zapytał:

– Pani mówi do mnie?

– Przecież nikogo innego tu nie ma – zauważyła przytomnie staruszka. – Pan jest tym młodzieńcem, który odwiedza Oleńkę?

– Owszem, w czym mogę pomóc? – Miał nadzieję, że oficjalny ton zniechęci kobietę do dłuższych pogaduszek.

– Powinien pan wiedzieć, że z nią dzieje się coś dziwnego. W nocy potłukła tu – wskazała palcem na półpiętro – chyba cały serwis do herbaty. Huk był taki, że cały dom na nogi postawił, a ja przez pół nocy potem...

– Rozumiem, zapytam ją, co się stało. Dziękuję.

– To dobrze, dobrze, bo może coś złego się dzieje. – Stanisława nie rezygnowała. – Może pomocy to dziecko potrzebuje, ona taka przemęczona. – Widząc, że mężczyzna się odwraca, dodała szybko: – I jeszcze jedno, policja tu była i pytała o nią. Nie wie pan dlaczego?

Odpowiedzi nie było, więc rozczarowana staruszka wycofała się w głąb mieszkania, mruczając do siebie coś o złym wychowaniu.

Gabor, zadowolony, że udało mu się pozbyć niepożądanego towarzystwa, zadzwonił do drzwi. Po chwili drugi raz, potem trzeci. Nie słyszał żadnego ruchu po drugiej stronie, więc sięgnął po telefon.

– Gdzie ty jesteś? Jak to w domu? – Nie potrafił powstrzymać rozdrażnienia. – Stoję pod drzwiami od pięciu minut i dzwonię, a ty nie otwierasz. Tak, ja dzwonię, pospiesz się, bo twoja

sąsiadka gotowa znowu przypuścić na mnie atak.

Ostatnie zdanie mógł powiedzieć bez pośrednictwa telefonu, bo Olga zdążyła już podejść do drzwi i je otworzyć.

– Nareszcie. Czy możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Stała wpatrzona w bukiet, o którym on całkiem zapomniał.

– No i popsułaś mi cały plan. Trudno. Może chociaż mnie wpuścisz do środka?

Olga cofnęła się o dwa kroki, robiąc Gaborowi miejsce w niewielkim przedpokoju.

– Nie czuję się najlepiej – tłumaczyła się, pocierając dłonią powieki, czoło i policzki.

Rzeczywiście, nie wyglądała dobrze. Brak makijażu czynił widocznymi cienie pod oczami i podkreślał bladość skóry. W oczach dziewczyny Gabor zobaczył zagubienie i strach. Odłożył bukiet na stolik i bez słowa przytulił ją mocno, w duchu mając nadzieję, że nie będzie płakała i nie zniszczy mu marynarki.

Nie płakała. Ścisnęła go tylko tak mocno, że był zdziwiony jej siłą. Stali tak przez chwilę, potem Olga odsunęła się i z bladym uśmiechem zaproponowała kawę. Przyjął propozycję z ulgą, bo dawała nadzieję, że wreszcie przejdą do pokoju i będzie mógł z nią spokojnie porozmawiać. Ostatecznie nie przyszedł tu, żeby milczeć, lecz w konkretnym celu.

Olga zauważyła, że drżą jej ręce. Wsypując kawę do ekspresu, zastanawiała się, w jaki sposób powiedzieć Gaborowi o tym, o spotkało ją poprzedniego wieczoru. Z góry wiedziała, że nie pochwali wpuszczenia nieznajomego do domu. Poza tym... co mu opowie? Z perspektywy poranka cała wczorajsza sytuacja wydawała się śmieszna, wręcz żenująca. Zaraz po przebudzeniu zastanawiała się nawet, czy to wszystko jej się nie przyśniło. Anioł i cała reszta bzdur.

Czyżbym była naprawdę tak przemęczona? Ten urlop to niezły pomysł. Należy mi się odpoczynek, dużo luzu. Może lepiej zaproponuję Gaborowi wspólne wyjście wieczorem, na pewno się

ucieszy. A mnie dobrze zrobi zabawa.

Kawa powoli kapiała do dzbanka, zapach drażnił nozdrza. Sięgnęła po tacę, postawiła na niej filiżanki. Filiżanki?! Szybkim ruchem otworzyła szafkę i wzrokiem przebiegła po półkach. Dwie, cztery, sześć... były wszystkie. Komplet, ani jednej nie brakowało. A ta, którą wczoraj stłukła? Znowu poczuła się niepewnie. Może jednak sen? Albo... Oparła się plecami o kuchenny blat. Zapomniała, że jest chora! Z pewnością to jakieś halucynacje albo coś w tym rodzaju. Bez wątpienia musi się zająć swoim zdrowiem. I zrobi to zaraz, kiedy Gabor wyjdzie.

Nagle zapragnęła, żeby wyszedł natychmiast. Niech powie, po co przyszedł, i idzie. Ona ma tyle spraw do załatwienia.

Kawa wykapała się do końca, o czym poinformował Olgę sygnał dzwinkowy. Zdecydowana na szybkie pozbycie się Gabora, chwyciła tacę i wróciła do pokoju.

Mężczyzna zdążył zdjąć marynarkę i z właściwą sobie pedanterią powiesił ją na „swoim” wieszaku w przedpokoju. Teraz siedział w fotelu i palił papierosa.

– Dzięki. – Przyjął filiżankę i odstawił ją na stolik. – Widzę, że masz zapasowy serwis do kawy.

– Jaki zapasowy?

– Twoja zasuszona sąsiadka poinformowała mnie życzliwie – podkreślił ostatnie słowo – że dziś w nocy wytłukłaś porcelanę na schodach.

– Tak powiedziała?

– Mhm. – Gabor upił łyk kawy. – Ale wolałbym wiedzieć, co ty masz na ten temat do powiedzenia.

– Widzisz, to trudne... Nie wiem, jak zacząć... Miałam ci nic nie mówić, bo sama mam już taki mętlik w głowie, myślałam, że to z powodu choroby, że coś mi się śniło, ale skoro ona widziała... Zresztą to nie był serwis, ale zaledwie filiżanka. On musiał swoją przynieść i podłożyć, innego wyjścia nie widzę, serwis, serwis, niby-miło, niby-anioty-fijoły. Tak, fijoł, świr i psychopata.

– Nic z tego nie rozumiem. – Gabor przyglądał się Oldze uważnie.

– Pleciesz od rzeczy. Kto podmienił? Jakie anioły?

– No, ten, co za mną chodzi od kilku dni. Wszystko wie, śledzi mnie, ale widzisz, że śledzie lubię, to nie wiedział. Za to wiedział o tobie, ale mówi, że nie umrę.

– Bo nie umrzesz, o tym już rozmawialiśmy chyba, co? Jesteś zdrowa jak koń, tylko za bardzo się denerwujesz. Ktoś cię śledzi? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nikt mi nie wierzył. Dziewczyny mnie obgadują i przez to musiałam iść na urlop. I głowa mnie bardzo boli, a on, jak przyszedł, to dotknął mnie i przestało.

Gabor zmarszczył czoło, próbując sobie poukładać w głowie to, co usłyszał. Rozumiał, że zaszło wiele nowych okoliczności zdolnych pokrzyżować jego plany. Do tego nie mógł dopuścić. Musiał opanować sytuację. Pochylił się nad stolikiem, wziął dłoń Olgi w swoją i zaczął ją gładzić. Pieszczota odniosła skutek, dziewczyna uspokoiła się i spojrzała na niego jakby przytomniej.

– Posłuchaj mnie uważnie – zaczął powoli, starannie dobierając słowa. – Dzwoniłem rano do twojej firmy i dowiedziałem się, że masz urlop. Nic mi nie powiedziałaś. To nieładnie z twojej strony, bo przecież jesteśmy razem już na tyle długo, że powinniśmy mówić sobie o takich rzeczach. – Widząc, że Olga napina mięśnie i próbuje cofnąć rękę, uśmiechnął się miło i uspokajająco. – Nie denerwuj się, nie mam do ciebie pretensji. Wystraszyłem się tylko, że chcesz gdzieś wyjechać beze mnie, albo nawet z kimś innym. I zrozumiałem, że nie mógłbym bez ciebie żyć. Natychmiast tu przyjechałem, bo... – Wstał. – Poczekaj chwilę, muszę się przygotować.

Włożył marynarkę, wziął kwiaty i uklęknął przed Olgą. Ta, zdziwiona, bez słowa patrzyła na rozgrywającą się przed nią scenę.

– Chciałbym cię prosić, żebyś była ze mną na zawsze. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielkie pudełeczko. – To dla ciebie, przyjmij, proszę.

Oświadczał się. Gabor prosił ją o rękę. Każda kobieta na jej miejscu cieszyłaby się z takiego obrotu spraw. Ona jednak nie

czuła szczęścia i euforii. Miała wrażenie, że ogląda film, że w tej scenie bierze udział inna kobieta, nie ona. To, co nastąpiło, nie zdziwiło jej wcale. Ból przyszedł nagle, ale była na niego przygotowana, spodziewała się, że tak będzie. Po prostu wiedziała.

Odruchowo schowała ręce za plecy. *Teraz powinnam coś powiedzieć*, pomyślała. *Przecież on nie może tak klęczeć przede mną.*

– Nie mogę tego przyjąć.

Czy właśnie to chciałam powiedzieć?

– To nie byłoby w porządku wobec ciebie.

Mężczyzna podniósł się i wyprostował.

– Coś było nie tak? Sądziłem, że kobiety w ten sposób wyobrażają sobie takie chwile. – Jak na odrzuconego kochanka był wyjątkowo opanowany. – Czy możesz przybliżyć mi powody swojej odmowy, bo chyba jakieś wyjaśnienie mi się należy?

– Oczywiście. Nie zrozum mnie źle, ale teraz nie mogę. – Szukała odpowiednich słów, bo nie chciała go urazić. – Naprawdę czuję, że coś mi jest. Ten lekarz musiał się mylić. Mam ciągłe bóle głowy, muszę to wyjaśnić, mieć pewność. Ty też powinieneś być pewien...

– Ja jestem pewien.

– To dobrze, że wierzysz, ale...

– Coś jeszcze?

– Ten mężczyzna. Przez niego nie mogę normalnie żyć. Jestem roztrzęsiona, a w takim stanie nie powinnam podejmować poważnych decyzji. To zobowiązanie na całe życie, nie mogę ot tak...

– Dobrze, znajdę go i porozmawiam z nim. Pod dwoma warunkami, zgoda?

– Jakimi?

– Po pierwsze: opowiesz mi wreszcie z sensem o tym wszystkim, a po drugie: obiecasz, że kiedy przestanie cię prześladować, raz jeszcze przemyślisz moją propozycję.

Olga podziwiała jego spokój. Sama, będąc na jego miejscu, pewnie wyszłaby, trzaskając drzwiami. Potraktowała go źle, a on

zdawał się nie mieć pretensji. Z drugiej strony taka rzeczowość kojarzyła się z chłodem, wręcz zimnem.

Zależy mu w końcu czy nie zależy? Gdyby zależało, to okazałby emocje, krzyczał i wypominał robione mu nadzieje. A on zniósł porażkę bez słowa, z kamienną twarzą. No, ale gdyby mu nie zależało, to czy chciałby, żeby się zastanowiła? W ogóle nie musiał prosić jej o rękę. Bał się, że go zostawi? Nie, to nie w stylu Gabora. Nic z tego nie rozumiała.

Powiem mu o wszystkim bez względu na to, jak głupio zabrzmie moja opowieść. Najwyżej on też mi nie uwierzy.

Kawa wystygła, ale nie chciała tracić czasu na parzenie nowej. Nie patrząc Gaborowi w oczy, opowiedziała o wszystkim, nie ukrywając nawet tego, że mężczyzna prosił, aby nic chłopakowi nie mówiła. Kiedy skończyła, nie podniosła wzroku, z uporem patrzyła na swoje gołe stopy.

Gabor był porażony tym, co usłyszał. Zrozumiał, że musi działać szybko, zanim będzie za późno. Rozluźnił krawat, przeczesał palcami włosy, chciał zyskać na czasie, zanim coś powie.

– Wygląda mi to na sektę. Uwzięli się na ciebie, bo nieźle zarabiasz, masz mieszkanie i jesteś samotna. To dla nich łąkowy kąsek. Czytałem o takich. Pranie mózgu ci zrobią, aż uwierzysz, a potem oddasz im wszystko. Znajdę faceta i to załatwię. Mówisz, że policja nic nie chce zrobić? To też załatwię, powiem znajomym, niech ich pogonią do roboty! Nic się nie bój. – Zdenerwowany przemierzał pokój. – A ty nie powinnaś być sama, bo to go prowokuje. Może przeprowadzisz się do matki na jakiś czas?

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. Nie wyobrażała sobie powrotu do Marianny i przebywania z nią pod jednym dachem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Dobrze, dobrze! Nie chcesz, to nie będę cię zmuszał, ale musisz obiecać, że więcej go do domu nie wpuścisz. Zresztą wynajmę firmę ochroniarską, ochroniarz zawsze będzie stał przed klatką. Nikt już nie będzie cię nachodził. Anioł, też pomysł!

– Może nie trzeba aż tak, ten ochroniarz to chyba przesada...

– Chciałaś, żebym się tym zajął, to się zajmuję. – Gabor twardo obstawał przy swoim.

Nagle zaczął bardzo się spieszyć. Znowu stał się takim Gaborem, jakiego znała – silnym, gotowym do działania. Szczerczącym zęby do wrogów. Prawie wybiegł, obiecując na odchodnym, że po południu zadzwoni, a w razie czego niech dzwoni ona.

Olga została sama. Powoli, bo przecież naprawdę nigdzie się nie spieszyła, posprzątała ze stołu i wstawiła kwiaty do wazonu. Dobrze, że powiedziała Gaborowi o wszystkim. Miło, że tak się przejął, że zdjął z niej ciężar problemu.



Gabor ruszył z piskiem opon. Nie jechał daleko, zaparkował kilka ulic od bloku Olgi. Wysiadł z samochodu i podszedł do stojącego przy garażu chłopaka.

– Trzeba znaleźć jednego gościa.

Chłopak nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Stał nieruchomo, oparty plecami o blaszaną ścianę. Powoli, jakby z namysłem, przeżuwał gumę wpatrzony tępo w jakiś nieznany punkt w oddali.

– Daję stówkę temu, kto go namierzy.

Żadnej widocznej reakcji.

– I druga dla ciebie, jak zawsze.

Chłopak wypluł gumę, która upadła tuż pod nogami Gabora.

– Kto to ma być?

– Najpierw podnieś to. – Wskazał z obrzydzeniem na mokrą masę oblepioną już ziemią. – I przeproś. Nie znoszę chamstwa.

Chłopak niechętnie się pochylił i podniósł to, co chwilę wcześniej wypluł.

– To kto?

– Najpierw przeproś.

– Sorry. – Burknięcie było ledwie słyszalne.

– Grzeczny chłopak – pochwalił Gabor. – Szukacie blondyna, takiego dobrego, że już na pierwszy rzut oka rzygać się chce. Poznacie bez pudła. Kręci się wokół tamtego bloku. Zresztą po

całym osiedlu też.

– Ma się przestać kręcić? – nieco żywiej zainteresował się chłopak.

– Nie dacie rady. Wystarczy, że zadzwonisz, jak go zobaczycie.

– Co: nie damy rady! – oburzył się młody. – U siebie nie damy rady?!

– Mówię, że nie dacie, to nie dacie. Dzwon i tyle. Zrozumiałeś? Ja wydaję tu polecenia czy ty?

– Dobra, dobra...

Gabor wyciągnął z kieszeni portfel, a z niego dwadzieścia złotych.

– Masz, na fajki dla chłopaków.

Z obrzydzeniem popatrzył na brudną dłoń swojego rozmówcy. *Tylko brud, chamstwo i głupota, pomyślał. Co za beznadziejny świat! A ja to muszę znosić.*

Odjeżdżając, widział we wstecznym lusterku, że chłopak naciąga na głowę kaptur i przygarbiony idzie w stronę sąsiednich bloków. Po chwili usłyszał przenikliwy gwizd. Wiedział, że obława za chwilę wyruszy. Za pieniądze w tym świecie można było mieć wszystko i każdego. To tylko kwestia czasu i stawki. W tym wypadku zależało mu na czasie, więc stawka nie grała roli. Gotów był jeszcze dopłacić, żeby tylko jak najszybciej wyeliminować tego, kto stanął mu na drodze.



– Cześć, cześć! Co ty tutaj robisz?

Gabor nie był zadowolony ze spotkania, ale uśmiechnął się do pukającej w szybę dziewczyny. Nie musiał odpowiadać na pytanie, bo ona wcale tego nie oczekiwała. Nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi i właśnie sadowiła się wygodnie na skórzanym siedzeniu.

– Ale wypasiony! Musiał kosztować majątek, co? – Z zachwytem rozglądała się po wnętrzu samochodu. – Na tych cackach – wskazała na tablicę rozdzielczą – to ja się wcale nie znam, ale

zapach prawdziwej skóry poznaję na odległość.

Paplała bez przerwy i dotykała dosłownie wszystkiego, nie zapominając jednak co rusz poprawiać włosów i pokazywać w uśmiechu białych zębów.

– Byłeś u Olgi – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Ja też do niej idę, bo nic nie powiedziała, że bierze urlop. Widzisz, jaka z niej przyjaciółka! No, ale ja jestem wyrozumiała. Pomyślałam, że jak już ma wolne, to może wyskoczmy gdzieś wieczorem.

– Nie sądzę – udało się wtrącić Gaborowi, gdy Izka nabierała tchu. – Nie czuje się najlepiej i nie chce wychodzić.

– Nie rozumiem jej, serio. – Dziewczyna nie przejęła się samopoczuciem koleżanki. – Ja nigdy bym nie odmówiła, gdyby zaprosił mnie gdzieś taki mężczyzna jak ty. – Jej ręka z długimi, pomalowanymi w fantazyjne wzory paznokciami znalazła się na kolanie Gabora. – Przez Olgę obydwójce będziemy spędzać wieczór samotnie.

Prymityw, pycha i samozadowolenie graniczące z głupotą, podsumował w myślach Gabor. *Ale skoro i tak muszę czekać, to mogę wykorzystać jakoś ten czas. Ta dziewczyna jest łatwym kąskiem, sama pcha się w ręce. Grzechem byłoby nie skorzystać.* Uśmiechnął się do własnych myśli, co Izka zinterpretowała jako zachętę i przypuściła atak.

– A może zjemy razem kolację? Przecież Olga się nie obrazi, w końcu przyjaźnimy się wszyscy, nie?

– Dobry pomysł. Masz rację, po co mamy wszyscy się nudzić, skoro my możemy miło spędzić czas. – Przywołał na twarz najmiłszy z uśmiechów. – Przyjadę po ciebie o dziewiętnastej.

– Świetnie! Mam nadzieję, że zapewnisz mi niezapomniane wrażenia. – Rzuciła Gaborowi znaczące spojrzenie. Zabrała torebkę i wysiadła z samochodu. – Lecę do Olgi. Ale jeśli nie masz nic przeciwko, nie powiem jej o naszym spotkaniu. Niech odpoczywa spokojnie, bo ostatnio jest bardzo nerwowa.

– Tak, myślę, że to dobry pomysł.

– Widzisz, jak my się dobrze rozumiemy. Pa, do wieczora! –

Nachyliła się do mężczyzny, prezentując przy tym brzegi koronkowej bielizny w głębokim dekolcie. Pocałowała Gabora w policzek i odeszła, zadowolona z sukcesu.

Mężczyzna spokojnie i bez emocji obserwował szczupłą postać w doskonale skrojonym kostiumie. Długie nogi, krągły biust i gładkie ciało nie interesowały go bardziej niż smaczna kolacja czy dobre wino. Wszystko to było tak samo ulotne. Dla niego liczyło się coś zupełnie innego. Nie widział jednak powodu, dla którego miałby rezygnować przy okazji z drobnych przyjemności. Zwłaszcza kiedy przychodziły same, bez żadnego wysiłku z jego strony. Perspektywa wieczoru była jedynym pozytywem tego dnia. Nie miał żadnych informacji od chłopaka z osiedla. Wyglądało na to, że przeciwnik okazał się sprytniejszy, niż sądził. Fakt, że i stawka, o którą toczyła się gra, była nadzwyczajna.



Olga z daleka dostrzegła Izkę. Patrzyła, jak tamta się zbliża, machając bez troski torebką i stukając obcasami. Wyglądała na bardzo z czegoś zadowolona. Minę miała jak kot, który przed chwilą złapał mysz. Olga nie miała ochoty na żadne towarzystwo, a już najmniej na rozmowę o facetach i pracy. Wcale nie obchodziło jej, co działo się tego dnia w firmie ani co koleżanka robiła poprzedniego wieczoru. Od wyjścia Gabora tkwiła w oknie i patrzyła na to, co działo się za szybą. Odpowiadało jej to miejsce, czuła się nareszcie bezpieczna. Szklana tafla skutecznie oddzielała ją od tego, co było na zewnątrz, i jednocześnie dawała możliwość obserwowania wszystkiego bez konieczności uczestniczenia w zdarzeniach.

Nawet Gabi nie chciał dziś wychodzić. Wypuszczony rano wrócił po kilku minutach i teraz siedział na parapecie, wodząc oczami za każdym przechodniem. Na widok Izki zeskoczył na stolik, z niego na krzesło i na podłogę. Nie pobiegł do drzwi, lecz schował się pod łóżko, wyraźnie dając do zrozumienia swojej pani, że nie zamierza spotykać się z jej gościem.

– Nie bój się, nie wpuszczę jej – uspokoiła zwierzę. – Tylko skąd ty wiesz, mądralo, że ona idzie do nas?

Pies swoim zwyczajem nie odpowiedział. Olga wzruszyła ramionami i powróciła do obserwacji podwórka. Nie ruszyła się z miejsca, kiedy zadzwonił domofon, nie zareagowała na pukanie do drzwi.

– Olga, otwórz – usłyszała. – Przyniosłam wino i owoce.

Po chwili zadzwoniła komórka. Olga pozostała niewzruszona. *Muszę pamiętać, żeby ją wyłączyć*, pomyślała tylko. *Inaczej nie będę miała spokoju.*

Koleżanka stała pod drzwiami jeszcze przez chwilę.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziała głośno. – Słyszałam telefon. Nie chcesz mnie widzieć, to nie. Zostawiam ci wszystko na wycieracze, może jak się napijesz, to ci fochy przejdą. Możesz zadzwonić, jakbyś miała ochotę gdzieś wyskoczyć, byle nie dziś, bo mam już zajęty wieczór. Pa, miłego dziwaczenia ci życzę!

Nareszcie odeszła. Olga widziała, jak Iza odwraca się kilkakrotnie i patrzy w jej okna. Na wszelki wypadek odsunęła się od szyby, żeby koleżanka jej nie zauważyła. Mogłaby wrócić, a wtedy musiałaby ją wpuścić. Tego nie chciała. Tak jak nie chciała przyniesionego przez Izkę wina.

Nawet nie podeszła do drzwi, żeby zabrać pozostawione owoce i butelkę. Było jej obojętne, co się z nimi stanie. Z zupełnym spokojem przyjęła szcęk zasuwę u sąsiadki. Nie musiała podsłuchiwać, bo wiedziała, co się stanie za chwilę.

Za to Stanisława Bocheńska nie miała pojęcia, że ktoś domyśla się, co robi. Cichutko wyszła na klatkę i ostrożnie podniosła leżącą na wycieracze reklamówkę. Nie zaglądając do środka, zabrała torbę.

– Wezmę, bo zaraz ktoś ukradnie. Ludziom to się wszystko przyda. Jak sąsiadka przyjdzie, to oddam do rąk własnych. Przy okazji – mruzczała.

„Okazja” była terminem niezobowiązującym, a Stanisława nie była coraz młodsza, lecz coraz starsza, i pamięć czasem ją

zawodziła, więc mogło się zdarzyć, że o reklamówce zapomni. Nie na tyle jednak, żeby owoce zgniły, o nie. Staruszka lubiła owoce, a kieliszek wina od czasu do czasu to nawet lekarz jej zalecił. Tylko jak tu na to wszystko ma wystarczyć niewielka renta po mężu?

– Na zdrowie – powiedziała cicho Olga.

Było jej najzupełniej obojętne, co się dzieje poza mieszkaniem. Miała tylko nadzieję, że sąsiadka nigdy nie przyjdzie zwrócić zdobyczy. A Stanisława Bocheńska miała nawet taką pewność.



Wraz z nadejściem wieczoru powrócił niepokój. Olga nerwowo przemierzała swoje niewielkie mieszkanie. Cztery kroki do końca pokoju, dwa przez korytarz, trzy mniejsze w kuchni i powrót. Trzy mniejsze w kuchni, dwa przez korytarz... *Zadzwonię po Gabora. Niech przyjdzie. Nie, lepiej nie, kiedy telefonował po południu, wspominał o służbowej kolacji z szefem, więc i tak nie będzie mógł przyjechać.* Dwa przez korytarz, cztery do balkonu... Spacer z psem? Na samą myśl o opuszczeniu mieszkania poczuła niemal paraliżujący lęk. Może przecież pobiegać sam, zawsze tak było. Trzy mniejsze w kuchni... Może tabletką na sen? Machnęła ręką, uznając swój pomysł za głupi. Jeśli przyjdzie anioł, to lepiej, żeby miała jasny umysł. Anioł! *Co ja plotę, pomyślała, już zdążył mi namieszać w głowie. Czego ja się właściwie obawiam? Nie wpuszczę go po prostu, i tyle.*



Chłopak pojawił się znienacka. Wysunął się z cienia, jakby był jego częścią, która oddzieliła się na chwilę w ściśle określonym celu.

– E, facet, nie masz pożyczyć pięć złotych na fajki?

Był wysoki, szczupły, twarz ukrywał w cieniu kaptura. Patrzył uważnie na stojącego naprzeciwko mężczyznę. Czekał na odpowiedź spięty i czujny, gotowy do ataku. Pytanie było jedynie

pretekstem.

– Nie mam przy sobie pieniędzy.

– Ściemniasz?!

– Mówię prawdę. – Mężczyzna stał spokojnie, nie okazując lęku, co było nie w smak chłopakowi. Lubił czuć, że ludzie się go boją. A ten się nie bał.

– To wyskakuj z telefonu!

– Telefonu też nie mam.

– Co?! Każdy ma telefon!

– Każdy? Ty też?

– Odbij, facet. Nic ci do tego, co ja mam. Wyciągaj wszystko z kieszeni, ale już!

Mężczyzna spokojnie sięgnął do kieszeni. Wyjął czystą kartkę i położył na chodniku.

– Co to niby ma być?! – Chłopak był wściekły. Chciało mu się palić i liczył, że za chwilę dzięki zawartości kieszeni napotkanego mężczyzny będzie mógł to zrobić. – To nic niewarte.

– Ale może być warte wiele. Zależy, kto i co na niej napisze. To tak jak z tobą.

– Że niby co?

– Z twoim życiem. Też jest nic niewarte. Może takie pozostać, ale możesz je zmienić. Albo stracić.

– A! – zrozumiał chłopak. – To ty jesteś tym świrem, którego szukają po całym osiedlu. No, to na fajki będę miał. Dałbym ci w ryj, bo marudzisz okrutnie, ale rozkaz był, żeby tylko dać zajawkę, gdzie jesteś. – Splunął pogardliwie i włożył ręce do kieszeni. – Spadaj, facet, zanim się rozmyślę.

Mężczyzna podniósł do góry dłoń i gestem zatrzymał chłopaka.

– Nie weźmiesz? – Wskazał na leżącą kartkę.

– Na ch... mi to? – Wzruszył ramionami. – Nawet do podtarcia się nie nada, bo za szorstka.

Otarł nos wierzchem dłoni i zniknął w mroku tak samo cicho, jak się pojawił.

Mężczyzna spokojnie przykucnął, wziął do ręki kartkę, wygładził

ją, potem starannie złożył i schował do kieszeni. Podniósł się, popatrzył w górę i pomachał do stojącej w oknie postaci. Ta natychmiast odsunęła się od okna. Mężczyzna się uśmiechnął.



Olga odskoczyła od okna jak oparzona. Jest! Czują, że przyjdzie. Zrozumiała, że cały dzień czekała na tę wizytę. Obserwowała jego spotkanie z jednym z tych, którzy całe dni kryli się w klatkach schodowych i piwnicach, a wieczorem przemierzali osiedle niczym hieny w poszukiwaniu łupu. Pod osłoną ciemności byli agresywni, pewni bezkarności na dobrze znanym terenie. Patrzyła na rozgrywającą się pod oknami scenę jak na film. Bała się o nieznanego, ale jednocześnie była pewna, że nic mu się nie stanie. Jak w kinie, gdy wiadomo, że główny bohater nie może zginąć, bo nie byłoby happy endu. Gest powitania nieznanego sprawił jej przyjemność, a jednocześnie wzbudził lęk. Mężczyzna zauważył ją, a może wiedział, że patrzy?

Nie wpuszczę go, nie ma mowy! – przyrzekała sobie w myślach. Jednak kiedy rozległo się ciche pukanie, bez wahania otworzyła drzwi.

– Nic ci się nie stało?

Ten uśmiech. Zupełnie inny niż u Gabora. Taki uspokajający.

– Nic. Szkoda, że powiedziałaś Gaborowi o mojej wizycie, chociaż prosiłem, żebyś tego nie robiła. Cóż, masz wolną wolę, ale teraz będzie jeszcze trudniej.

– Nie rozumiem. Znasz Gabora? Skąd?

– Nie osobiście. Tylko ze słyszenia. Ale znam takich jak on. I ostrzegam cię, masz naprawdę mało czasu.

– Proszę cię, przestań już. Nie wspominaj mi znowu o tych bzdurach. Naprawdę nie chcę ich słuchać. – Olga zasłoniła rękami uszy. Nie dało to żadnego skutku, bo głos gościa słyszała nadal, jakby mówił w jej głowie.

– A jednak czekałaś na mnie.

– Nie! – Energicznie pokręciła głową, próbując jeszcze mocniej

przycisnąć dłonie do uszu. – No dobrze, masz rację, czekałam. – Ręce opadły bezwładnie wzdłuż tułowia. – Ale czy nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

– Dobrze, jak chcesz. Usiądziesz?

Opadła na najbliższy fotel. Ananke usiadł w drugim, na kolana natychmiast wskoczył mu Gabi, prosząc o porcję pieszczot. Dziewczyna przyglądała się dłoni głaszczącej psie futerko. Była smukła, o długich palcach, bladej skórze. Delikatna, ale zgrubienia żył czyniły ją silną.

– Opowiem ci o sobie – zdecydowała nieoczekiwanie.

Skinął głową bez słowa. I Olga zaczęła mówić. Musiała mówić i mówiła wszystko. Jak jeszcze nigdy i nikomu. Opowiadała o wszystkim; o dzieciństwie, matce, szkole, o swoich uczuciach, o tym, co czuje każdego dnia, i o tym, co czuje czasami. Nieskładne to wszystko było, mieszała czas i miejsca, ale z każdą chwilą zmniejszał się ciężar, który dotąd miała w sercu.

Urwała tak nagle, jak zaczęła. Nie widziała zegarka, nie wiedziała, jak długo trwały jej zwierzenia. Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale nie siedziała już w fotelu, lecz na kanapie, a obok niej tkwił Ananke. Poczowała na policzkach łzy, otarła je wierzchem dłoni. Nie miała siły. Była wyczerpana. Mężczyzna objął ją ramieniem i mocno przytulił. Wsunął dłoń w jej włosy i delikatnie masował skórę na głowie. To było niezwykle miłe i uspokajające. Westchnęła głęboko i odwróciła twarz w jego stronę.

– Przepraszam, nie wiem, co mi się stało. Jeszcze nigdy...

– Cii, wszystko dobrze. Tak trzeba. Wyrzucić z siebie to, co zalegało, przeszkadzało. Katharsis, oczyszczenie. To dobry znak.

Delikatnie ujął jej twarz w dłonie, zbliżył się i ją pocałował. Nigdy dotąd nie czuła niczego podobnego. Chęć oddania siebie, poddania się, była niesłychanie silna, aż bolało. Jednocześnie poczuła przyływ sił, dobroci, czułości, wielkiej miłości. Ananke odsunął się po chwili i patrząc Oldze prosto w oczy, zapytał:

– Już dobrze?

Przytaknęła.

– Jesteś już blisko. Dzisiaj stało się coś bardzo ważnego. Ja już wiem, że znasz prawdę, że widzisz tak, jak trzeba. Dopuść to do siebie, pozwól, żeby otworzyły się oczy twojego serca. Prawda jest jedna, znasz ją. A przed przeznaczeniem nie uciekniesz. Zajrzyj w głąb siebie, a tam znajdziesz odpowiedź na wszystkie pytania. Nie czekaj, nie ma na co. Wierzysz mi?

Był taki... taki inny niż Gabor. Czuły, serdeczny... Mówił tak spokojnie, a ona czuła, że ma rację. Dał jej to, czego nikt inny wcześniej nie potrafił. Spokój i ukojenie. Już samo to wystarczyłoby, żeby uwierzyć w to, co mówi.

– Ja ci nic nie dałem. Wszystko jest w tobie. Pomogłem tylko, bo to moje zadanie. Najważniejsza jesteś ty, o ciebie toczy się walka. Uważaj, nie popełnij błędu!

– Muszę iść do łazienki, pewnie wyglądam okropnie.

Roześmiał się.

– No pięknie. Ja ci tu rozprawiam o twoim przeznaczeniu, a ty nie potrafisz zapanować nad próżnością! Idź, jeśli to ma ci pomóc. Masz prawo do słabości. Dla mnie nie jest istotne, jak wyglądasz, ale jeśli bez tego nie możesz się obejść...

W łazience Olga spojrzała w lustro. Zmieniła się, widziała to wyraźnie. Znikła pionowa zmarszczka między brwiami, kąciki ust podniosły się, a w oczach dostrzegła nowy blask. Podobała się sobie w takim wydaniu. Czy to siedzący w pokoju mężczyzna tak ją odmienił? Czy wraz z uczuciem lekkości w duszy zmieniło się i ciało? Wpatrzona w swoją twarz, nie zauważyła nawet, że wciąż jest w koszuli nocnej. Zapomniała się przebrać rano, w ogóle nie przyszło jej to do głowy. Teraz też przyjęła swój strój całkiem naturalnie. Przybliżyła twarz do lustra i gładziła dłońmi policzki, chcąc zbadać dotykiem każdy jej odmieniony fragment. Gładziła brwi, przeczesywała palcami włosy, dotykała warg, na których czuła jeszcze smak pocałunku.

Od kontemplacji swojej nowej postaci oderwał ją natarczywy dźwięk dzwonka. Zignorowała go, ale po chwili zabrzmiał znowu, i jeszcze raz, i jeszcze... Wprost z łazienki podeszła do drzwi, dwa

kroki przez korytarz, z zamiarem odesłania niechcianego gościa do wszystkich diabłów. Ledwie zdążyła przekręcić zasuwę, drzwi otworzyły się na oścież, pchnięte silnym ramieniem, i do mieszkania wkroczył Gabor.

– Gdzie on jest? – zapytał bez żadnych wstępów.

– W pokoju. – Przerażona Olga przywarła do ściany, aby przepuścić rozjuszonego mężczyznę. Ten wszedł do pomieszczenia i natychmiast się cofnął.

– Nikogo tam nie ma.

– Musiał wyjść, kiedy byłam w łazience – próbowała tłumaczyć Olga, ale ból, który poczuła w skroni, dosłownie zwałił ją z nóg. Zaczęła osuwać się po ścianie i z pewnością upadłaby, gdyby Gabor jej nie przytrzymał. Wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do łóżka. Usiadł obok leżącej i zapytał:

– Czy on ci coś zrobił?

– Nie, był bardzo miły. Rozmawialiśmy... – Zamilkła niepewna, czy powiedzieć chłopakowi wszystko.

– Po co ty go w ogóle wpuściłaś? – Gabor był bardzo zdenerwowany. Patrzyła na niego i czuła coś niedobrego.

– A skąd ty wiedziałaś, że on tu jest?

– Mówiłem ci, że załatwię ochronę. Zadzwonili do mnie, więc natychmiast przyjechałem. Nie sądziłem, że będziesz tak nierozsądna, żeby go wpuścić. Przez twoją lekkomyślność musiałem wyjść ze służbowej kolacji. Jutro będę miał kłopoty w pracy.

– Przepraszam. – Ból nie ustawał, a przecucie czegoś złego było coraz silniejsze. – Ale skoro on już poszedł, to może i ty pójdziesz. Chciałabym zostać sama.

Gabor znieruchomiał. Uważnie przyjrzał się swojej dziewczynie.

– Olga, to bardzo niebezpieczny człowiek – cedził słowa powoli, hamując narastającą wściekłość. – Musisz mi obiecać, że więcej go nie wpuścisz, a jeśli przyjdzie, natychmiast do mnie zadzwonisz. Nie jesteś jego pierwszą ofiarą, potrafi omotać kobietę, a kiedy dostanie to, na czym mu zależy, ty będziesz już tylko wrakiem

człowieka.

Nie wierzyła mu. Ani jedno słowo nie było szczere, nie przekonało jej. Nie wiedziała skąd, ale była przekonana, że to kłamstwa. Tu, przy niej, na jej łóżku siedział ktoś, z kim nic jej już nie łączyło. Zrozumiała, dotarło to do niej w jednej chwili. Gabor jest zły. To on, a nie Ananke, chciał ją omotać, osiąść na własność, jak rzecz. To zazdrość przemawiała przez niego, bał się, że straci zdobycz. Nie mógłby się z tym pogodzić; on, który nigdy nie przegrywa.

– On mnie pocałował – powiedziała, nie wiedząc, dlaczego to robi.

– Co?! I mówisz o tym tak spokojnie? Trzeba to zgłosić policji!

– Niczego nie będę zgłaszała. Idź już.

Gabor zrozumiał, że nie ma sensu się upierać.

– Będzie, jak zechcesz. Wpadnę jutro przed południem. – Wstał i popatrzył na Olgę z góry. Czuła się, jakby spojrzeniem chciał przewiercić jej czaszkę i dotrzeć do myśli. – Pamiętaj, że bardzo mi na tobie zależy – dodał, ale w jego głosie nie było czułości, lecz coś na kształt determinacji. – I będę o ciebie walczył. Do końca. Pamiętaj. Ja mogę dać ci wszystko, więc nie ryzykuj utraty tego dla jednego pocałunku. Dobranoc.

Zbiegł po schodach, nie oglądając się. Był wściekły, nie zdążył.

– Spadaj – warknął do chłopaka opierającego się o maskę jego samochodu.

– Coś się należy, nie? – Wyrostek w kapturze ani drgnął. – Umowa była. Panu chyba zależy, żeby ta laska nadal spokojnie mogła się bujać po osiedlu, nie?

Gabor spojrział z niesmakiem na przygarbioną postać. Sięgnął po portfel i rzucił na chodnik dwa wyjęte z niego banknoty.

– Masz, to za umówioną przysługę. A co do laski, jak mówisz, to ona już niedługo tu będzie mieszkała. Towarzystwo tu dla niej nieodpowiednie.

Chłopak odnalazł banknoty, przyświecając sobie zapalniczką.

– Bez nerwów – rzucił, pochylony nad trawnikiem. – Spoko

będzie.

Gabor nie odpowiedział. Nie zamierzał kontynuować rozmowy z tym pętkiem. Śmiecie jemu podobne się nie liczyły i nie warto było poświęcać im uwagi. Zanim zapalił silnik, sięgnął jeszcze po telefon i wystukał numer.

– Nadal na mnie czekasz? – Nikt nie poznałby, że przed chwilą coś poszło nie po jego myśli. – Przepraszam, ale zatrzymały mnie sprawy służbowe. Jeżeli jeszcze masz ochotę, to mogę być za chwilę i razem troszkę pogrzeszymy. W porządku, już jadę!

Muszę jakoś odreagować, pomyślał. Mały sukces nie zrekompensuje dużej porażki, ale przynajmniej trochę ją ostodzi. Zresztą przegrana bitwa to jeszcze nie przegrana wojna. Niedobrze tylko, że ją pocałował.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył powoli, patrząc jeszcze w okna mieszkania Olgi. Były ciemne.



Filip nie miał nic do roboty. Nie była to jakaś nadzwyczajna sytuacja w jego życiu, prawdę mówiąc – dzień jak każdy. Edukację zakończył w ubiegłym roku i dotąd nie wiedział, jak to się stało, że jest posiadaczem świadectwa maturalnego. Nie żeby uważał się za mało inteligentnego, ale rzadko bywał w szkole. Nie kręciła go, nauczyciele byli nudni i w całej szkolnej karierze nie spotkał ani jednego, który potrafiłby zainteresować go swoim przedmiotem. Nie cenił ich, a oni chyba o tym wiedzieli, czuli to i chcieli się go po prostu pozbyć. Filip nie wykazywał chęci współpracy z założenia, lecz mimo to maturę zdał, co ani go grzało, ani ziębiło.

Zresztą w gronie kumpli był i tak najlepiej wykształcony. I przez to musiał często znosić mierne dowcipy na swój temat. Prawdę mówiąc, matura dała mu tylko komfort robienia tego, na co ma ochotę. Rodzice byli tak zajęci swoją pracą, że nawet nie chcieli zobaczyć świadectwa. Wystarczyło im, że zdał. Na studia nie składał papierów, bo wiedział, że szkoda czasu. Poinformował starych, że się nie dostał, co przyjęli ze zrozumieniem. Nie on

pierwszy, nie ma tragedii, spróbuje za rok. Miał więc rok spokoju. Jedynym zmartwieniem były wezwania na komisję wojskową. Co prawda na razie ich nie odbierał, ale miał świadomość, że na dłuższą metę nie da rady się ukrywać. To był właściwie jedyny problem, z którym musiał sobie jakoś poradzić.

Co do reszty, sprawa była prosta. Zawsze znalazł się kumpel do pogadania. Czasem było nudno, ale lepiej z kimś niż samemu. A kumple nigdy nie zawiedli, więc i on nie chciał ich zawieść. Nie miał zresztą pomysłu, co miałyby robić innego. Od zawsze tak było i wszyscy, którzy się liczyli, żyli tak samo. Może byli jacyś inni, ale kto zwracałby na nich uwagę. Chyba że potrzebna była kasa, wtedy łapało się przemykających chyłkiem po osiedlu studencików i innych gnojków.

Filip siedział na ławeczce obok trzepaka i był zadowolony. Wczoraj łatwo zarobił stówę, teraz, po prostu siedząc, zarabiał kolejną. Końcem buta grzebał w szarym piasku, zastanawiając się przy tym, czy jest gdzieś na świecie równie gówniane miejsce jak to osiedle. Poza tym od poprzedniego wieczoru był wkurzony. Powodem nerwów stał się świr, którego spotkał. Właściwie to miał szczęście, bo tylko on go namierzył, ale to spotkanie było inne niż wszystkie dotąd. Normalnie kiedy spotykał podobnego frajera, to najzwyczajniej w świecie brał, co było do wzięcia, czasem – tak dla zabawy, żeby zabić nudę – dokopał mu i pięć minut później już o tym nie pamiętał. Bo i nie było o czym. A o spotkanym wczoraj świrze nie mógł zapomnieć.

Filip sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął nieco pogniecioną paczkę papierosów. Wyłuskał jednego, wyprostował i zaczął szukać zapalek. Były w kieszeni bluzy. Chciał przypalić papierosa, ale zastygł z zapaloną zapalką w dłoni, wpatrzony w kobietę, która właśnie wyszła z klatki naprzeciw.

Znał ją z widzenia, zawsze elegancka, wychodziła rano i wracała późnym popołudniem. To, co zobaczył teraz, zaskoczyło go i nie wiedział, jak powinien postąpić. Wyglądała inaczej niż zazwyczaj. Dres nie pozbawiał jej uroku, ale nieco dziwacznie wyglądał

w zestawieniu z chustką na głowie i dużymi okularami przeciwsłonecznymi. Szła szybkim krokiem, rozglądając się wokół. *Nieźta szopka*, pomyślał i wstał.

– Źle się pani czuje? – zapytał.

Stała gwałtownie i się odwróciła.

– Czego chcesz?

– Niczego. Zapytać nie wolno?

– Nie wolno.

– Pani lepiej wróci do domu. Narzeczony nie byłby zadowolony.

Cofnęła się o krok.

– Był tu?

– Kto? Ten świr? Spoko, ja pilnuję, niech pani wraca.

– Jesteś z nim w zмовie, tak?

– Zaraz w zмовie... Jak pani chce coś ze sklepu, to ja kupię. Da pani na fajki i wszystko przyniosę.

– Ale ja muszę... – przerwała i nagle zdjęła okulary.

Filip poczuł się dziwnie. Patrzyła na niego przenikliwie.

– Zastanów się, chłopcze, co robisz. Jeśli będziesz mnie prześladował, zawiadomię policję. Potrzebne ci kłopoty?

Wzruszył ramionami. Właściwie miała rację.

– Niech pani robi, co chce. Chciałem pomóc, ale jak nie, to nie.

Nieoczekiwanie kobieta zawróciła. Odprowadził ją wzrokiem do drzwi. *Nieźty cyrk*, pomyślał i wrócił na swoje miejsce na ławce. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi w oddali człowieka, z którym rozmawiał poprzedniego wieczoru. Doszedł jednak do wniosku, że to niemożliwe. Musiałby być naprawdę niespełna rozumu, żeby ryzykować kolejną wizytę w tej okolicy. Wszyscy wiedzieli, że z chłopakami z osiedla lepiej nie zadzierać.

Nieźle dowalił z tą kartką. Filip pokręcił głową, wpatrzony w pokrytą napisami ścianę przeciwległego bloku.



Chciała wyjść nierozpoznana przez nikogo. Wiedziała, że Gabor zrobił wszystko, żeby uniemożliwić jej kolejne spotkanie z Ananke.

A ona chciała go zobaczyć. Zapytać o tak wiele rzeczy, które nie do końca rozumiała. Niech wyjaśni jej, o co w tym chodzi, dlaczego wszyscy uwzięli się właśnie na nią. On jedyny, Ananke, był życzliwy, to już pojęła. Naprawdę wiedział, co czuje, rozumiał to i akceptował. Kimkolwiek był, zyskała pewność, że nie ma sensu udawać, że go nie ma. Albo że nie chce go widzieć. Bo chciała, bardzo.

Jak na złość od razu przed blokiem przyczepił się do niej jakiś chłopak. Jeden z tych, co nic nie robią oprócz picia piwa. Nie miała wyjścia, bo zrozumiała, że postawił go tam Gabor, żeby ją śledził. Lepiej było wrócić i udawać, że się niczego nie domyśla. Uśpi ich czujność, może do wieczoru im się znudzi. Szkoda, że nie zna numeru telefonu do nowego przyjaciela, mogłaby go ostrzec. Wczoraj się udało, ale jeśli dziś go dopadną? Kimkolwiek Ananke był naprawdę, jedno wiedziała na pewno – tylko z nim było jej dobrze. Bo on był dobry. W przeciwieństwie do całej reszty, z Gaborem-rekinem na czele.

Olga nawet nie słyszała pukania do drzwi. A może nie chciała słyszeć. Dopiero donośny głos matki – „Dziecko, otwórz! Sąsiadka widziała, jak wchodzisz, więc nie udawaj, że cię nie ma!” – skłonił ją do ich otwarcia.

Matka pewnym krokiem weszła do mieszkania i nie zdejmując nawet kurtki, ruszyła wprost do kuchni. Tam postawiła na stole przyniesione siatki i otworzyła lodówkę.

– Tak, jak się spodziewałam! Pusto! – Zerknęła przez ramię w stronę córki. – Jak ty wyglądasz, dziecko! Uczesz się trochę, podmaluj, bo blada jesteś strasznie.

– Po co przyszłaś?

– Tak matkę witasz? Czy ja ci przyszłam krzywdę zrobić? Patrz, zakupy przyniosłam. Jadłaś śniadanie?

Nie jadła. Zastanowiła się, kiedy właściwie ostatnio jadła. Zapomniała o kolacji, obiedzie i wczorajszym śniadaniu. Jak to możliwe, że nie czuła głodu? Nie miała ochoty jeść, nic nie przeszłoby jej przez gardło.

– Jadłam – powiedziała, żeby matka dała jej spokój, ale ta nie uwierzyła.

– Akurat. Idź się umyj i doprowadź do porządku, a ja usmażę jajecznicę. – Chciała wyciągnąć patelnię z szafki, zrobiła krok w jej kierunku i potknęła się o miskę. – A cóż to znowu?

– Psia miska.

– Tak? A pies gdzie?

– Na podwórku.

– Dobrze, idź do tej łazienki, porozmawiamy przy śniadaniu.

Posłusznie poszła do łazienki. Wykonywanie poleceń matki było tak oczywiste, że nawet nie odważyłaby się zaprotestować. Usiadła na brzegu wanny i siedziała tak bezmyślnie, dopóki nie została wezwana do stołu.

Weszła do kuchni i miała wrażenie, że widzi swoją matkę po raz pierwszy w życiu. Nie zauważyła dotąd żadnej zmiany. Dopiero teraz – miała przed sobą starszą kobietę ze zmarszczkami wokół oczu.

– Mamo – zaczęła. – Chciałabym ci o czymś powiedzieć...

Kobieta siedząca przy stole powstrzymała ją ruchem ręki.

– Wiem wszystko, moja droga. Dzwonił do mnie Gabor. Gadaliśmy chyba godzinę. Przesympatyczny chłopak! Wspominał, że ci się oświadczył, ale ty nie jesteś zdecydowana. Czyś ty zwariowała?! Nie ma na co czekać, nawet się nie zastanawiaj!

A więc i ona, pomyślała Olga. Dobrze, że się nie zdradziłam.

– Co ty tak zbladłaś? A może... – Marianna aż klasnęła w ręce. – Jesteś w ciąży?! No, to teraz już go masz.

– Mamo, nie chcę Gabora. On jest zły...

– Zły? Nie wiesz, co mówisz! Twój ojciec był zły. A Gabor tak bardzo cię kocha, mówił mi o tym. Jak się dowie o dziecku, to oszaleje ze szczęścia. Mówiłaś mu już?

– Nie mogę wyjść za Gabora.

Matka znieruchomiała. Milczała przez chwilę, rozważając to, co usłyszała.

– Czy to nie jego dziecko? – zapytała ze złością. – To chciałaś mi

powiedzieć? Że też zawsze musisz wszystko popsuć. Zostawić cię samej nie można, bo zaraz zmarnujesz każdą szansę. Czy to tego, co do ciebie przychodzi wieczorami?

– Skąd o nim wiesz? – Olga spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

– Gabor mi powiedział. Był wściekły, bo najpierw mówiłaś, że ten człowiek cię prześladowa, a potem sama wpuściłaś go do domu. A Gabora wyrzuciłaś. Czyś ty rozum straciła? Zrobiłaś głupotę, ale nie brnij w to dalej. Odpraw tamtego i powiedz Gaborowi, że to jego dziecko. Będiesz miała kochającego męża i dostatnie życie. A uwierz, że to najważniejsze. Jak nie dla siebie, to zrób to chociaż dla mnie. Żebym wreszcie mogła spać spokojnie. Obiecujesz? Musisz obiecać! – Ton matki był stanowczy i nieznoszący sprzeciwu.

– Mamo, ja nie jestem w ciąży.

– Bogu dzięki, tym łatwiej będzie...

– Mamo! – Olga czuła, że narasta w niej gniew. – Nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nie będę miała dziecka, ale nie zostanę też żoną Gabora. Nie kocham go. Zrozumiałam, że jest złym człowiekiem. Boję się, nie chcę być blisko niego. Nie, nie i jeszcze raz nie!

– To przez tamtego? Namieszał ci w głowie, tak? No to ja sobie na niego poczekam i z nim porozmawiam. Dowiem się, kto to taki i co zamierza.

– To anioł – spokojnie poinformowała dziewczyna.

– O, pewnie, anioł! – zakpiła matka. – Każdy jest taki anioł na początku. Twój ojciec też był. A potem nagle przestał i zostawił mnie z kłopotem samą. A Gabor jest inny, tylko tobie jakaś pomroka na oczy padła. Zadzwoń i powiem mu, żeby to po męsku załatwił, bo widzę, że ty nadal nie masz za grosz rozumu.

Olga zrozumiała, że powiedziała za dużo, że zbyt się odkryła. *Ona też jest zła. Przyszła, żeby się dowiedzieć, co myślę. Sprytni są, chcieli mnie podejść. No i prawie im się udało. Dobrze, że w porę przestałam mówić. Nie mam wyjścia, muszę udawać. Zmylić i uspić ich czujność.*

– Mamusiu – próbowała uspokoić rozjuszoną rodzicielkę. – Żle

mnie zrozumiałaś. Nie ma w moim życiu innego mężczyzny. Tylko decyzja o związaniu się z kimś na zawsze jest trudna. Chciałabym być pewna, żeby nie skrzywdzić Gabora. Poprosiłam go o czas do namysłu, i tyle. Wiesz, on jest bardzo niecierpliwy, ale sama mówiłaś, że mężczyzn trzeba trzymać w niepewności, bo inaczej szybko się nudzą.

Marianna uważnie przyjrzała się córce. Nie wyglądała na zupełnie przekonaną, ale to, co słyszała, podobało jej się bardziej niż wypowiedzi sprzed kilku chwil.

– Tylko się nie namyślaj zbyt długo. Tobie trzeba męża, a nie jakichś głupot. – Kopnęła psią miskę pod parapet. – I jajecznicę wystygła, do wyrzucenia. Siadaj, zrobię kanapki.

Olga grzecznie zajęła miejsce przy stole zdecydowana zjeść wszystko, co poda matka, byleby sobie poszła. Wpychała do ust duże kęsy. Jak na złość matka jadła powoli i wyglądało na to, że nigdzie się nie spieszy. Pewnie wzięła wolny dzień, żeby zająć się córką.

Trudno, niech siedzi. Ciekawe, jak długo wytrzyma? Ja mam wiele do przemyślenia, nie zamierzam z nią godzinami dyskutować o niczym. Jeżeli liczy na to, że się z czymś zdradzę, to czeka na próżno. Jeszcze wczoraj uwierzyłam w jej troskliwość, dałabym się podejść, ale nie dziś.

Olga była zatopiona we własnych myślach, nie słuchała matki, która cały czas nadawała. Dziewczyna widziała ruch ust i gesty, ale nie słyszała głosu. Cały czas miała w głowie słowa Ananke: „Nie czekaj, nie ma na co. Wierzysz mi?”. Czy wierzy? Nie była całkowicie pewna, ale rzeczywistość na każdym kroku dawała dowody na prawdziwość jego słów. Jak więc wątpić? Ananke w jej głowie ostrzegał: Uważaj! Miał rację, musi bardzo uważać.

Z zamyślenia wyrwało ją dotknięcie. To matka położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie słuchałaś mnie – stwierdziła z wyrzutem.

– Boli mnie głowa. – Nie kłamała. Ból co prawda nie był silny, jakby tylko delikatnie ostrzegał, a jeszcze nie alarmował.

– To weź tabletkę, wielkie rzeczy. Masz wolne, to się połów i prześpij. Tylko najpierw uczesz się i przebierz, bo jak ty się w takim stanie pokażesz Gaborowi...

– Jak to: Gaborowi?!

– Jakbyś raz w życiu słuchała, co mówię, tobyś wiedziała. Przyjdzie za – spojrzała na zegarek – godzinę. I posiedzi z tobą do wieczora. A ty masz być miła, rozumiesz? No, chodźże do łazienki. Jak dziecko, słowo daję! – narzekała, prowadząc córkę za rękę.

Olga nie stawiała oporu. Pod czujnym okiem matki, która nie miała zamiaru zostawić jej samej, umyła twarz i się uczesała. Każdy ruch szczoteczki do zębów był pilnie obserwowany. Dopiero kiedy ściągnęła spodnie, jednoznacznie dając do zrozumienia, co chce teraz robić, matka zdecydowała się na opuszczenie łazienki. Olga natychmiast przekręciła klucz i dopiero wtedy poczuła się względnie bezpieczna. Odważyła się zerknąć w lustro. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Nowa twarz coraz bardziej jej się podobała. Czy oni nie widzą, że się zmieniła? Na pewno widzą, tylko nie chcą nic mówić. Zmowa matki i Gabora nie zabolowała jej tak bardzo, jak może powinna. Chyba dlatego, że tym osobom, z pozoru najbliższym, nigdy nie ufała. To, co się działo, było tylko potwierdzeniem jej podejrzeń. Pilnują jej, będą się zmieniać, żeby nie mogła z nim porozmawiać. Musi coś wymyślić, pozbyć się kłopotliwych opiekunów.

Szarpanie za kłamek zmusiło ją do działania.

– Co ty tam robisz?

– Już wychodzę, mammo.

– Ile ja razy ci powtarzam, żeby nie zamykać się w łazience! A jakby coś ci się stało, to co?

– Przepraszam, mammo. To jakoś tak z przyzwyczajenia.

Marianna pokiwała głową z dezaprobatą, ale przepaszający ton, który tak u córki lubiła, był skuteczny, bo zaprzestała dalszych komentarzy. Zapytała tylko:

– To kłudziesz się?

– Coś ty, mammo. Nie po to mam urlop, żeby siedzieć w domu.

Może pójdziemy razem na spacer albo do supermarketu? Tak dawno nigdzie nie byliśmy. Mamo, proszę... Narzekasz, że nie mam dla ciebie czasu, więc teraz nie odmawiaj...

– A twoja głowa?

– Przestała boleć. Myślę, że za długo spałam, a nie jestem przyzwyczajona do leniuchowania.

– Ale co z Gaborem? Jeśli wyjdziemy, a on przyjedzie... – Matka wyraźnie miała ochotę na spacer wśród sklepowych półek.

– Zadzwońisz do niego i powiesz, żeby nie przyjeżdżał. A, i powiedz mu, że potem będę u ciebie do wieczora. Zjemy kolację, obejrzymy film, porozmawiamy. To dzwoń, ja pójdę się ubrać.



Patrzył na przechodzących ludzi i wzbierał w nim coraz większy gniew. Każdego dnia przychodził do parku i zajmował swoje miejsce. Wybrał je po długim namyśle. Odpowiadało mu, bo mógł obserwować główną alejkę, a jego samego przed spojrzzeniami chroniły krzaki bzu – jedne z niewielu, którym udało się ocaleć wśród zalewu betonu. Nawet jeżeli ktoś zajrzał do tego zakątka, to na widok Filipa natychmiast się wycofywał. Odpowiadało mu to i nawet miał niezłą zabawę, kiedy widział wystraszone oczy matek z wózkami lub staruszków szukających spokoju i cienia. Bali się go. I dobrze.

Nie czuł się w żaden sposób z nimi związany. Tłumaczył sobie, że to też dobrze. Jest odpowiedzialny tylko za siebie, martwi się wyłącznie o swój los, nikt go nie pilnuje i nie ogranicza. Cenił to, co nazywał wolnością. Jakby co, to miał za sobą kumpli, którzy pomogą, bo wiedzą, że w potrzebie on pomoże im. Nie miał złudzeń, że to przyjaźń, ale nie interesowało go to. Tak było nawet lepiej, przysługa za przysługę bez innych zobowiązań.

Poza tym od dawna wiedział, że wszystkie te przyjaźnie, miłości to bzdura. Ściema po prostu. Prędzej czy później zawsze okazuje się, że ty dajesz siebie, a inni oszukują, bo chcą załatwić jakiś swój interes. Zdecydował, że nikomu już siebie nie da, bo nikt nie

jest tego wart.

Sam nie wiedział, po co przychodzi do tego, pożał się Boże, parku. Szumna nazwa dla kilku alejek wokół fontanny i paru drzew. Prawdę mówiąc, i tak nie miał nic innego do roboty. Owszem, mógł zostać w domu, oglądać telewizję albo włączyć komputer i w ciągu godziny pozbawić życia kilkadziesiąt wirtualnych osób, ale mu się nie chciało. Nic mu się nie chciało.

Na tej ławce obserwował ludzi. Każdego dnia upewniał się, że ma rację. Widział młode matki, które otulały dzieci kocykami i zwracały się do nich pieszczotliwie, ale widział też, jak te same kobiety z twarzami wykrzywionymi złością wymierzały im klapsy tylko dlatego, że zbyt długo płakały lub zniszczyły nowe ubranko, plamiąc je sokiem. Doskonale znał też staruszkę, która każdemu, kto tylko zechciał jej słuchać, opowiadała, jakie ma dobre dzieci i wnuki. Prawda była taka, że jej bezrobotny syn każdego dnia, gdy tylko żona wyszła do pracy, zapraszał kumpli i pili razem, a matkę wyrzucał z domu i kazał jej spacerować bez względu na pogodę.

Filip dużo widział i dużo wiedział. Chociaż kiedyś doszedł do wniosku, że wolałby widzieć i wiedzieć mniej. Cóż, nic nie mógł na to poradzić, i może stąd brała się ta złość. Patrzył, a ona rosła. A kiedy się tak napatrzył, to czuł się dosyć silny, żeby bez wyrzutów sumienia krążyć wieczorem po osiedlu i szukać okazji do rozładowania agresji. A niby dlaczego on ma być dobry? Świata nie zbawi, a przynajmniej jest szczerzy. Nie udaje niczego. Sądził, że to lepsze, że sam mniej krzywdzi innych niż ci, którzy udają.

Czy cokolwiek na tym świecie było normalne i sprawiedliwe? Czym on różni się na przykład od tego gościa, co przyjeżdża ostatnio nową bryką na osiedle i sypie kasą na wszystkie strony? Jak niczym, to dlaczego tamten ma wszystko, a on nie? A kasa, to Filip wiedział najlepiej, bo z własnego doświadczenia, dawała możliwość poniżania każdego, kto jej nie miał.

Tak właśnie myślał, siedząc na odrapanej zielonej ławce. Od czasu do czasu podnosił z ziemi kamień i starał się trafić

w jednego z gołębi, które podchodziły zbyt blisko w nadziei na okruchy. Nie chciał zabić, pragnął tylko, żeby się nie zbliżały. Niech się go boją. One też. Strach to jedyne prawdziwe uczucie. Tak właśnie myślał Filip.



Prawie biegła między blokami. Każda minuta była bezcenna. Co prawda przez cały dzień starała się przekonać matkę, że nic się w jej życiu i uczuciach nie zmieniło, ale nie miała pewności, czy jej się udało. Kilka godzin spędziły w supermarkecie, zachwycając się przecenionymi ręcznikami, tanim makaronem i każdą inną rzeczą, która podobała się matce. Potrącały ją obce osoby, tysiące różnych zapachów mieszało się wokół, tworząc smród nie do wytrzymania, a szum głosów, krzyków dzieci i wentylacji bombardował jej umysł istną kakofonią. Marzyła o tym, żeby znaleźć się w domu, zamknąć drzwi i odciąć się od całego świata. Kilka razy z trudem powstrzymała się przed zostawieniem matki i ucieczką.

Z ulgą przyjęła decyzję o obiedzie. Zjadła wszystko, co miała na talerzu, ale gdyby ktoś zapytał ją, co to było, nie umiałaby odpowiedzieć. Całą uwagę skupiała na tym, żeby w odpowiedniej chwili potakiwać matce, wyrażać zdziwienie, zaskoczenie albo radość, zależnie od tego, czego tamta oczekiwała. Było to tym trudniejsze, że jej myśli cały czas wędrowały daleko. Na szczęście głos Ananke co jakiś czas odzywał się w głowie i przypominał: Uważaj!

Tak, pamięta. I będzie uważała.

Zaproponowała matce, że u niej przenocuje, co tamta przyjęła z wielkim entuzjazmem.

– Zadzwoń do Gabora i zaproszę go do nas. Posiedzimy razem, będzie tak rodzinnie! – Zachwycona rodzicielka sięgnęła po słuchawkę, zanim Olga zdążyła zaprotestować. Na szczęście Gabor nie przyjął zaproszenia.

– Powiedział, że dobrze się składa, bo ma ważne spotkanie, więc nie mógłby przyjść do ciebie. – Matka była rozczarowana, ale

z dumą dodała: – Pochwalił mnie, że mam na ciebie taki kojący wpływ. Powiedział, że sam chciałby mieć taką matkę. – Westchnęła. – Tak, ja też chciałabym mieć syna takiego jak on...

A nie córkę taką jak ja, uzupełniła w myślach Olga. Już nie denerwowały jej podobne stwierdzenia, przyzwyczaiła się do tego. Poza tym kłótnia nie byłaby w tej chwili najlepszym rozwiązaniem. Najważniejsze, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

Z ulgą przyjęła decyzję matki o oglądaniu serialu. Nie musiała już słuchać, wystarczyło, że siedziała obok niej na wersalce i udawała, że śledzi losy bohaterów. Po pierwszym serialu był drugi, potem kolejny, a w perspektywie jeszcze program publicystyczny. A w przerwach na reklamy kolejna szklanka herbaty. Tak wyglądało zdaniem matki wspólne spędzenie wieczoru.

Olga z niecierpliwością czekała na odpowiedni moment. Nie miała jeszcze pomysłu, jak zrealizuje swój plan. Z pomocą przyszedł przypadek. Zadzwoiła Kasia, pytając o zdrowie koleżanki i plany na spędzenie urlopu. Krótka rozmowa była szansą.

– Mamo, czy nie byłoby ci przykro, gdybym jednak wyszła? Koleżanki zadzwoniły, że są w klubie, chcą, żebym dołączyła, wiesz, w końcu mam urlop, nie muszę jutro wstawać, mogłabym się pobawić.

Matka, zaangażowana bez reszty w losy rodziny bogaczy, których spotykają wszystkie możliwe nieszczęścia, gotowa była zgodzić się na wszystko, byle nie przegapić żadnego wątku.

– Pewnie, idź. – Pokiwała głową, nie odrywając oczu od ekranu. – Rozerwiesz się, towarzystwo dobrze ci zrobi.

Olga, nie czekając, aż rodzicielka się rozmyśli, chwyciła kurtkę i wybiegła z mieszkania. Schodząc po schodach, zamówiła taksówkę. Chyba będzie czekał? Nie odejdzie zrażony zamkniętymi drzwiami!

Kazała taksówkarzowi zatrzymać się dwa bloki dalej, bo pomyślała, że Gabor mógł kogoś postawić przed domem. Miała

nadzieję, że przemknie niezauważona.

– Niech pani nie chodzi sama po nocy, bo na osiedlu jest niebezpiecznie.

Masz ci los, to znowu ten chłopak. Trzeba się go pozbyć. Olga sięgnęła do torebki i wyciągnęła z portfela stułotowy banknot. Spotkanie z Ananke było warte dużo więcej.

– Proszę, weź. I nie widziałeś mnie, jasne?

– Nikogo dzisiaj nie widziałem i nie zobaczę. – Chłopak uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Ja mam słaby wzrok, zwłaszcza w ciemności słabo widzę. Spadam, bo jakby ktoś zobaczył, że gadam do siebie, to kumple mieliby ubaw.

Chłopak włożył banknot do kieszeni i zadowolony odszedł.

Tymczasem Olga stała już przed drzwiami i próbowała trafić kluczem do zamka.

– Pomóc ci?

Jest! Przyszedł! Z radością odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z tym, o którym myślała przez cały dzień.

– Nie trzeba, teraz już dam radę.

Wiedziała, że choć z pozoru wymiana zdań dotyczyła kluczy, to jej sens był głębszy, dużo głębszy. Mieli tajemnicę, o której nikt inny nie mógł się dowiedzieć.

Weszli do środka, Ananke zajął się kawą, Olga spokojnie czekała.

– Uwierzyłaś? – Taca delikatnie wylądowała na stole, a mężczyzna zajął ulubione miejsce i rozpiął guzik pod szyją. – Gorąco tu. – Spojrzał na dziewczynę uważnie, ale z sympatią. – Co chcesz wiedzieć?

– Najlepiej wszystko.

– Wiesz wszystko. Prawdę mówiąc, nie ma nic, czego nie miałabyś w sobie. Nie potrzebujesz moich deklaracji. Musisz sama się upewnić, dopiero wtedy przyjdzie czas na kolejny krok.

– Jaki krok?

– Cóż, nie mogę uprzedzać wydarzeń. Mogę cię wspierać. Wyłącznie.

– Ale ja nie wiem, co mam robić, co robią anioły. Wy tłumacz mi, bo jak inaczej mam pomagać? Skąd mam wiedzieć, jak się zachowywać?

– To przyjdzie samo. Mogę dać ci tylko jedną radę. Anioł jest dobry. Nie czuje złości do nikogo, ani niechęci, ani nienawiści. Anioł wszystkich kocha. Tylko dobro może zmienić świat.

– A zło?

– Ono także jest. Trzeba je odrzucić. To trudne, bo cały czas trwa walka. Ludzie niby to wiedzą, ale są słabi. Zbyt słabi, żeby się oprzeć. Przyjmują zło i to jest ich koniec. Popatrz na świat, na ludzi, zastanów się nad tym, co widziałaś dotąd. Reszta przyjdzie sama.

– Powiedz mi jeszcze: dlaczego ja?

– To akurat jest bardzo proste. Masz dar. Zostałaś wybrana.

– Czy wielu jest takich jak ja?

Ananke pokręcił głową.

– Niewielu. Dlatego są tak ważni. O nich toczy się walka. Tak jak o ciebie. Musisz podjąć decyzję jak najszybciej. Opowiedzieć się po jednej ze stron. Zgodnie ze swoim sumieniem i sercem.

Olgę ogarnęły wątpliwości. Liczyła, że tego wieczoru dowie się czegoś konkretnego, że Ananke powie jej, co ma robić, tymczasem mówił samymi ogólnikami. Niejasno i niezrozumiale, bez konkretów. Rozczarował ją ten wieczór. Radość zniknęła, teraz czuła wyłącznie zmęczenie i zniechęcenie.

– Strasznie to zagmatwane i nic nie rozumiem. Nie wiem...

Ananke nie pozwolił jej dokończyć.

– Najważniejsze rzeczy nie są proste. Nie każdą rzecz można wyjaśnić i zaplanować. Wiara to jedno, a zrozumienie to drugie. Masz prawo wątpić.

Usiadł obok dziewczyny i otoczył ją ramieniem.

– Nie powinienem tego robić, ale czas nagli. Wydarzenia toczą się szybko, a ty jesteś zmęczona. Musisz odpocząć, mieć chwilę, żeby pomyśleć, poczuć, spojrzeć w głąb siebie. – Mówiąc to, głaskał ją delikatnie po głowie.

Wstał i popatrzył na śpiącą dziewczynę. Była taka delikatna, krucha. I to na niej spoczywał tak ogromny ciężar. Sięgnął po leżący na fotelu koc i okrył Olgę. Potem posprzątał filiżanki i zatraskując cicho za sobą drzwi, wyszedł. Gabi pomachał ogonem i zwinął się w kłębek obok swojej pani.



Głośna muzyka, na stoliku smakowite potrawy i dobre wino. Wnętrze urządzone ze smakiem, bogato, ale nie wulgarnie. Każda rzecz w najlepszym gatunku, od kieliszków po klamki w toalecie. Klub dla wybranych. To miejsce Gabor lubił najbardziej. Tutaj czuł się dobrze. Otoczony bogactwem i ludźmi, dla których te rzeczy były najważniejsze. Nie każdy mógł tu wejść, dlatego wielu było gotowych na wszystko, żeby stać się posiadaczami niewielkiego kawałka plastiku, dzięki któremu ochroniarze przy drzwiach rozstępowali się i pozwalali zejść schodami w dół.

Przytulona do jego ramienia dziewczyna szczebiotała przez cały czas. Wyglądała na zachwyconą otoczeniem. Wypiła zbyt dużo i chwilami nie potrafiła opanować chichotu. Gabor znosił to ze spokojem, bo wiedział, że to już niedługo. Prawdę mówiąc, sam przedłużał ten wieczór. Im dłużej czeka się na przyjemność, tym lepiej ona smakuje. Dlatego koty bawią się złapaną myszą, pozwalając jej na chwilę nadziei i zachłyśnięcie się szczęściem.

Bardziej poczuł wibracje, niż usłyszał dzwonek telefonu. Sięgnął po aparat, gestem uciszając dziewczynę, która próbowała protestować.

– Słucham?

Oczy Gabora znieruchomiały na chwilę, brwi zbliżyły się do siebie, tworząc prawie jedną linię. Zadał kilka krótkich pytań:

– Kiedy? Czy jest ktoś jeszcze?

I wydał polecenie:

– Jutro tak samo. Będę przed wieczorem.

Rozłączył się.

– Kto to był? – zapytała dziewczyna. – Olga?

- Interesy, kocie. Napijesz się jeszcze?
- Z chęcią. Zatańczysz ze mną? – Ocierała się o Gabora prowokująco. – Tak dobrze tańczysz...
- Później.
- Mężczyzna się zamyślił. Czy mógł zostać, czy raczej powinien sprawdzić, co się dzieje? Ten jego, pożałuj Boże, informator mówił, że Olga wróciła do domu, ale nikogo innego nie widział. Chyba poszła spać, bo światła zgasły. Jechać? Zostać? Wstał i poprawił marynarkę.
- Wstawaj, Iza. Chciałaś tańczyć, prawda? No to chodź, zatańczymy. A potem pojedziemy do ciebie.
- Jasne. – Dziewczyna zachwiała się, wstając, i zachichotała. – W głowie mi się kręci od tego wina. Będziesz musiał mnie mocno trzymać. – I puściła do Gabora oko.



Otworzyła oczy powoli, jakby obawiając się tego, co zobaczy. Pokój zdawał się wypełniony delikatną mgiełką. Przyćmione światło wpadało przez szpary w żaluzjach. Promienie przecinały powietrze świetlistymi smugami, a w ich blasku drobinki kurzu wirowały w nieskoordynowanym tańcu.

Była sama. Usiadła. Chłód poranka przeniknął ją do szpiku kości. Koc leżał na dywanie, a na nim, wyciągnięty na całą długość swego psiego ciała, spał Gabi. Cichutko, starając się nie zbudzić zwierzęcia, wstała i podeszła do okna. Przeciągnęła się i obserwując podwórko, stała zamyślona. Tego dnia świat był już inny. Jakby ktoś go umył, starł warstwę kurzu pokrywającą rośliny i przedmioty. Podobne wrażenie odniosła kiedyś, gdy przymierzyła okulary koleżanki. Wszystko dokoła stało się wyraźniejsze, kontury ostre, a kolory intensywne. Teraz było tak samo.

Ktoś oczyścił świat! Specjalnie dla niej, żeby mogła zobaczyć go takim, jaki jest. Podobało jej się to, co widziała, ale kiedy między blokami zaczęli pojawiać się pierwsi przechodnie, odeszła od okna.

Nie chciała nawet patrzeć na ludzi. Nie mogła. Na razie, póki nie przemyśli tego, o czym wczoraj powiedział jej Ananke.

Przeszła do kuchni, po drodze wypuszczając psa, który teraz już czekał przy drzwiach. Otworzyła lodówkę, bardziej z przyzwyczajenia niż wiedziona łaknieniem. Sięgnęła po kawałek żółtego sera, pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w ręce, odgryzła kawałek, resztę odkładając na blat szafki. Z puszki stojącej na półce wysypała do ekspresu resztkę kawy. Rozejrzała się w poszukiwaniu papierosów, ale znalazła tylko pustą paczkę. Zmiała ją ze złością i wrzuciła do kosza.

Kawa bez papierosa jej nie smakowała. Zastanawiała się, co robić – nie czuła się na siłach, żeby wyjść do sklepu. Ucieszyła się, widząc nadchodzącego chłopaka, który szykował się do zajęcia miejsca na ławce przy trzepaku. Zanim usiadł, spojrzał w górę. Ruchem ręki zachęciła go do wejścia. Pokiwał głową, że rozumie, i po chwili usłyszała pukanie.

– Czy mógłbyś mi zrobić zakupy? – zapytała bez wstępów.

Chłopak zmierzył ją od stóp do głów, nie kryjąc zainteresowania. Było jej to najzupełniej obojętne, chciała tylko jego pomocy.

– Przeziębiam się, wolałabym nie wychodzić, więc jeśli nie masz nic innego do roboty...

– Może ja lubię nie mieć nic do roboty – przerwał jej arogancko. – Może mi najlepiej na tej ławce, co?

– Jak chcesz. Zamierzałam ci zapłacić.

– To już lepiej. Dużo tego ma być?

– Zaczekaj, zaraz napiszę ci listę. – Zamknęła drzwi, nie wpuszczając go do środka.



Niemal jednocześnie uchyliły się drzwi naprzeciwko i w szparze Filip zobaczył ciekawskie oczy staruszki. Wiedziony impulsem, zrobił krok w ich stronę.

– Uuuu! – krzyknął i ciekawość natychmiast ustąpiła miejsca strachowi. Oczy zniknęły, a szcęk kilku zamków był sygnałem, że

osiągnął skutek. Roześmiał się głośno.

Po kilku minutach Olga wręczyła chłopakowi listę. Wziął ją bez słowa i zbiegł z tupotem w dół. Wrócił szybko i niecierpliwie szarpnął za klamkę. Otworzyła. Zabrała siatki i w zamian podała mu banknot.

– Nie trzeba. – Filip nie bardzo wiedział, dlaczego odmówił, ale głupio mu było znowu brać pieniądze od tej kobiety. W końcu wiele trudu go te zakupy nie kosztowały, a ona rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Chociaż było też w niej coś dziwnego, czego nie rozumiał. Nie zwykł jednak długo zastanawiać się nad tym, co przyszło mu do głowy. Nasunął głębiej czapkę na oczy i chciał odejść. Zatrzymała go, chwytając za rękaw kurtki.

– Wyjeżdżam – powiedziała.

– Co mnie to? – burknął.

– Mam do ciebie prośbę. Czy możesz zatrzymać tę informację dla siebie do wieczora?

Wzruszył ramionami

– Zrobisz to dla mnie? Obiecuj!

Nie umiał jej odmówić. Pokiwał głową na znak zgody. Zniknęła we wnętrzu mieszkania. Nie miał tu już nic do roboty. Postanowił iść do parku.



Gdy czekała na zakupy, opracowała plan. Musiała być sama, mieć wystarczająco dużo czasu, żeby przygotować się do tego, do czego została wybrana. Potrzebowała spokoju, żeby ułożyć wszystko w głowie, zrozumieć i znaleźć w sobie dalszą drogę. Nie chciała, żeby ktokolwiek jej przeszkadzał.

Czuła, że Gabor nie da jej spokoju. Będzie przychodził, nękał ją, żądał wyjaśnień, których nie mogła mu dać. Bała się spotkania z nim, bała się, że znowu zasieje w niej wątpliwości, że będzie chciał zmienić jej decyzję. Do tego nie mogła dopuścić. Spotka się z nim, kiedy będzie gotowa, całkowicie pewna i silna. Kiedy? Nie wiedziała, ale jeszcze nie teraz.

Dlatego postanowiła wyjechać. To był jedyny sposób, żeby matka nie wydzwaniała do niej bez przerwy. Miała też nadzieję, że mylny trop zajmie na chwilę Gabora.

– Mamo – tłumaczyła do słuchawki. – To taki spontaniczny wyjazd w nieznane. Wymyśliłyśmy go wczoraj. Tak, same dziewczyny jadą, bierzemy samochód. No oczywiście, że będziemy nocowały w hotelach. – Przez chwilę słuchała tego, co mówiła matka. – Nie wiem, na jak długo. Kilka dni, może tydzień... Mamo, gdyby Gabor do ciebie dzwonił, to powiedz mu, żeby się nie martwił. Ja? Nie, on przecież wczoraj miał to spotkanie, może teraz odsypia, nie chcę go budzić. Dobrze, zadzwonię. Pa, mamo, trzymaj się!

Z ulgą odłożyła słuchawkę. Udało się. Oburzony ton matki oznaczał, że uwierzyła w to, co usłyszała. Olga była wolna, mogła nareszcie spokojnie pomyśleć.



Gabor był wściekły. Stracił kilka godzin na poszukiwania tego gówniarza, który zniknął, zamiast warować pod blokiem. Nie płacił mu za szlajanie się, tylko za konkretną robotę. Tymczasem nie było ani chłopaka, ani informacji. Drzwi Olgi pozostały zamknięte na głucho, ze środka nie dochodził żaden odgłos, chociaż stał tam ponad godzinę i jeszcze kilkakrotnie wracał niespodziewanie. Czuł, że przez wizjer obserwuje go sąsiadka, i miał ochotę kopnąć w jej drzwi. Powstrzymał się jednak, bo nie zależało mu na awanturach.

Wyglądało na to, że Olga naprawdę wyjechała. Postanowił poczekać do wieczora; jeśli się nie pojawi, pojedzie jej szukać. Jeżeli myśli, że przed nim ucieknie, to się myli. Niedoczekanie. Przed nim jeszcze nikt nie uciekł! A jej szczególnie na to nie pozwoli. Musi być tak, jak on zaplanował. I żaden anioł, pomyślał z obrzydzeniem, nie będzie psuł mu szyków. Jego zresztą też w końcu znajdzie. Tacy jak on nie potrafią się ukrywać wiecznie.



Słyszała, że Gabor stał pod drzwiami. Długo. Siedziała w kącie pokoju i starała się nawet nie oddychać. W końcu poszedł. Później był jeszcze kilka razy, ale gwałtowny ból głowy zawsze ostrzegał ją o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zamierała wtedy, nie mając odwagi nawet myśleć, i dopiero kiedy ból mijał, pozwalała sobie na jakikolwiek ruch.

Od kilku godzin był spokój. Może zrezygnował? Zaczynało się ściemniać. Zrozumiała, że nie może zapalać światła, bo natychmiast zdradzi swoją obecność. Postanowiła zadzwonić do matki, żeby sprawdzić, jak Gabor zareagował na jej wyjazd i co planował.

– Mamo, jestem w cudownym pensjonacie nad morzem – zaczęła, starając się nadać głosowi wesołe brzmienie. – Żałuj, że cię tu nie ma!

– Przestałam żałować, odkąd zrozumiałam, że jedni mają w życiu same przyjemności, a inni obowiązki – odpowiedziała Marianna. – Czy ty nie masz za grosz odpowiedzialności? Gabor był wściekły, jak mu powiedziałam, że nawet nie wiem, gdzie jesteś. On cię w końcu zostawi, zobaczysz, doigrasz się! Pojechał cię szukać, pewnie żeby zakończyć waszą znajomość. Ja mu się nawet nie dziwię...

– Och mamo, nie przesadzaj. Jak kocha, to poczeka. – Olga starała się dalej grać swoją rolę. – Pobędziemy tu kilka dni, a potem zmieniamy miejsce, więc nie dam ci adresu, bo za chwilę będzie nieaktualny. Nie martw się o mnie, wrócę wypoczęta i na pewno wszystko będzie dobrze. Śpij spokojnie!

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Wiedziała najważniejsze. Gabor wyjechał na poszukiwania. Nie ma go w mieście. Pewnie matka powie mu, że Olga jest nad morzem. To powinno mu zająć kilka dni.

Telefon zadzwonił nagle, a dziewczyna odskoczyła od aparatu przerażona. Bez namysłu chwyciła za sznur i pociągnęła, wyrrywając go ze ściany razem z gniazdkiem. Niech więcej nie dzwoni. Podniosła telefon i cisnęła nim o podłogę. Nie patrząc

nawet na to, co zrobiła, poszła do pokoju, odnalazła komórkę i ostrożnie uchyliwszy okno, wyrzuciła ją najdalej, jak potrafiła.

Usłyszała, jak uderzyła o chodnik. Dziewczyna poczuła ulgę. *Teraz już nikt nie będzie mi przeszkadzał*, pomyślała i sięgnęła po papierosa.



Liczył się z tym, że facet go opieprzy, ale bez przesady. Wkurzył się na gościa, bo tamten przesadził. W końcu jego, Filipa, nie można kupić na własność za parę setek. Powiedział facetowi, że miał swoje sprawy, i poradził mu, gdzie może schować sobie swoją kasę. Trzeba przyznać, że gość okazał się w końcu spoko, docenił jego niezależność, nawet pochwalił. Nie żeby Filipowi zależało na pochwałach, ale dobrze, że tamten umiał się znaleźć. Żeby nie mieć zobowiązań, odwdzieczył się informacją o wyjeździe kobiety. Byli kwita, ale trochę kasy przeleciało obok nosa, bo już mu honor nie pozwolił wziąć pieniędzy.

Było zimno. Filip głębiej wcisnął ręce w kieszenie. Zatrzymał się, żeby obejrzeć leżący na chodniku przedmiot.

– K... mać! – zaklął, bo zrozumiał, że ma przed sobą doszczętnie rozbity telefon komórkowy.

I to najnowszy model! Wezbrała w nim złość na ten świat, w którym tacy jak on muszą znosić pretensje frajerów tylko dlatego, że tamci mają kasę i brykę, a innych stać na to, żeby rozbijać najdroższe telefony.

Nie mógł zwyczajnie wyrzucić go do kosza albo zostawić na ławce, jak mu niepotrzebny? Wziąłbym za niego kilka stów, a tak...

Z wściekłością wziął zamach i kopnął szczątki aparatu z całej siły. Trafił w blaszany garaż.

– Cicho tam, łobuzy! Spać nie można! – krzyknął ktoś z daleka.

– Spier... – cicho odpowiedział Filip.

Tego dnia nie mógł zaliczyć do udanych.



III

– Gabor, przepraszam, że cię niepokoję, ale czy ty masz jakieś wiadomości od Olgi?

Gabor z wściekłością zacisnął ręce na kierownicy. Czy ma wiadomości?! Od dwóch tygodni jeździ od hotelu do hotelu. I nic. Sięgnął po paczkę leżącą na siedzeniu pasażera, wyciągnął papierosa i na chwilę całkiem puszczając kierownicę, przypalił go.

– Gabor, jesteś tam? Słyszysz mnie?!

Piskliwy głos dobiegający z głośnika wiercił mu dziurę w mózgu.

– Jestem, jestem – odpowiedział zrezygnowany.

– Znalazłeś ją?

– Nie – odrzekł krótko, bo nic więcej nie miał do powiedzenia. Tym bardziej że powtarzał jej to kilka razy dziennie. A za każdym razem na nowo rozwścieczała go świadomość porażki.

Uciekła mu – taka była prawda. Przechytrzyła go, dał się wyprowadzić w pole jak pierwszy naiwny. No, ale on, Gabor, tak łatwo się nie podda. Znajdzie ją, choćby to miało trwać wieczność!

– Gabor...

– Zadzwoń później. – Zniecierpliwiony sięgnął w kierunku aparatu i się rozłączył. Ta kobieta działała mu na nerwy. Zamiast ruszyć głową, pomóc mu, siedziała przed telewizorem i oglądała wszystkie programy o policjantach i detektywach, a potem zadręczała go kolejnymi pomysłami dotyczącymi losów córki. Przewidywała najgorsze, ale mimo że wydawała się przerażona, miał wrażenie, że nie mówiła o własnym dziecku, lecz o bohaterce serialu.

Gabor nie podzielał tragicznych wizji Marianny, gdyż był pewien, że Olga żyje. Doskonale wiedział, że w jej zniknięciu palce maczał znieawidzony rywal. Gdyby nie to, już zrezygnowałby z poszukiwań. W tej sytuacji jednak ambicja nie pozwalała na poddanie się bez walki. *Gra się jeszcze nie skończyła*, pomyślał ze

złością. *Zobaczmy, kto będzie górą. Przecież tak długo byliśmy razem!* Gabor przywołał w myślach twarz dziewczyny; oczy, które patrzyły tak czule, specjalny uśmiech przeznaczony tylko dla niego...

Zdobędę tę dziewczynę, bo tak chcę. A ja zawsze mam to, czego pragnę. I pierwszy lepszy mi w tym nie przeszkodzi.

Docisnął pedał gazu, wymijając kilka samochodów jadących przed nim. Kierowca jednego z nich postukał się palcem w czoło, na co wściekły Gabor odpowiedział wyciągnięciem środkowego palca. Telefon znów się odezwał.

– Tak?! – ryknął ze złością do mikrofonu.

– Coś nam chyba przerwało. – Marianna nie zamierzała dać się zbyć tak łatwo. – Więc dzwonię znowu. Chciałam ci powiedzieć, że coś mi się przypomniało.

Gabor westchnął zirytowany. Nie powiedział ani słowa, ale dzwoniąca nie potrzebowała zachęty, żeby kontynuować.

– Kiedyś mieszkanie, w którym mieszka Olga, wynajmowałam takim dwóm panienkom. Podobno były studentkami, chociaż im nie uwierzyłam, bo nosiły się tak jakoś wyzywająco. Miałam podejrzenia, że one czym innym się zajmują, a nie nauką. Jedna to przyszła kiedyś do mnie w takiej spódnicy, że prawie bieliznę można było zobaczyć...

– Pani Marianno – przerwał Gabor, starając się nadać głosowi miłe brzmienie. – Czy może pani przejść do sedna? Jadę samochodem i nie mogę zbyt długo rozmawiać, muszę się skoncentrować na prowadzeniu.

– Och, tak, oczywiście, rozumiem – zapewniła Marianna. – Widziałam kiedyś taki program, w którym pokazywali, do czego może doprowadzić rozmowa przez telefon w czasie jazdy. Nie wolno podobno tak jeździć, że w jednej ręce telefon, a w drugiej kierownica...

– No właśnie. – Nie uznał za stosowne tłumaczyć kobiecie, że ma zestaw głośnomówiący. – Sama pani rozumie. To o czym tak ważnym chciała mi pani powiedzieć? – Było mu już wszystko

jedno, nie próbował nawet ukryć ironii. Cóż, kiedy Marianna nie miała zwyczaju zwracania uwagi na nastroje swoich słuchaczy.

– A, właśnie! – Głos w głośnikach nabrał triumfalnych tonów. – Jak te dziewczyny tam mieszkały, to wpadłam na pomysł, żeby dorobić jeszcze jeden komplet kluczy i dać go sąsiadce, co mieszka naprzeciwko. No, żeby w razie czego mogła skontrolować, co one tam wyprawiają. A potem zupełnie o tym zapomniałam i nie odebrałam tych kluczy. Teraz mi się przypomniało. Pomyślałam, że może pójdziemy do mieszkania i znajdziemy jakiś ślad. Olgi już tak długo nie ma. – Zaszlochała do słuchawki. – Może ją porwali albo zabili jacyś bandyci? Moje dziecko biedne. Jedyna moja córka!

Zawsze tak się kończyło. Gabor uchylił szybę i wyrzucił niedopałek. Naraz zdał sobie sprawę, że to, co przed chwilą usłyszał, było niezmiernie ważne. Dopiero teraz dotarł do niego sens usłyszanej informacji. Zahamował ostro, samochód obrócił się kilka razy wokół własnej osi, ale Gabor pewnymi ruchami wyprowadził pojazd z poślizgu. Ruszył w drogę powrotną, zostawiając na asfalcie kilka czarnych śladów.

– Będę jak najszybciej. Proszę być gotową do wyjścia – rzucił do mikrofonu.

– Oczywiście – zdążył usłyszeć, zanim się rozłączył.

Po kilku minutach jazdy minął leżący w rowie samochód. Kierowca gramolił się niezdarnie na pobocze, ocierając krew płynącą z rozciętego łuku brwiowego. Próbował zatrzymać nadjeżdżającego Gabora, ale ten ani myślał mu pomóc. Zwolnił tylko na tyle, aby tamten mógł zobaczyć jego twarz. Z zadowoleniem zauważył strach w oczach wypadkowicza.

Trzeba było nie pukać się w czoło, pomyślał z rozbawieniem. Będziesz miał nauczkę na przyszłość.

Docisnął gaz. Nie miał czasu na drobiazgi, musiał jak najszybciej spotkać się z matką Olgi.



Stanisława Bocheńska czuła przyjemne podniecenie, czekając na gości. Matka młodej sąsiadki zadzwoniła do niej, prosząc o odszukanie kluczy do mieszkania córki. Klucze były. Trzymała je w szufladzie, pod ściereczkami. Wiedziała, że kiedyś się jeszcze przydadzą. Tak jak wtedy, kiedy prawie każdego dnia w tajemnicy kontrolowała dwie młode dziewczyny wynajmujące mieszkanie. Doskonale to pamięta, bo lubiła oglądać damskie fatałaszkę i kosmetyki. Żałowała, że kiedy ona była młoda, nie było takich ładnych rzeczy. Zdarzało się, że zabrała jakiś drobiazg – perfumy albo apaszkę. Nikt przecież nie wiedział, że tam chodzi. A ile potem miała radości, słysząc, jak dziewczyny się kłóca i wzajemnie podejrzewają o kradzież. Tak, to były ciekawe chwile!

A teraz zapowiadało się jeszcze ciekawiej. Młoda sąsiadka podobno zaginęła. Już dwa tygodnie jej szukają. Stanisława zastanawiała się nad tą informacją i właściwie zgadzało się to z jej obserwacjami. Nie widywała dziewczyny od takiego mniej więcej czasu. Rozważała dokładnie, co pamięta z dnia, gdy widziała ją po raz ostatni, i kiedy matka Olgi przyszła, Stanisława otworzyła drzwi niezwykle podniecona.

– Może ten chłopak ją zamordował?! – Nagle zamilkła, zdziwiona widokiem mężczyzny stojącego za Marianną.

Cofnęła się w głąb mieszkania, wpuszczając gości. Niewielu ich przyjmowała, więc na tę okazję wyjęła najlepsze filizanki i ręcznie haftowane serwetki. Nakryła stół, ustawiła na nim talerzyk z ciasteczkami, domowe konfitury oraz srebrną cukiernicę. Niech wiedzą, że opinia dobrej gospodyni jej się należy. Ucieszyła się, kiedy Marianna entuzjastycznie przyjęła propozycję poczęstunku, liczyła na dłuższą pogawędkę. Wszystko popsuł ten arogancki młody człowiek. Co prawda grzecznie odmówił, ale ta grzeczność była podszyta lekceważeniem. Stanisława zdecydowała, że skoro tak, to ona nic nie powie. Bez pośpiechu poszła do kuchni po klucze.

– O jakim chłopaku pani mówiła? – Pytanie mężczyzny zaskoczyło ją tak bardzo, że przystanęła zmieszana. Chęć

podzielenia się informacjami i bycia ważną walczyła w niej z urażoną dumą gospodyni. W końcu wzruszyła ramionami i podeszła wprost do Marianny.

– Proszę. – Podała klucze. – Nie zatrzymuję państwa dłużej.

Mężczyzna zrobił dwa szybkie kroki i znalazł się obok Stanisławy. Ujął ją za łokieć i delikatnie, ale stanowczo zmusił do zajęcia miejsca za stołem. Potem wskazał matce zaginionej miejsce obok, a ta posłusznie usiadła. Sam zajął krzesło naprzeciw gospodyni.

– Chętnie napijemy się herbaty i posłuchamy, co pani ma do powiedzenia. – Głos miał miły, uśmiechał się, ale we wpatrzonych w nią oczach Stanisława widziała złe błyski. Nieco wystraszona pospiesznie rozlała napój do filiżanek. Grała na zwłokę, chciała postawić na swoim i nie spieszyła się z wyjawieniem tego, co wie.

– Pyszne konfitury – odezwał się Gabor. – Domowej roboty, prawda?

Stanisława skinęła głową.

– Od razu poznałem. To nie to, co te ze sklepu. – Nagle wstał i podszedł do Stanisławy. – Nie przedstawiłem się pani, przepraszam, to przez nerwy. Jestem Gabor, narzeczony Olgi.

– Wiem, widywałam tu już pana. – Stanisława wyciągnęła rękę, którą Gabor pocałował.

Napięcie opadło i po chwili rozmawiali zupełnie swobodnie. Marianna mówiła o zniknięciu córki, jej przyszły zięć potakiwał. Prawił też starszycie komplementy, chwalił mieszkanie, umiejętność parzenia herbaty. *Właściwie to bardzo miły i dobrze wychowany młody człowiek*, pomyślała Stanisława. *Źle go oceniłam na początku. Zresztą może naprawdę jest zdenerwowany, w końcu narzeczona mu zaginęła.*

Postanowiła, że czas opowiedzieć gościom o własnej koncepcji.

– Był u niej taki osiedlowy chuligan. No wtedy, co mówicie, że zaginęła. Najpierw stał pod oknem, a potem wszedł na górę. Ona mu otworzyła, a może nawet go wpuściła do środka. Nie wiem, bo ja tam nie podsłuchuję pod drzwiami. Mam wiele innych zajęć –

dodała z godnością.

– O Boże! A jeśli on ją zabił?! – Marianna zbladła. – Jeżeli tam leży ciało mojego dziecka?!

– To może wezwać policję? – Stanisława była w swoim żywiole, gotowa do czynnego udziału w całej sprawie.

– Nie ma na razie takiej potrzeby. – Gabor stanowczym tonem powstrzymał staruszkę. – Na to zawsze jest czas. Proszę o te klucze, pójdę tam.

Z ulgą opuścił mieszkanie. Było mu niedobrze od zapachu stęchlizny i naftaliny. I jeszcze musiał nadskakiwać tej starej. Do czego jeszcze będzie zmuszony? Miał wątpliwości, czy Olga jest warta takich poświęceń. No, ale skoro tamten tak o nią zabiega...

Odetchnął głęboko kilka razy i podszedł do drzwi mieszkania Olgi. Usłyszał, że Marianna wyszła i stanęła za nim. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, że kilka kroków za nią podąża wścibska sąsiadka.

Wybrał odpowiedni klucz i wsunął go do zamka.



Widok, który ukazał się ich oczom, był wstrząsający. W przedpokoju stały w równym rzędzie oparte o ścianę foliowe worki, a na podłodze leżały kawałki szkła z rozbitego lustra. Gabor ostrożnie zajrzał do pierwszego worka – był pełen butów. Kolejny także i następny... Mężczyzna ruszył wprost do kuchni, szkło chrzęściło mu pod butami. Matka Olgi, słysząc ten nieprzyjemny dźwięk, zakryła rękami uszy; była pewna, że stało się najgorsze. Tylko sąsiadka zachowywała spokój i z ciekawością rozglądała się po mieszkaniu, chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów, które potem będzie mogła opowiedzieć każdemu, kto zechce jej słuchać.

Gabor zerknął do łazienki. Wydawało mu się, że w wannie ktoś leży, więc wszedł do środka. W zatęchłej wodzie moczyły się jakieś ubrania, inne leżały na pralce i wprost na podłodze. I tutaj lustro było rozbite, a na ścianach i bieli szafek czerwieniały ślady krwi.

– To nie ona. – Gabor wycofał się z łazienki.

Usłyszał za plecami, jak Marianna głośno odetchnęła z ulgą.

Otworzył drzwi do kuchni i w nozdrza uderzyła go fala smrodu. Skrzywił się z obrzydzeniem, wstrzymał oddech i dwoma szybkimi krokami podszedł do okna. Dopiero kiedy je otworzył i wpuścił do środka nieco świeżego powietrza, mógł się rozejrzeć. Na stole, w szafkach i w zlewie leżały talerze z jedzeniem, większość wyglądała na przygotowane i nietknięte dania. W wielu miejscach na blacie stały ogarki świec, które najwyraźniej się wypalały. *Aż dziw, że mieszkanie nie spłonęło*, pomyślał.

Z obrzydzeniem odsunął się od lepkiego, brudnego stołu i uważając, żeby niczego nie dotykać, wyminął w drzwiach towarzyszące mu kobiety.

Cała trójka zatrzymała się w progu pokoju. Bez słowa patrzyli na postać stojącą na środku pomieszczenia. Olga zdawała się spokojna, nie okazała żadnych emocji na widok gości.

– Dziecko, jak ty wyglądasz! – nie wytrzymała Marianna. Z przerażeniem patrzyła na tę wychudłą osobę, na podkrążone oczy, potargane włosy i bose stopy, na których widać było liczne rany: niektóre jeszcze świeże, na innych krew już zaschła, tworząc strupy. Czy to była jej córka?

– Nie słyszałaś, kiedy weszliśmy? – Głos Gabora był zimny, twarz nieruchoma.

– Słyszałam. Zrozumiałam, że mnie znaleźliście.

– Dlaczego nie wyszłaś z pokoju?

– Nie chcę z wami rozmawiać.

– Czy on tu przychodzi?

Olga nie zdążyła odpowiedzieć, bo Marianna nieoczekiwanie zaszlochała głośno.

– Czy ktoś cię napadł?! Dlaczego się nie odzywałaś przez dwa tygodnie?! Czy ty wiesz, przez co ja przeszłam?!

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie, ponad ich głowami. Nagle wskazała palcem na ścianę.

– Ten jest chyba najlepszy. Jego lubię najbardziej.

Dopiero teraz Gabor i Marianna rozejrzeli się po pokoju. Na

wszystkich ścianach namalowano anioły. Ogromne rysunki i całkiem małe, jeden koło drugiego tworzyły dziwaczną całość, niczym ornament oplatając pomieszczenie. Rysunki były proste w formie, chociaż dokładnie wystylizowane. Widać było, że malowano z rozmachem i pewnością mającego powstać kształtu. Kolory wprost raziły oczy, zestawienia nasyconych, kontrastujących ze sobą barw czyniły całość dramatyczną, niepokojącą, ale i fascynującą zarazem.

– Musimy porozmawiać. – Gabor zbliżył się do Olgi i próbował wziąć ją za rękę. Dziewczyna gwałtownie się odsunęła.

– Kochanie... – zaczął pieszczotliwie.

– Nie mów tak do mnie! – krzyknęła. – W ogóle nic do mnie nie mów. Nie chcę z tobą rozmawiać!

Marianna wyglądała na zdezorientowaną. Rozglądała się ze strachem w oczach po pokoju. Wreszcie pod wpływem wzroku Gabora zrozumiała, że powinna coś powiedzieć. Zacerpnęła powietrza i wyrzuciła z siebie pierwsze pytanie, które przyszło jej do głowy:

– Dlaczego nie włożyłaś butów? Przecież wszędzie jest pełno szkła.

– Anioły nie potrzebują butów – odparła spokojnie Olga – więc je wyrzuciłam.

– Ale... ty nie jesteś aniołem. – Marianna bezradnie spojrzała na sąsiadkę.

– Mówiłam, że nie zrozumiecie. To dlatego, że jeszcze ich nie widać. W lustrze też nie widać, bo one pokazują tylko to, co na zewnątrz. Przeszkadzały mi.

– Dziecko, ty jesteś chora. – Marianna zbliżyła się do córki i pogłaskała ją po policzku. Twarz Olgi była nadal nieruchoma. – Czy coś cię boli?

– Nie będę z wami rozmawiała. Dajcie mi spokój.

Olga usiadła tam, gdzie stała. Kolejne pytania matki pozostawały bez odpowiedzi. Po kilkunastu minutach prób nawiązania kontaktu decyzję podjęła Stanisława.

– To ja idę wezwać pogotowie – powiedziała i wyszła.



Filip przystanął, widząc karetkę. Nie spieszyło mu się nigdzie, więc postanowił popatrzeć. Zawsze to jakaś atrakcja, urozmaicenie w podobnym do poprzedniego i następnego dniu. Nie czekał długo.

Pierwszy szedł lekarz, a za nim, w towarzystwie sanitariusza, spokojnie podążała ta kobieta. Prawdę mówiąc, rozpoznał ją tylko dlatego, że na końcu dziwnego pochodu szedł mężczyzna, który zlecał pilnowanie jej. Gdyby nie on, to chyba do głowy by Filipowi nie przyszło, że chora i kobieta, którą widywał kiedyś często na osiedlu, to ta sama osoba. Różnica była trudna do zaakceptowania.

Co ona ze sobą zrobiła? – pomyślał. Wygląda, jakby od dawna siedziała na wysypisku śmieci. Musi być bardzo chora, bo strasznie schudła i jest blada jak trup.

Kobieta miała dziwny wyraz twarzy. Nie potrafił dokładnie określić, coś pomiędzy bólem a głębokim smutkiem. Poczuli coś w rodzaju współczucia, ale szybko odsunął to wrażenie. Co mogła go obchodzić jakaś nieznajoma laska? Pewnie ma kupę forsy, ten jej facet też niebiedny, to załatwią najlepszych lekarzy i doprowadzą ją do ładu.

Chłopak oparł się o trzepak i beznamiętnie obserwował wydarzenia.

Olga spokojnie wsiadła do karetki i przyłgnęła twarzą do szyby. Jej wzrok spotkał spojrzenie Filipa. Uniosła rękę, jakby chciała mu pomachać, ale w połowie drogi zawahała się i dłoń opadła. Chłopak odwrócił wzrok, bo spojrzenie kobiety było dziwne. Miał wrażenie, że powinien coś zrobić, ale nie wiedział co. Przecież właściwie jej nie zna.

Lekarz zamienił kilka słów z mężczyzną, uścisnęli sobie ręce i po chwili ambulans zniknął wśród bloków. Do tego faceta podeszła starsza kobieta. *Widocznie ktoś z rodziny*, domyślił się Filip. Nie było tu już nic do roboty. Splunął na trawnik i ruszył w kierunku

domu. Mijając rozmawiających, usłyszał, jak nieznajoma mówi:

– To ja posprzątam w mieszkaniu. Straszny tam bałagan.

Chłopak zdziwił się, że można myśleć o sprzątaniu, kiedy kogoś z bliskich zabrało właśnie pogotowie. Przechodząc obok mężczyzny, spojrzął mu w oczy. Tamten udawał, że go nie zna. Filipowi nie sprawiło to przykrości, dawno już przestało mu zależeć na czymkolwiek.

Ten też nie wygląda na przejętego, ocenił w myślach. A dwa tygodnie temu szalał z zazdrości. Ludzie są naprawdę dziwni.

Na tym zakończył swoje rozważania nad ludzką naturą. Nie chciał psuć sobie humoru. Wieczorem zamierzał się spotkać z kumplami w osiedlowej knajpie i dobrze się bawić za pieniądze jakiegoś gówniarza, któremu, zamiast grzecznie iść do szkoły, zachciało się łązić po parku.

Chyba zrozumiał, że wagary są niebezpieczne. Uśmiechnął się na wspomnienie porannego spotkania.



– Pani Olgo, proszę być rozsądną. – Lekarz nerwowo pocierał brodę, starając się nie stracić cierpliwości. Wybierając ten zawód, wiedział, że nie jest to łatwa specjalizacja, ale czasami wydawało mu się, że dłużej tego nie znieśie. Najczęściej gdy miał do czynienia z przypadkami podobnymi do tego.

Siedząca przed nim kobieta nie wykazywała najmniejszej chęci do rozmowy. Od pewnego czasu było tak samo i chociaż miał świadomość, że jej stan może się nie zmienić przez najbliższe dni, a nawet tygodnie, to i tak czuł irytację.

– Wobec tego spotkamy się jutro o tej samej porze. Gdyby zdecydowała się pani porozmawiać, to mam dziś dyżur, może pani przyjść w każdej chwili. Trafi pani do sali czy zawołać pielęgniarkę?

Żadnej odpowiedzi. Lekarz podszedł do drzwi gabinetu, otworzył je i krzyknął w głąb korytarza:

– Siostró, proszę tutaj!

Pielęgniarka wzięła delikatnie Olgę pod ramię i zaprowadziła do sali, którą dziewczyna dzieliła ze starszą kobietą. Staruszka nie wstawiała z łóżka, całe dni leżała wpatrzona w sufit. W porze posiłków pielęgniarki podnosiły ją i opierały o ścianę, a potem karmiły. Połykała wszystko bez protestu, cały czas patrząc w górę. Potrzeby fizjologiczne załatwiała w łóżku, więc rodzina donosiła pampersy i wkładała do kieszeni siostry oddziałowej banknoty, dzięki którym najbliżsi chorej mieli poczucie dobrze spełnionego obowiązku i pewność, że pieluchy będą zmienione kilka razy w ciągu doby.

Oldze odpowiadało sąsiedztwo milczącej staruszki. Nie musiała się nawet odwracać do ściany, żeby mieć spokój. Miała czas na przemyślenia. Nie czuła żalu ani złości do matki, że pozwoliła na przywiezienie jej tutaj.

Męczyły ją jedynie dwie rzeczy. Po pierwsze, jedzenie. Straszne, zupełnie bez smaku. Nie była głodna, właściwie sądziła, że mogłaby obywać się bez posiłków, ale lekarze byli innego zdania. Dla świętego spokoju zjadała zawsze trochę tego, co dostawała na talerzu. Zrozumiała, że protesty nie zdadzą się na nic. Lepiej było udawać, że godzi się na wszystko, wtedy przynajmniej miała spokój.

Po drugie, nie znosiła codziennej rozmowy z lekarzem. Już pierwszego dnia powiedziała mu jasno i wyraźnie, że nie ma ochoty na zwierzenia i nie będzie z nim rozmawiała. Nie czuje takiej potrzeby, poza tym sama musi jeszcze wiele przemyśleć. A ten człowiek zdawał się nie rozumieć i każdego dnia jej przeszkadzał. Przerzywał wątek. Gdyby tylko dał jej kilka dni, wtedy na pewno skończyłaby swoje przemyślenia i mogłoby podyskutować.

Były jeszcze lekarstwa. Nie chciała ich przyjmować. Nie była chora, więc i one nie były potrzebne. Z początku wypluwała tabletki, ale pielęgniarka z salową przytrzymały ją i siłą zamykały usta. Uległa, bo były silniejsze, ale się nie poddała. Chowała leki pod język, a potem wpychała do materaca. Miała

nadzieję, że się nie domyślą.

Olga знаła działanie podawanych jej leków. Lekarz objaśnił jej wszystko pierwszego dnia. Wysłuchiwała tego, co mówił, i doszła do wniosku, że to nie dla niej. Rozumiała, że są ludzie, którzy ich potrzebują, ale ona z pewnością do nich nie należała. Sądziła, że w całej sprawie maczał palce Gabor. Wymyślił sobie, że zrobi z niej wariatkę i wtedy będzie mógł za nią decydować. *Nie pozwolę na to, postanowiła. Mogę siedzieć w tym szpitalu, ale nie dam się otumanić. Lekarz z pewnością jest jego kolegą albo wziął łapówkę i teraz chce wpychać we mnie tabletki, po których nie będę mogła myśleć logicznie.*

Na szczęście czasami przychodził Ananke. On jeden ją rozumiał. Wiedział, że nie ma ochoty na rozmowę, więc nie próbował nawiązywać kontaktu. Stawał pod oknem i po prostu patrzył. Lubiła to i lubiła patrzeć na niego. Kiedy był niedaleko, czuła się bezpieczniejsza, spokojniejsza. On zawsze się uśmiechał, a to dawało jej pewność, że robi dobrze, że ma rację, i pozwalało wytrwać.

– Pani Olgo, pora na obiad. – Pielęgniarka zajrzała do sali. Widząc, że dziewczyna posłusznie wstaje, poszła dalej.

Olga wsunęła nogi w kaptcie; musiała je włożyć, oni nie rozumieli, że żadnych butów nie potrzebuje, i nie lubili, kiedy chodziła boso. W stołówce, nie patrząc na innych pacjentów, wzięła łyżkę i stanęła na końcu kolejki do okienka, w którym wydawano posiłki.



Gabor szedł szpitalnym korytarzem, nie zwracając uwagi na ludzi, których mijał. Pacjenci na widok mężczyzny odsuwali się wystraszeni i onieśmieleni zdecydowanymi ruchami oraz twardym spojrzeniem. Jakaś kobieta chwyciła kurczowo rękaw fartucha przechodzącej pielęgniarki i przerażonym głosem szepnęła:

– Siostró, to on! Wiedziałam, że w końcu przyjdzie!

– Pani Markowska. – Pielęgniarka z dezaprobatą pokręciła głową.

– Niechże się pani uspokoi, bo będzie dodatkowy zastrzyk! – I wyrwawszy rękaw z zaciśniętej na nim dłoni, poszła dalej. Pozostawiona na korytarzu kobieta odsunęła się pod ścianę i wbiła wzrok w podłogę, raz po raz robiąc na piersi znak krzyża.

Tymczasem Gabor dotarł do drzwi z numerem sześć i wszedł do sali. Obojętnym wzrokiem omiótł staruszkę. Następnie spojrzał na matkę Olgi, która siedziała na metalowym krzeselku tuż przy łóżku córki.

– Powiedziała coś? – zapytał wprost.

Marianna w odpowiedzi tylko pokręciła głową. Gabor podszedł do łóżka i pochylił się nad niedoszlą narzeczoną. Nawet na niego nie spojrzała..

– Czy moglibyśmy zostać na chwilę sami? – zwrócił się do Marianny. – Chciałbym Oldze coś powiedzieć.

– Oczywiście, oczywiście. – Szybko podniosła się z krzesła i nerwowym ruchem wygładziła spódnicę. – I tak miałam iść porozmawiać z lekarzem. Może tobie coś powie...

W drzwiach odwróciła się jeszcze i dodała:

– Może coś zje? Przynoszę owoce i soki, niczego nie tknęła. Szkoda wyrzucać.

Nie odpowiedział, więc wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– Popatrz na mnie. – Głos Gabora był stanowczy, ale Olga nie zareagowała, więc mężczyzna usiadł na brzegu łóżka i siłą odwrócił ją w swoją stronę. Potem przytrzymał jej głowę tak, żeby musiała na niego spojrzeć. – Przyszedłem, bo musimy porozmawiać. Tak dalej być nie może. Zachowujesz się jak rozhisteryzowana panienska. Wiem dobrze, co ci jest, i wiem, czyja to wina. Nie myśl jednak, że tak łatwo odpuszczę.

Olga zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki.

– Więc jednak słyszysz, co mówię, prawda? To dobrze. Znudziła mi się rola troskliwego narzeczonego, nie lubię tu przychodzić i więcej nie będę. Nie myśl jednak, że znikam na zawsze. Poczekam spokojnie, aż cię stąd wypuszczą. Pewnie chciałabyś

wiedzieć, kiedy to będzie, tak? Gdybyś była rozsądna, to załatwiłbym to szybko. Ale ty jesteś uparta, więc musisz sama sobie poradzić. Nie wątpię w twój spryt. Pamiętaj jednak, że będę w pobliżu.

Puścił głowę Olgi, która bezwładnie opadła na poduszkę. Poklepał dziewczynę po policzku i się uśmiechnął.

– Kochanie, zobaczymy się szybciej, niż myślisz. Nie przegram z tym – skrzywił się z obrzydzeniem – dobrotliwym guru dla naiwnych.

Odwrócił się, chcąc wyjść, i napotkał przerażone spojrzenie pacjentki z sąsiedniego łóżka. Oczy miała otwarte, a nienaturalnie rozszerzone źrenice patrzyły wprost na Gabora.

– Niech się pani nie boi śmierci. – Uspokajająco uniósł dłoń. – Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Staruszka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć głosu. Przez chwilę poruszała ustami, wreszcie zamknęła oczy.

Gabor wzruszył ramionami. Powiedział to, co miał powiedzieć, teraz należało jak najszybciej wrócić do przyjemniejszych miejsc niż przesiąknięte szpitalnym zapachem sale.

Marianna siedząca na korytarzu na jego widok poderwała się na równe nogi.

– Czy coś się stało? – spytała i widać było, że jest zaniepokojona.

– Owszem, ale chciałem powiedzieć to najpierw Oldze. Teraz, kiedy ona już wie, mogę powiedzieć i pani.

– Tak?

– Dostałem propozycję pracy w oddziale naszej firmy za granicą. To dla mnie ogromna szansa. Wiem, że moment nie jest najlepszy. Ta choroba Olgi, pani sama ze wszystkim, ale... – Udał zakłopotanie. – Powiem szczerze: chciałbym skorzystać z tej szansy. Druga taka okazja może się nie trafić. To tylko pół roku, szybko minie. Zarobię dużo więcej niż tutaj, może Olga wyzdrowieje, to przyda się na rozpoczęcie wspólnego życia.

Marianna słuchała spokojnie i z uwagą. W miarę jak Gabor

mówił, jej twarz stawała się coraz bardziej skupiona, a w oczach pojawiło się coś nowego; smutek pomieszany ze zrozumieniem.

– Możemy usiąść? – Wskazała stolik i krzeselka stojące pod ścianą. – Słabo się poczułam.

– Może poprosić pielęgniarkę albo przynieść wody?

– Nie trzeba – zatrzymała go. – Zaraz przejdzie.

Usiedli. Marianna wyjęła z torebki chusteczkę i nerwowo mięła ją w palcach, jakby nie wiedząc, po co właściwie jest jej potrzebna. Po chwili niezręcznej ciszy kobieta, patrząc w zniszczony blat stolika, powiedziała cicho:

– Ty nigdzie nie jedziesz, prawda? – I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Ty po prostu ją zostawiasz. Nie chcesz chorej dziewczyny, i to jeszcze tak chorej. Uciekasz, żeby poszukać innej, tak? – Spojrzała na niego uważnie.

Mężczyzna nie spuścił wzroku.

– Skoro chce pani znać prawdę, to tak. Ma pani rację. Odchodzę. Nie chciałem pani sprawić przykrości, więc wymyśliłem wyjazd. Myślałem, że tak będzie lepiej.

– Dla kogo lepiej? Dla mnie? Co to dla mnie ma za znaczenie? Mnie już lepiej nie będzie. Miałam nadzieję, że Oldze się uda, że będzie szczęśliwa. – Teraz chusteczka przydała się do otarcia oczu. – Zresztą nie powinnam być zdziwiona. Co to, ja nie znam mężczyzn? Wszyscy są tacy sami, jak jest dobrze, to są, a jak tylko pojawią się kłopoty, to zaraz fruuu i już ich nie ma. Przestrzegałam Olgę od dziecka, ale zła ze mnie matka, bo uchronić jej nie umiałam...

Gabor nie zamierzał wysłuchiwać kolejnych inwektyw tej kobiety, którą dotąd tolerował tylko ze względu na Olgę. Nie czuł się już zobowiązany do zachowywania pozorów, wstał więc i nie siląc się nawet na pożegnanie, odszedł.

Marianna nie zauważyła jego odejścia. Siedziała, wciąż ocierając oczy, i mówiła dalej:

– Myślałam, że już wszystkie nieszczęścia mnie w życiu spotkały, że już swoje wycierpiałam. Ale nie, gdzieżby, teraz jeszcze córka

wariatka, będę się musiała nią opiekować. Boże, Boże, za jakie ja grzechy tak cierpię? Czy ja coś złego w życiu zrobiłam? Żeby to się już skończyło, bo po co ja mam dalej żyć?!

– Niech pani nie złorzeczy, to grzech.

Marianna aż podskoczyła pod dotknięciem, które poczuła na ramieniu. Za nią stała kobieta, mniej więcej w jej wieku, ubrana w szpitalną koszulę nocną, z długim siwiejącym warkoczem spływającym z ramienia.

– I z nim pani rozmawiała. – Pokazała palcem na Gabora, który czekał, aż pielęgniarka otworzy drzwi i wypuści go na zewnątrz. – A to jest grzech śmiertelny.

– Proszę mi dać spokój! – zdenerwowała się Marianna. – Siostro! Niech siostra zabierze tę kobietę! – krzyknęła na widok nadbiegającej pielęgniarki, ale ta machnęła ręką i pobiegła dalej. Za chwilę Marianna zobaczyła, że wraca w towarzystwie lekarza i oboje wchodzi do sali, w której leży Olga. Przerażona Marianna pobiegła za nimi, ale została zatrzymana w drzwiach.

– Co z moją córką?! – zapytała.

– W porządku, proszę się uspokoić. – Młoda pielęgniarka poklepała ją po ramieniu. – To ta starsza pani...

– Co jej się stało?

– Umarła.



Olga zrozumiała, że tu, w szpitalu, uważają jej milczenie za objaw choroby. Doszła do wniosku, że powinna wytłumaczyć lekarzowi, dlaczego nie ma ochoty na rozmowę. Poza tym ma przecież prawo milczeć, nie można zmuszać ludzi do mówienia. Zwłaszcza że nie robi nikomu krzywdy.

Cóż, kiedy od kilku dni próbowała na wszelkie sposoby i bez skutku. Doskonale wiedziała, że lekarz tylko udaje zainteresowanie i zrozumienie, a tak naprawdę każde jej słowo jest dla niego wyłącznie potwierdzeniem tego, co sobie założył. Dla niego była chora i już.

Niby uważał się za mądrego, a nie potrafił zaakceptować oczywistych faktów. Olga wiedziała swoje. W końcu to ona spotkała się z Ananke, widziała go, rozmawiała z nim. Rozumiała, że niełatwo wytłumaczyć to osobie, która nie doświadczyła bezpośredniego z nim kontaktu, ale nie oczekiwała wiele. Chciała tylko, żeby dali jej spokój, żeby mogła żyć po swojemu. Tylko tyle.

Do tej pory sądziła, że żyje w świecie nowoczesnym i tolerancyjnym, gdzie każdy może się ubierać, jak chce, jeść, co chce, i robić, co chce, byle nie robił krzywdy innym. Jednak kiedy postanowiła zmienić swoje życie, kiedy zrozumiała, kim jest i czego chce, jej bliscy nie potrafili tego zaakceptować. Wiedzieli lepiej, siłą dyktowali swoje warunki. Trudno było ich kochać w takiej sytuacji. Bardzo trudno. Ale starała się ze wszystkich sił. Nawet teraz, kiedy siedzący naprzeciwko człowiek w białym fartuchu cały czas coś mówił. Z pewnością to samo co wczoraj i przedwczoraj, i dwa dni temu. Tak sądziła, chociaż go nie słuchała. Nie mogła, bo całą jej uwagę przyciągał Ananke.

Widziała go przez szybę. Stał za ogrodzeniem, uśmiechał się, nawet pomachał do niej. Anioł. Czy to nie cudowne? Tyle myśli przechodziło Oldze przez głowę, trudno było je zatrzymać, skupić się na nich, ale to już nie było problemem. Najważniejsze, że pozostawiały po sobie uczucie lekkiej euforii, pobudzały, sprawiały, że znowu chciało jej się żyć. Fakt, na dłuższą metę takie odczucia męczyły – może dlatego spała więcej niż zwykle – ale w ogólnym rozrachunku była zadowolona.

Zmiany w uczuciach Olga łączyła z przemianą, o której wspominał Ananke. Kiedy nadejdzie ostateczna chwila? Oczekiwała ze zniecierpliwieniem, bała się, że zbyt długo będzie musiała zostać tu, w zamknięciu, że przez to coś przegapi, że będzie za późno. Tym bardziej że nie tylko wewnętrznie się zmieniła. Zauważyła także dalsze zmiany w swoim wyglądzie. To właśnie one sprawiły, że zdecydowała się opowiedzieć o wszystkim lekarzowi. Liczyła, że jeśli pokaże dowody, to nareszcie ktoś jej uwierzy.

– Czy pani słyszała, o co pytałem? – Cichy, lecz stanowczy głos lekarza wyrwał Olgę z zamyślenia.

Pokręciła głową.

– Przepraszam, doktorze, jakoś nie mogę się skoncentrować. Tyle mam do przemyślenia, to nie jest proste...

– Rozumiem. – Położył dłoń na jej dłoni w uspokajającym geście.
– Proszę spróbować skupić się przez chwilę na naszej rozmowie. Inaczej do niczego nie dojdziemy

– A do czego mamy dojść? Wszystko opowiedziałam i chcę wiedzieć, kiedy będę mogła wrócić do domu.

– A czy u nas pani źle? Dlaczego chce pani uciekać, Olgo?

Drażnił ją ten protekcyjny ton. „Anioł jest dobry. Nie czuje do nikogo złości ani niechęci, ani nienawiści. Anioł kocha wszystkich. Tylko dobro może zmienić świat” – przypomniawszy sobie słowa Ananke. Słyszała je wyraźnie, jakby on sam siedział w jej głowie i przypominał o najważniejszym.

– Panie doktorze, mówiłam już tyle razy. Ktoś na mnie czeka. Nie mam zbyt wiele czasu. Muszę wyjść i zacząć nowe życie.

– Jako anioł?

– Tak. – Udała, że nie słyszy ironii w głosie lekarza. – Ananke na mnie czeka. – Wskazała palcem w stronę okna. – Cały czas tam jest.

Doktor podszedł do parapetu i ruchem ręki wezwał Olgę do siebie.

– Proszę spojrzeć. Tam nikogo nie ma.

– Widocznie już poszedł.

Lekarz, zrezygnowany, usiadł ponownie za biurkiem. Splótł dłonie i przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Pacjentka także wróciła na swoje krzesło. Była zupełnie spokojna i tak pewna tego, co mówiła, że trudno było znaleźć argument na przekonanie jej.

– Olgo, rozmawialiśmy już tyle razy. Musisz spróbować zrozumieć, że jesteś chora. To ważne. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

– Nie jestem chora. Wspominałam o bólu głowy, ale już mi nie dokucza.

– Wiesz dobrze, że nie mówię o bólu głowy. Dlaczego udajesz, że nie rozumiesz? Nie jesteś aniołem. Nie możesz nim być.

– Dlaczego?

– Nawet nie wiadomo, czy anioły istnieją. Nikt ich nie widział.

– Ja widziałam. I niech pan do mnie nie mówi w ten sposób. Nie jestem upośledzona. Proszę nie robić ze mnie wariatki, dobrze? Czy nie dałam panu dowodów?

Lekarz sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej dużą szarą kopertę, z której wyciągnął zdjęcie rentgenowskie. Podszedł z nim do okna.

– Niech pani sama zobaczy. Śmiało – zachęcił dziewczynę. – Czy widzi tu pani jakieś skrzydła? No, proszę, twierdzi pani, że jest mądrą kobietą, więc umożliwiam pani samodzielną ocenę.

Olga nie skorzystała z propozycji, bo naraz zrozumiała, co się dzieje. Jej obawy się potwierdzały. Gabor nie przychodził, tak jak obiecał, bo nie musiał. Od początku podejrzewała, że lekarz jest z nim w zмовie. Niepotrzebnie mu zaufała. Nie powinna była. Powiedziała prawdę, a oni zdecydowali się nie dopuścić do tego, żeby dokonała się całkowita przemiana. Teraz sfalszowali zdjęcia i próbują jej wmówić chorobę. W końcu chyba ona wie najlepiej, co się dzieje z jej ciałem.

To, że rosną jej skrzydła, zauważyła kilka dni po przyjsciu do szpitala. Tak po prostu poczuła swędzenie, a kiedy usiłowała się podrapać, wyczuła je. Były, bez żadnych wątpliwości. Swędziało, bo rosły. Odkrycie najpierw trzymała w sekrecie, a tajemnica była wielką cichą radością Olgi, potwierdzeniem słów Ananke i ostatecznym dowodem na prawdziwość tego, co mówił.

Znużenie ciągłymi monologami lekarza spowodowało, że opowiedziała mu o skrzydłach – i natychmiast tego pożałowała. Oczekiwany przełom nie nadszedł, nie zyskała zrozumienia i zgody na opuszczenie szpitala. Zamiast tego zdecydowano o dodatkowych badaniach, dołożono kilka nowych tabletek,

których musiała się pozbywać, a teraz posunęli się nawet do fałszerstwa. Wszystko po to, żeby znowu zwątpiła.

– Olgo, i co pani na to? – Pytania zadanego po raz trzeci nie mogła zignorować.

– Nic. Chcę tylko wrócić do domu.

– Niech więc się pani postara ze mną współpracować. Czy pani rozumie, co mówiłem? Jest pani chora, przez dłuższy czas źle się pani odżywiała. I schudła pani po prostu, a efektem utraty kilogramów są między innymi bardziej wystające łopatki. To je pani czuła, a nie skrzydła. Tak? Zgadza się pani ze mną?

Olga bezwiednie pokiwała głową. Było jej wszystko jedno, czemu potakuje. Skoro tego od niej oczekują, skoro tylko w ten sposób może przyspieszyć dzień, w którym stąd wyjdzie, to będzie to robiła. Zrobi każdą rzecz, jakiej zażądatają, potwierdzi wszystko, co powinna, zgodzi się z każdym słowem. *Na szczęście nie mogą wejść do mojej głowy, pomyślała. Muszą poprzestać na tym, co widzą i co ja im powiem. To moja szansa. I wykorzystam ją.*



Marianna nie lubiła odwiedzać córki. Chociaż za żadne skarby świata nikomu by się do tego nie przyznała, to po prostu się wstydziła, że jej córka przebywa w takim miejscu. Dom wariatów! Taka jest prawda i na nic się zda nazywanie go szpitalem dla nerwowo i psychicznie chorych. Jakkolwiek szumna byłaby nazwa, to fakt pozostaje faktem – dom wariatów i tyle. I niech jej teraz ktoś powie, na co się zdały wieloletnie starania, wychowywanie, nauka, wyrzeczenia? To wszystko po to, żeby teraz przychodzić każdego dnia do tego szarego budynku o zakratowanych oknach?

Powoli wchodziła na trzecie piętro. Zatrzymywała się na każdym półpiętrze, nie dlatego że miała zadyszkę, ale wyłącznie po to, żeby opóźnić moment wejścia na oddział. W końcu jednak dotarła do podwójnych drzwi. Przez matową szybę nie było widać, co się dzieje w środku. Postawiła ciężącą jej siatkę na podłodze

i nacisnęła guzik dzwonka. Czekwała chwilę, w końcu drzwi się uchyliły i ukazała się głowa młodej pielęgniarki.

– Pani do kogo? A... – Rozpoznała Mariannę. – Do naszej Olgi. Proszę bardzo. – Odsunęła się nieco, żeby kobieta mogła wejść, ani na chwilę nie puszczając drzwi.

Nasza Olga, pomyślała ze złością Marianna. *Nie mają prawa tak o niej mówić. To moja córka, tylko moja, i teraz ma już tylko mnie.*

Za plecami usłyszała szcęknięcie klucza przekręcanego w zamku. Drzwi wejściowe na oddział były zamykane, żeby uniemożliwić pacjentom ucieczkę. Wiedziała o tym i rozumiała to, ale za każdym razem, gdy przekręcano klucz, czuła się jak uwięziona, bez możliwości wyjścia. A przez to i niespokojnie.

Szybkim krokiem pokonywała odległość dzielącą ją od sali, w której leżała Olga. Bała się, że po drodze zaczepi ją któryś z pacjentów. Nie umiała z nimi rozmawiać, nie wiedziała, jak ma ich traktować. Wszystko tu było nieznane, niebezpieczne i niepewne. Jakby przechodząc przez drzwi, wchodziła do zupełnie innego świata, pełnego istot nieznanymi i niedającymi się zrozumieć; ten świat rządził się swoimi prawami, których ona, osoba z zewnątrz, nie umiała pojąć ani zaakceptować. Unikała więc zarówno pacjentów, jak i personelu. Przy każdej rozmowie z pielęgniarką lub lekarzem przypominały jej się dowcipy o psychiatrach i chociaż miała do nich zaufanie, to w takich chwilach zastanawiała się, ile w tych żartach jest prawdy. Nie wyobrażała sobie pracy na takim oddziale i sądziła, że trzeba mieć ku temu specjalne predyspozycje. Doszła też do wniosku, że psychika nie mogła pozostać obojętna na ciągłe przebywanie za zamkniętymi drzwiami o mlecznych szybach. Skoro ona tak przeżywa każde wejście do tego świata, a półgodzinny pobyt kosztuje ją wiele nerwów, to co mieli powiedzieć ci, którzy muszą tu przebywać po kilkanaście godzin na dobę?

Dziś miała szczęście, na korytarzu nikogo nie było. Pacjenci siedzieli na łózkach, widziała to, przechodząc obok kolejnych sal. Na oddziale panowały cisza i spokój. Bez problemów dotarła do

córki. Olga po śmierci staruszki była w sali jedyną pacjentką. Marianna cieszyła się z tego, bo przynajmniej tutaj mogła odetchnąć z ulgą. Pomieszczenie było niewielkie; gdyby nie kraty w oknach i szpitalne szafki, można by pomyśleć, że to pokój w sanatorium albo internacie.

Zastała córkę ubraną i uczesaną. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia, bo dotąd Olga przez cały czas chodziła w koszuli nocnej, nie dbając o to, czy jest czysta. Od czasu do czasu czesały ją pielęgniarki. Najdziwniejsze jednak było to, że na widok matki dziewczyna zrobiła grymas, który nieco przypominał uśmiech, i pierwsza się odezwała.

– Dobrze, że przyszłaś.

– Córciu, przecież każdego dnia przychodzę. Jak miałabym nie przyjść? Przecież jesteś moim jedynym dzieckiem.

– Niezbyt udanym, prawda?

– Co też ty mówisz. – Marianna, chcąc ukryć zakłopotanie, zaczęła wykladać na szafkę rzeczy z siatki. – Przyniosłam ci kompot i sok. Raz, dwa, trzy bułeczki, z szynką, taką chudziutką, jak lubisz. I owoce. Jabłka i mandarynki.

– Nie trzeba, mamo. Wystarcza mi to, co tutaj dają.

– A, co tu dają. Widziałam: pół bułki i plasterek czegoś, co udaje wędlinę. A ty musisz przytyć. Wyglądasz jak szczapa, wszystkie kości na wierzchu...

– To nie kości, mamo... – zaczęła Olga, ale przerwała w pół zdania.

– Co mówisz, córciu? – Marianna starannie złożyła siatkę i schowała ją do torebki.

– Nic. Chciałam powiedzieć, że cię kocham.

Kobieta zamrugała kilka razy. Nie chciała się rozplakać.

– Może coś innego ci przynieść? Może banany albo słodycze? Powiedz, co byś chciała?

– Niczego mi nie potrzeba. Chciałabym stąd wyjść.

– Na razie nie możesz. Tak twierdzą lekarze. Ale jak tylko poczujesz się lepiej, na pewno wrócisz do domu – tłumaczyła córce

cierpliwie i powoli, tak jak uczył ją lekarz.

– Czuję się bardzo dobrze. Chcę do domu.

– Na pewno lada dzień dostaniesz wypis. Bądź cierpliwa, lekarze wiedzą, co robią.

Olga spokojnie obserwowała wysiłki matki. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Marianna powtarza słowa doktora. Nic dziwnego, skoro są w znowiu. Biedna matka, to nie jej wina, że niczego nie rozumie. Szkoda, że nie jest po jej stronie. Właściwie Olga spodziewała się tego, ale musiała sprawdzić, żeby mieć pewność.

– Mamo, jeżeli muszę tutaj zostać, to chciałabym cię o coś prosić. Zrobisz to?

– Oczywiście, córuś. Co takiego?

– Nie wiem, co się dzieje z Gabim. – Zauważyła zdziwione spojrzenie matki i dodała: – No wiesz, moim psem. Błąka się pewnie po osiedlu głodny i zmarznięty. Tak nagle się tu znalazłam, nie zdążyłam mu zapewnić opieki. Gdybyś mogła go karmić, to byłabym spokojniejsza.

– Ale...

– Wiem, że przyjazdy do mnie zajmują ci dużo czasu. Nie musisz przychodzić codziennie, ja naprawdę mam wszystko. Jeżeli nie będę się martwić o Gabiego, to będę spokojniejsza. Zgódź się, dobrze?

Marianna podeszła do okna i udawała, że szuka czegoś w torebce. Z trudem powstrzymywała łzy. Nie da rady, nie wytrzyma tego! Na podłogę wypadła portmonetka, a monety rozsypały się, dźwięcząc na błękitnych płytkach. W pośpiechu zbierała pieniądze, ręce jej drżały. Córka nie wykonała najmniejszego gestu, żeby jej pomóc. Wreszcie ostatnia moneta znalazła się w portmonetce.

– Muszę już iść. – Zdołała odzyskać równowagę. Pocałowała dziewczynę w policzek, zostawiając na nim brązowy ślad szminki.

– Do jutra.

– Do widzenia, mamo. Pamiętaj o mojej prośbie.

Marianna się nie odwróciła. Nie miała dość sił, żeby spojrzeć

w twarz własnemu dziecku. Bała się, co na niej zobaczy, co ujrzy w tych oczach, które patrzyły na nią tak samo ufnie jak w dzieciństwie.

Olga odprowadziła matkę wzrokiem. Nie wierzyła ani przez chwilę, że ta zajmie się psem. Tyle razy coś jej obiecywała i nic z tego nie wychodziło, dlaczego teraz miałoby być inaczej? Pozostawała nadzieja, że pies nie zapomniał trudnej sztuki przeżycia i da sobie radę sam. Tęskniła za nim i tak naprawdę był jedyną istotą, której los ją obchodził. Musiał niestety poradzić sobie sam. Tak jak ona.



Na korytarzu panowało zamieszanie. Pod ścianą przy wejściu stały trzy wystraszone pielęgniarki, a na środku dwóch mężczyzn w białych fartuchach próbowało uspokoić człowieka, który wyrwał się, wrzeszcząc i wyjąc. Ordynator starał się uzyskać od mężczyzn jakieś informacje, ale szalejący pacjent uniemożliwiał porozumienie.

Na końcu korytarza pojawił się sanitariusz Rafał, postrach pacjentów i ich rodzin.

– Szybciej, panie Rafale! – krzyknął lekarz. – Bo on nam cały oddział rozwali.

Marianna skryła się za plecami jednej z pielęgniarek i z przerażeniem obserwowała scenę. Próbujący się wyrwać człowiek miał w oczach coś dzikiego, był pełen pierwotnej siły, która pozwalała mu pokonać dwóch mężczyzn. Uwolniony, chwycił stojące nieopodal krzesło i rzucił nim na oślep. Trafił w ścianę tuż obok Marianny, która krzyknęła wystraszona. Ten krzyk sprawił, że mężczyzna zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, co robić, i ten moment wykorzystał sanitariusz. Silne ramiona radziły sobie nie z takimi przypadkami. Pacjent został unieruchomiony, a ci, którzy go przywieźli, odetchnęli z ulgą.

– Siostro! Zastrzyk, szybko! Rafał długo nie wytrzyma!

Pielęgniarka odzyskała zdolność do działania i stukając

drewniakami, pobiegła do gabinetu zabiegowego. Marianna nie wiedziała, jak się zachować. Zdezorientowana podeszła do lekarza, ale ten odgonił ją ruchem ręki.

– Nie teraz. Nie widzi pani, że mamy problem? Proszę stąd odejść. – Nawet nie spojrzał, czy go posłuchała. Wpatrywał się w dwie postacie splecione w dziwnym uścisku pośrodku korytarza. Napięcie narastało.

Przywieziony człowiek zaczynał odzyskiwać siły. Próbował uwolnić ręce, ale sanitariusz był silniejszy. Chory usiłował go kopać, nic to jednak nie dało. Wyglądał teraz niczym zepsuta kukielka; machał rękami i nogami.

Pielęgniarka wróciła ze strzykawką. Kiedy wbijała mężczyźnie igłę w pośladek, krzyknął. Krzyk był krótki, ale z powodu niezwykle wysokiego tonu złowieszczy. Marianna zatkała uszy dłońmi. Opuściła ręce, kiedy zobaczyła, że sanitariusz rozluźnia uścisk, a ciało mężczyzny osunęło się, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze. Dopiero teraz pozostałe pielęgniarki odważyły się podejść. Przy pomocy sanitariusza zaprowadziły chorego do męskiej części oddziału.

– Do izolatki! – krzyknął za nimi lekarz. – I nie zapomnijcie o pasach!

Marianna poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie. Za nią stała Olga.

– Nie bój się, mamó. To dobry człowiek, nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

– Tak?! – Marianna nie potrafiła zapanować nad emocjami. – A tym krzesłem to kto mnie o mało nie zabił? Ty?!

– To dlatego, że on nie chciał tutaj zostać. Ty byś chciała?

Marianna przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu wykrztusiła:

– Musi tu być. Jest chory.

– Jak ty nic nie rozumiesz.

Olga odwróciła się i powoli odeszła. Na korytarzu znowu zapanowała cisza.



– Kogo wy mi tutaj przysyłacie! – krzyczał zdenerwowany lekarz do słuchawki. – Nie przyjmujemy agresywnych pacjentów, ile razy mam powtarzać?! Nie mamy warunków, żeby ich leczyć!

Nie przerywając rozmowy, gestem wskazał krzesło Mariannie, która wsunęła głowę przez drzwi i patrzyła na niego pytająco.

– Natychmiast przyślijcie karetkę i ze dwóch silnych sanitariuszy. Nic mnie nie obchodzi, że nie macie! Musicie mieć! Oczywiście. Czekam.

Odłożył słuchawkę i opadł na krzesło. Przetarł oczy dłonią i rozluźnił krawat.

– Jeszcze chwileczkę – rzucił. Z szafki stojącej obok biurka wyjął butelkę whisky i szklaneczkę, nalał i wypił jednym szybkim haustem.

– Nie zapytałem, przepraszam, może pani ma ochotę?

Marianna pokręciła przecząco głową. Lekarz schował alkohol i nieco już odprężony uśmiechnął się do gościa.

– Przynajmniej na coś się przydają prezenty od wdzięcznych rodzin. Przykro mi, że była pani świadkiem tej sceny, ale cóż, czasami tak się zdarza.

– Czy on tutaj zostanie?

– Skądże, proszę się nie obawiać. Zabiorą go na oddział, gdzie mają możliwości zajmowania się takimi przypadkami. Córce nic nie grozi, pewnie o to się pani bała?

– Właściwie to przychodzę w innej sprawie – odważyła się Marianna. – Chciałam o coś zapytać.

– Córka ma się lepiej. Nawiązałem z nią kontakt, zdaje się rozumieć i zaczyna akceptować swój stan. Mówiłem pani już wczoraj, że nie jestem w stanie postawić jednoznacznej diagnozy. Za krótko tu przebywa.

– Tak, wiem, ale...

– Droga pani. – Lekarz przyjął protekcyjny ton. – W przypadku chorób, jakie tutaj leczymy, nie da się postawić

diagnozy za pomocą wyników badania krwi czy prześwietlenia. Nie da się zrobić operacji i przywrócić pacjentowi zdrowia. Tłumaczyłem to pani wczoraj, od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Wszedł zza biurka, zmuszając tym samym Mariannę do wstania. Podszedł do drzwi i położył rękę na klamce, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną. Marianna zdecydowała się przejść do sedna sprawy.

– Już nie przeszkadzam, doktorze. Chcę tylko powiedzieć, że córka prosiła mnie dziś o opiekę nad swoim psem.

– To proszę się nim zaopiekować; w czym problem?

– W tym, doktorze, że ona nie ma żadnego psa. Trzymała od jakiegoś czasu w domu psią miskę, smycz i obrozę, ale myślałam, że to taka fanaberia, no, sposób radzenia sobie z samotnością. A dzisiaj...

– Dobrze, że mi pani o tym powiedziała – przerwał lekarz i otworzył drzwi. – Gdyby pani coś jeszcze zauważyła, proszę dać znać. Bardzo mi takie informacje pomagają. Do widzenia.

– To co ja mam robić? – Marianna miała łzy w oczach.

– Skoro pies nie istnieje, to nic. To chyba jasne. – Uśmiech na twarzy lekarza był sztuczny, ale na Mariannę podziałał kojąco. – Niestety, naprawdę muszę panią pożegnać. Pacjenci czekają.

Zamknął za kobietą drzwi. Miał ochotę na jeszcze odrobinę whisky. Bez niej chyba nie dałby rady wykonywać swojego zawodu. Chwilami nie wiedział, czy trudniej porozumieć się z pacjentami, czy z ich rodzinami. A matka mówiła mu, żeby został pediatrą. Dzieci są takie miłe...



Olga każdą wolną chwilę spędzała przy oknie. Nawet teraz, kiedy udało jej się schronić z papierosem w toalecie, stała z nosem przy szybie, uważnie obserwując to, co działo się na zewnątrz. Właściwie nie musiała palić w toalecie, mogła korzystać z palarni. Wielu pacjentów spędzało tam całe dni, paląc jednego papierosa za drugim.

Nie lubiła tamtego miejsca, nie mogła znieść wpatrzonych w nią oczu. Nikt z nikim nie rozmawiał, tylko raz za razem krzyżowały się spojrzenia pełne strachu albo bólu, ale nigdy współczucia i zrozumienia. Tu nikt nie żywił przyjaznych uczuć wobec innych ludzi. Odkąd Olga postanowiła stosować się do sugestii Ananke i wszystkich obdarzać miłością, była niemile widziana. Pozostali pacjenci zdawali się wyczuwać jej nastroje. Nie chcieli jej miłości, bo brali ją za litość, a tego uczucia nie znosili.

Żaden z nich nigdy nie odpowiedział na uśmiech, żaden nie podszedł i nie zagadnął. Przeciwnie, unikali Olgi, odsuwali się od niej jak od niepasującego do reszty dziwadła.

Zaczęła więc unikać palarni, co przyszło jej bez większego żalu, bo pokochanie tych ludzi było trudne. Z początku brzydziła się nieogolonych twarzy, połamanych paznokci i żółtych palców. Wydawało jej się, że ci ludzie umierają po kawałku, a pierwsze oznaki rozkładu w postaci żółtych palców upewniały ją w tym przekonaniu. Miała wrażenie, że mogłaby zarazić się tym dziwnym rodzajem śmierci przez dotyk. Jedno dotknięcie mogło sprawić, że będzie miała tak samo otępiałe oczy, dziwne ruchy, a twarz zastygnie w niemożliwym do zidentyfikowania grymasie. Naprawdę, kochać ich nie było łatwo. Ananke miał rację.

Rezygnacja z odwiedzania palarni miała także inną dobrą stronę. Zmuszała do ograniczenia palenia, co w sytuacji, kiedy sanitariusz za przyniesienie papierosów żądał zapłaty w wysokości ich ceny, było zaletą. Normalnie mogłaby sobie pozwolić na taką rozrzutność, ale drobne kwoty, które zostawiała matka, były zbyt małe, a PIN-u do swojej karty bankomatowej nie chciała jej podać w obawie, że zostanie pozbawiona oszczędności. A przecież kiedy wyjdzie ze szpitala, będzie ich potrzebowała.

Kilkakrotnie głęboko zaciągnęła się papierosem i wyrzuciła niedopałek do sedesu. Udało się, nikt jej nie zauważył. Pielęgniarki nie pozwalały na palenie poza palarnią. Nie chciała narażać się na nieprzyjemności, bo jej celem nadal było jak najszybsze opuszczenie szpitala. Nieprzestrzeganie regulaminu

mogło zostać odczytane jako objaw choroby, a wtedy pobyt Olgi w szpitalu z pewnością by się wydłużył.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku okna i znieruchomiała. Niepewna tego, co widzi, podeszła do samej szyby. Tak! Nie przywidziało się jej! Na trawniku pod oknem stał Ananke. A obok niego... Gabi. Uchyliła okno i krzyknęła zduszonym głosem:

– Tu jestem!

Pies popatrzył w górę i szczeknął. Olga wysunęła przez siatkę w oknie palce i poruszała nimi.

– Tutaj!

Pies pomachał ogonem. Ananke kucnął i pogłaskał zwierzę po kudłatym łbie. Olga miała łzy w oczach. *Dziękuję, myślała. Dziękuję, Ananke. Wiedziałam, że na ciebie jednego mogę liczyć. Na pewno Gabiemu będzie u ciebie dobrze. Dziękuję.*

Ananke pomachał dziewczynie i uśmiechnął się uspokajająco, jakby wiedział wszystko, co pomyślała. Chciała coś jeszcze do nich krzyknąć, ale do toalety weszła salowa, niosąc wiadro i ścierkę.

– A pani co tu? – zapytała szorstko. – Czego okno otwiera? Uciekać chce?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. – Chciałam tylko pooddychać świeżym powietrzem.

– W kiblu? Też ma pomysły! Niech wraca na salę, bo pielęgniarkę zawołam! – Szmata przejechała po stopach Olgi. – No już, ja tu posprzątać muszę, bo srają te wariaty, gdzie popadnie...

Mruczała coś pod nosem, miarowo przesuując ścierką po podłodze. Przestała zauważać Olgę, więc ta wyszła bez słowa. *Ja też powinnam kochać, przypomniała sobie samej.*



Kto doniósł lekarzowi, że nie bierze zaleconych lekarstw? Olga zastanawiała się, ale nikt nie przychodził jej na myśl. Jediną osobą, która mogła widzieć, co robi Olga, była sąsiadka, ale ta już nie żyła. Nikomu innemu nie zdradziła swojej tajemnicy. A mimo to lekarz wiedział.

Rozmowa na ten temat nie była miła. Olga miała pretensje do siebie, że nie potrafiła opanować nerwów. Wstyd powiedzieć, ale ze złości opluła lekarza. Nie wiedziała już, jak ma mu tłumaczyć, że jest zdrowa i nie potrzebuje pomocy, a jedyne, czego pragnie, to powrót do własnego mieszkania i psa. O Ananke przezornie nie wspomniała.

Nie pomogły prośby i tłumaczenia. Stanowczo odmówiła przyjmowania leków. Nie miała zamiaru po raz kolejny wysłuchiwać bredni, których ten starzejący się mężczyzna wyuczył się chyba jeszcze na studiach; żadne argumenty nie mogły go od nich odwieść.

– Jest pan strasznie tępy jak na lekarza – powiedziała mu prosto w oczy i zaraz potem zrobiło jej się wstyd. Kiedy jednak próbował ją przekonać, że Gabi nie istnieje, miarka się przebrała.

– Może i ja nie istnieję, co? Udowodnię panu, że naprawdę tu jestem.

I wtedy właśnie napluła mu w twarz. Nie wiedzieć czemu bardzo ją rozbawiło zaskoczenie mężczyzny. Śmiejąc się, patrzyła, jak ociera policzek. Dawno tak dobrze się nie bawiła. Cóż, kiedy pan doktor okazał się pozbawiony poczucia humoru. Została wyprowadzona z gabinetu przez sanitariusza Rafała, który nie omieszkał przy tym, jak to miał w zwyczaju, wepchnąć jej ręki między nogi.

– Proszę dopilnować, żeby pacjentka zażywała leki – zarządził ze złością lekarz.

Olga zrozumiała, że szczęście ją opuściło. Kiedy prowadzona, a właściwie popychana przez sanitariusza szła korytarzem, widziała stojącego za ogrodzeniem Ananke. Uśmiechał się smutno. Wtedy Oldze też zrobiło się smutno. W każdej mijanej szybie go widziała – stał i patrzył w jej stronę. Tyle chciała mu powiedzieć!



– Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie mieszała się do moich spraw. Myślałem, że rozumiałaś, ale nie! Z armaty mam do ciebie

strzelać?

Filip miotał się od drzwi do okna i miał ochotę zrobić krzywdę kobiecie, która siedziała niepewnie na brzegu kanapy. Podszedł do niej i podniósł rękę. Szybkim ruchem wytrącił jej kieliszek z dłoni. Szkło rozprysło się wokół, a bursztynowy płyn utworzył na jasnym dywanie wyraźną plamę. Kobieta gwałtownie się podniosła i piskliwym głosem krzyknęła:

– Co ty robisz?! Jak możesz?!

Zrobiła krok w stronę chłopaka, ale zachwiała się i znowu opadła na kanapę. Zaczęła głośno szlochać, rozmazany tusz zostawił czarne smugi na policzkach.

– Mam prawo, jestem twoją matką – chlpała. – Staram się, ale ty mnie w ogóle nie słuchasz. Robisz, co chcesz, nie wiem, gdzie chodzisz. Sąsiadka mówiła, że zadajesz się z osiedlowymi chuliganami. Tylko patrzeć, jak policję będziemy mieli na głowie.

– Przestań – zażądał.

– Jak ty do mnie mówisz?! – Uniosła głowę. – Ja cię urodziłam, gówniarzu, i mam chyba prawo przynajmniej do pytań. – Końcówkę zdania wypowiedziała nieco niewyraźnie i już nie tak pewnym głosem. – Synku, ja cię tak kocham, wszystko dla ciebie robiłam, całe życie...

– Przestań – powtórzył Filip. – Nie nabierzesz mnie na te pijackie sztuczki. Po jaką cholere odebrałaś ten list? No, potrafisz odpowiedzieć?

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na syna, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi. Przez chwilę na jej twarzy malował się wysiłek, próbowała zebrać myśli, wreszcie z niemądrym uśmiechem powiedziała:

– Nalej mi, proszę, drinka. Tak się zdenerwowałam. Tam w barku jest koniaczek, dobrze mi robi.

Filip miał dosyć. Stan matki nie był dla niego żadną nowością. Dawno temu, kiedy zrozumiał, że matka ma problem z alkoholem, próbował namówić ją na terapię. Po miesiącach próśb, gróźb i awantur zrezygnował. Odciął się od tego, i chociaż z początku nie

było łatwo, z czasem stwardniał i bełkocząca postać snująca się po mieszkaniu była mu zupełnie obojętna, po prostu obca. Było mu wszystko jedno, co robi, byle nie mieszała się do jego spraw. Zresztą ojciec także nie przejmował się problemem żony. Dbał jedynie, żeby barek zawsze był pełny, bo to dawało mu pewność, że kobieta, z którą już od dawna nie miał wspólnych spraw, będzie siedziała w domu. Samodzielność syna także była mu na rękę, mógł spokojnie zająć się własną firmą i miłym spędzaniem czasu z młodymi kochankami. Te przynajmniej nie miały do niego o wszystko pretensji i wyglądały świeżo, nie to, co podstarzała żona z wiecznie podkrążonymi oczami.

Traf chciał, że właśnie wrócił do domu. *Widocznie musi zmienić koszulę*, pomyślał Filip.

– Co tu się dzieje? – Ojciec był zły, jak zawsze, kiedy musiał wrócić i spotykał resztę rodziny. – Czy w tym domu ciągle muszą być awantury? Człowiek haruje jak wół i chciałby odrobiny spokoju...

– Matka przegięła – rzucił Filip spode łba i odwrócił się plecami do rodziców.

– Licz się ze słowami. Jeszcze jej za mleko nie zapłaciłeś! A ty – zwrócił się do żony – umyłaś się trochę, ogarnęła... – Zobaczył szkło leżące na podłodze. – I posprzątaj to, bo wygląda jak w chlewie.

Kobieta zaszlochała głośno i opadła na kolana, próbując drżącymi rękami zbierać szklane okruchy. Ojciec podszedł do barku, nalał koniaku do kieliszka i podał żonie.

– Wypij – powiedział. – Bez tego do niczego się już nie nadajesz. Do czego ty się doprowadziłaś, kobieto!

Bez słowa, ale za to z wdzięcznością, przyjęła kieliszek. Po kilku łykach poczuła się lepiej, usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę i naśladując sposób bycia gwiazd filmowych, sięgnęła po papierosa.

– Podasz mi ogień? – zapytała męża kokieteryjnie.

– Dajże spokój, nie popisuj się. – Mężczyzna skrzywił się

z niesmakiem. Zignorował jej zalotne mrugnięcie i zwrócił się do syna: – Co zrobiła?

– Odebrała list do mnie.

– I to ma być taka zbrodnia? Tobie też się w głowie pomieszało?

– To był „bilet”. – Filip poczuł, że znowu wzbiera w nim złość. – Rozumiesz?! Do woja mnie biorą! A tyle razy mówiłem, żeby niczego nie podpisywała!

– Listonosz był taki miły – wtrąciła ni z tego, ni z owego matka. – Powiedział, że świetnie wyglądam.

– Ty słyszysz, co ona opowiada? – Chłopak aż się trząsnął z bezsilnej furii. – Listonosz był miły, słyszysz?! Kurwa mać! Ja mam się zgłosić za miesiąc, a ona o listonoszu!

– Nie przeklinaj w moim domu – wygłosił tradycyjną formułkę ojciec. – Ja byłem w wojsku i żyję. Tam zrobią z ciebie mężczyznę. – I zaraz zmienił temat: – Jest coś do jedzenia?

Matka milczała, przyglądając się uważnie resztce alkoholu w kieliszku. Filip miał dość. Niepotrzebnie zaczął tę dyskusję, ale nerwy go poniosły.

– Niech ci dziwka ugotuje – rzucił w kierunku ojca i poszedł do swojej sypialni. Zatrzasnął za sobą drzwi najmocniej, jak potrafił, i rzuciwszy kopertę na biurko, włączył muzykę tak głośno, jak tylko pozwalały głośniki.

Ojciec po chwili wetknął głowę do pokoju.

– Nic się nie bój, może cię odeślą do domu. Wariatów do wojska nie biorą, a ty jesteś taki sam jak twoja matka.

Filip nie odpowiedział. Nie obchodziło go, co o nim sądzi ten człowiek.



Ananke nie pojawiał się od kilku dni. Olga każdą wolną chwilę spędzała przy oknie, ale nie doczekała się go. Dni w szpitalu się dłużyły, z matką nie umiała rozmawiać, więc z nudów zaczęła słuchać lekarza. Starał się, widziała to, i musiała przyznać, że był przekonujący. Nie mogła zrozumieć, dlaczego była dla niego taka

niemiła. Podarował jej blok rysunkowy i ołówek, chciał, żeby narysowała dla niego anioła, twierdził, że słyszał o jej rysunkach i że go zaciekały. Olga się starała, ale jakoś jej nie szło. Dlaczego?

– Zaczyna pani wracać do zdrowia – tłumaczył lekarz.

Powiedział jej wiele o tym, co działo się z nią przez ostatnie tygodnie. Nie był nachalny, czekał na pytania i odpowiadał. Raz jeszcze oglądali zdjęcia rentgenowskie, analizowali po kolei wydarzenia, o których mówiła.

Z początku odnosiła się do tych rewelacji nieufnie i z dystansem. W końcu tak długo trwało, zanim zaakceptowała wersję Ananke! Myślała nad tym, dokładnie rozważyła każdy szczegół i nie znalazła w niej żadnego słabego punktu. Przeciwnie, to co mówił, zgadzało się z tym, co czuła.

– To umysł płatał pani figle. Ananke nie istnieje. Sama pani to wymyślała, nawet nie zdając sobie sprawy ze swoich fantazji.

Trudno było to zaakceptować. Czy to możliwe? Coś wymyślić i nie wiedzieć o tym? Dać wiarę słowom lekarza oznaczało uwierzyć w chorobę. *Jestem psychicznie chora*, pomyślała, tak na próbę, chcąc oswoić się z tym faktem. *To niemożliwe* – natychmiast coś w niej zaprotestowało. Nie mogła być chora, po prostu doświadcza czegoś, co jest obce większości ludzi. I stąd brak zrozumienia.

Ma uwierzyć, że anioły nie istnieją? Sama czytała i słyszała o ludziach, którzy je widzieli. Były objawienia, cuda i tym podobne historie. Jakoś ich świadków nikt nie zamykał w szpitalu. *Dlaczego ja?*

Przeżywała prawdziwą huśtawkę uczuć. Z jednej strony nie mogła bez żalu wyrzec się Ananke i tego, co z nim związane. Nie ulegało wątpliwości, że od tamtej pory była inna. A może inna była już wcześniej, tylko on jej to uświadomił?

Z drugiej strony nie umiała obiektywnie ocenić swoich przeżyć. Nie wiadomo, kiedy choroba się zaczyna, tak mówił doktor.

Z całych sił starała się znaleźć coś, co pozwoliłoby jej ostatecznie

zdecydować. To dlatego wciąż patrzyła przez okno, dlatego spędzała długie godziny na obserwowaniu terenu szpitala. Ciągłe wydawało się jej, że kiedy ona wypatruje go z jednej strony budynku, on na pewno czeka na nią z drugiej. Biegała od okna do okna i nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Ananke nie przychodził. Wylała cały żal przed lekarzem, który tym razem wyłącznie jej słuchał. Olga doceniła to, że potrafił być dyskretny, że nie okazywał radości i nie triumfował. Po kilku dniach od tej rozmowy poczuła się spokojniejsza i pogodzona z nieobecnością tego, na którego tak czekała.

Skrzydła nie rosły dalej i chyba nigdy ich nie było. Bo i skąd, skoro Ananke nie istniał? Ludzie nie mają skrzydeł, to fakt. Rozumiała to, a ponieważ wszystko wskazywało na to, że i ona jest zwyczajnym człowiekiem, należało pogodzić się i z tym.

Olga nie znalazła ani jednej rzeczy, która potwierdziłaby przekonania sprzed kilkunastu dni. *Jestem psychicznie chora* – powtórzyła po raz drugi i tym razem przyjęła to dużo spokojniej.

Zrezygnowała z walki, wyciszyła się. Pielęgniarki nie musiały już wzywać Rafała, żeby trzymał ją, podczas gdy one siłą wciskały tabletki do ust dziewczyny, a potem podnosiły brodę tak wysoko, iż musiała je połknąć. Teraz bez oporów łykała każdą ilość. Wierzyła, że pomogą jej wyzdrowieć, tak obiecywał lekarz.

Ananke jednak przyszedł. Pojawił się nieoczekiwanie w kąciaku na końcu korytarza, gdzie rzadko ktoś zaglądał, a Olga siadywała czasami, żeby spokojnie pomyśleć. Tam właśnie był, siedział na jej krześle i przywoływał ją ruchem ręki.

Zawahała się. Cofnęła się kilka kroków, chciała odejść, ale nie mogła. Coś w nim przyciągało ją nadal. Wreszcie zdecydowała się podejść.

– Witaj. – Głos miał miły i kojący, jak zawsze. – Nie mogłem przychodzić, przepraszam. Potem już byłem, ale ty ani razu nie pojawiłaś się w oknie, więc musiałem jakoś się tu dostać. Jak widzisz, udało mi się. Tęskniłaś?

– Tak – powiedziała, choć miała zamiar zaprzeczyć.

– Przemyślałaś wszystko? Już wiesz?

On nie istnieje, pomyślała Olga w popłochu. *Wymyśliłam go. Muszę przestać, żeby wyzdrowieć.*

– Wiem. Nie przychodź do mnie więcej. Jesteś halucynacją, nie istniejesz naprawdę.

Ananke wstał i zrobił krok w kierunku Olgi.

– Nie podchodź. Nie dotykaj mnie ani nic nie mów. – Skryła twarz w dłoniach i się rozplakała. – Boże, miałam nadzieję, że to już minęło, że wrócę do domu, do pracy, do życia...

Głos Ananke docierał do niej jak przez mgłę.

– Nie mogę uczynić nic wbrew twojej woli. Jeżeli zdecydowałaś, że nie chcesz mnie widzieć, to nie będę przychodził. Twoja wola. Jednak mówiłem ci kiedyś, że będę cię pilnował i pomogę ci zrozumieć, kim naprawdę jesteś. Z tego nie zrezygnuję, bo znam i akceptuję to, co muszę zrobić.

– Nie będę cię słuchać! – Olga z całych sił przycisnęła dłonie do uszu, jednak głos anioła przebijał się przez tę zaporę, brzmiał w jej głowie i nie dał się uciszyć.

– Zostawiam ci dar. To ostatnia pomoc, jakiej mogę ci udzielić. Od tej chwili będziesz widzieć i czuć tak jak ja, tak jak wszystkie anioły. Nie powinienem tego robić, jest zbyt wcześnie, ale nie widzę innego sposobu. A teraz żegnaj. Jeżeli kiedyś zechcesz mnie zobaczyć, będziesz musiała mnie wezwać. Zrób to dopiero wtedy, kiedy zyskasz całkowitą pewność.

Olga nie wiedziała, jak długo stoi w korytarzu, trzymając się za głowę i zaciskając powieki. Kiedy odważyła się otworzyć oczy, Ananke już nie było.

Szła korytarzem jak w transie. Chciała dotrzeć do łóżka i zasnąć, spać jak najdłużej; dzień, dwa, resztę życia. Potknęła się o własny but i upadłaby, gdyby nie podtrzymała jej przechodząca pielęgniarka.

– Czy coś jest nie tak? – zapytała troskliwie. Właściwie żal jej było młodej dziewczyny. Słyszała, że zanim zachorowała, pracowała w znanej firmie i była ceniona. – Może dać pani coś na

uspokojenie?

– Nie trzeba. – Olga zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła pielęgniarce prosto w oczy. – Jestem psychicznie chora. – Po raz pierwszy powiedziała to na głos. – A pani?

– Ja... chyba nie...

– Ja też tak myślałam. Radziłabym pani porozmawiać z doktorem. Jest naprawdę dobry. Mnie przekonał, a też się upierałam...

Pielęgniarka po namyśle zdecydowała się na zastrzyk.



– Pakuj rzeczy, córuś! Zabieram cię do domu!

Marianna była tak zaaferowana, że nie zauważyła, że Olga się nie cieszy. Szczęśliwa, że nie będzie musiała już przychodzić na oddział, krążyła po sali, upychając do reklamówek rzeczy córki.

Olga długo czekała na ten dzień, ale kiedy nadszedł, nie czuła radości. Było jej obojętne, a po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że mogłaby tu zostać. Miała własne łóżko, nie musiała martwić się o jedzenie, pranie i resztę przyziemnych obowiązków. Wbrew pozorom bardziej wolna czuła się tu, wśród błękitnych ścian, za zamkniętymi drzwiami, niż na zewnątrz. Obawiała się wyjścia, spotkania z ludźmi, powrotu do pracy. Nie miała pojęcia, czy poradzi sobie, czy inni zaakceptują jej chorobę.

Mariannie nie przyszło nawet do głowy, że córka może mieć podobne dylematy. Dla niej cała rzecz była prosta – skoro może opuścić szpital, to znaczy, że jest zdrowa. Z przyniesionej torby wyjęła ubranie i rzuciła na szpitalne łóżko.

– Włóż to, uprałam, jest świeżutkie i pachnące.

Z aprobatą patrzyła, jak córka posłusznie sięga po rzeczy.

– Widzę, że zmadrzałaś. Zostawiam cię na chwilę. Idę podziękować lekarzowi i pielęgniarkom.

Chwyciła bukiet leżący na szafce i kolejną reklamówkę. Była w swoim żywiole, nareszcie mogła decydować.

Lekarz przyjął ją z uśmiechem i nie protestując, przyjął spory

pakunek. Nie zaglądając do środka, schował go do szafy i poprosił Mariannę, żeby na chwilę usiadła.

– Musi pani wiedzieć, że Olga zrobiła znaczne postępy i dlatego wyraziłem zgodę na jej wyjście. Sądzę, że sobie poradzi. Najważniejsze, żeby regularnie przyjmowała leki.

– Oczywiście, panie doktorze. Dopilnuję tego. Zabieram córkę do siebie, będę się nią opiekowała, doglądała jej. To przecież moje jedyne dziecko.

Mężczyzna przyjrzał się Mariannie uważnie. Zdjął okulary, przetarł je wyciągniętą z kieszeni fartucha chusteczką w kratę, umieścił szkła z powrotem na nosie i dopiero wtedy powiedział:

– Byłoby lepiej, gdyby Olga zamieszkała sama. Tak było, zanim do nas trafiła, prawda? – zapytał z grzeczności, bo doskonale znał fakty. – Powinna wrócić do takiego otoczenia, jakie opuściła. Jej stan pozwala na samodzielne funkcjonowanie. Niech jak najszybciej wróci do pracy, spotyka się z koleżankami, robi coś pożytecznego. Narzeczony się nie pojawił?

Marianna pokręciła głową.

– Cóż, tak bywa... Mimo wszystko niech lepiej wróci do swojego mieszkania. Wystarczy dyskretna kontrola, bez narzucania się.

– Panie doktorze – zaprotestowała gwałtownie Marianna. – A jeśli znowu coś wymyśli? Nie wiem, czy...

– Dam sobie radę, mamó. – Olga stała w drzwiach gabinetu ubrana i zupełnie spokojna. – Wolę mieszkać sama. Tak będzie lepiej, pan doktor ma rację. – Widząc łzy w oczach rodzicielki, dodała szybko: – Możesz mnie odwiedzać, kiedy zechcesz, będę do ciebie dzwoniła.

Marianna uległa, ale była to kapitulacja pozorna. Nie przekonywały jej argumenty lekarza, a zapiał córki do tego rozwiązania utwierdzał ją w przekonaniu, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Uznała, że na razie zgodzi się na samodzielność Olgi, ale zrobi, co w jej mocy, żeby kontrolować jej poczynania. Jest odpowiedzialną matką i nie zostawi chorej jedynaczki na pastwę losu. Nie z takimi problemami dawała sobie w życiu radę bez

niczyjej pomocy. Zresztą kto wie lepiej, czego trzeba dziecku, niż matka?



Olga – czekając, aż matka zapłaci za taksówkę – stała i rozglądała się dookoła. Miała wrażenie, że widzi po raz pierwszy i blok, i podwórko, nawet trzepak i śmietnik były jakieś inne, nowe, nieznane. Podobnego odczucia doświadczała, wracając do domu z wakacji. Dwa, trzy tygodnie wystarczały, żeby widzieć dobrze znane miejsca zupełnie inaczej.

Wróciłam z dalekiej podróży, pomyślała. Teraz będzie normalnie. Prawdziwie.

Powoli wchodziła po schodach. Ze wzruszeniem oglądała brudne ściany, napisy namalowane przez sfrustrowaną młodzież. Dotykała wypolerowanej setkami rąk poręczy, liczyła pokonane stopnie i szczelbelki balustrady. Nie spieszyła się, musiała sprawdzić, czy nic się nie zmieniło, upewnić się, że jest u siebie.

Przed drzwiami odwróciła się w stronę matki.

– Chcę tam wejść sama. Nie gniewaj się... – poprosiła.

Marianna, jeszcze nieco zadyszana, o dziwo, zgodziła się bez protestów.

– To ja zajrzę do pani Stanisławy.

Sąsiadka najwyraźniej widziała przez okno, jak przyjechały, bo zanim Marianna zdążyła zapukać, już otworzyła.

– Jakże się cieszę, że moja młoda sąsiadka wróciła – zaświergotała z milutkim uśmiechem. – Tak mi smutno było bez ciebie, dziecko. I strach tak samej na piętrze – pożaliła się.

Olga popatrzyła na tę kobietę i poczuła mdłości. Coś dziwnego, jakaś fala okropnych odczuć uderzyła ją, wdarła się do mózgu i rozlała po całym ciele. Fałsz, zazdrość, wścibstwo i zawiść – te i wiele innych złych rzeczy emanowało z drobnej, pomarszczonej postaci. Nie chciała mieć nic wspólnego z tą osobą. Widziała ją taką, jaka była, i odbierała całe zło, które ją wypełniało. Ta kobieta była zła, bardzo zła, i na dodatek nie chciała się zmienić.

Olga oparła się o framugę drzwi i ze wszystkich sił starała się opanować chęć ucieczki. Nie rozumiała, co się dzieje, skąd te odczucia i dlaczego są tak silne.

Na szczęście matka niczego nie zauważyła. Po wymianie zwyczajowych grzeczności obie panie zniknęły w mieszkaniu sąsiadki, a Olga, nadal walcząc z mdłościami, zdołała poradzić sobie z zamkiem.

Najpierw pobiegła do łazienki. Wymiotowała długo, aż pozbyła się całego bagażu zła, który przesłała jej Stanisława. Kiedy mdłości ustąpiły, usiadła na brzegu wanny i włożyła głowę pod strumień lodowatej wody puszczony do umywalki. Poczowała, że musi wziąć prysznic, zmyć z siebie szpitalny zapach. Miała nadzieję, że woda pomoże jej odzyskać równowagę, a jej szum ją uspokoi.

Po półgodzinie Olga odświeżona, otulona własnym miękkim szlafrokiem opuściła łazienkę. Reszta mieszkania była w idealnym porządku. Matka wysprzątała każdy kąt, anioły na ścianach zostały zamalowane. Kuchnia wprost błyszczała. Olga zapragnęła kawy. Aromatycznej, mocnej, z ekspresu. Otworzyła szafkę; pudełko z kawą było na swoim miejscu, cukier także, obok równo ustawione filiżanki i kubki. Przyrządziła napój i usiadła przy stole. Dopiero przy trzecim łyku coś ją zastanowiło. Uniosła kubek na wysokość oczu, sprawdzając, czy ma rację. Gwałtownie podniosła się z krzesła i jedną po drugiej otwierała na oścież kuchenne szafki. Potem przeszła do pokoju, gdzie zajrzała do szafy, do szuflad w komodzie, i uważnie przyjrzała się półkom.

Wreszcie opadła na kanapę. W całym domu nie było ani jednego wizerunku anioła. Matka wymieniła naczynia, pościel, poduszki, wyrzuciła każdą, nawet najmniejszą figurkę. Bystremu oku nie umknął nawet breloczek do kluczy. Olga chciała zapłakać – i zapłakała. Łzy nie chciały jednak wypłynąć z oczu, czuła, że płyną do jej wnętrza, że wypełniają ją słonym poczuciem klęski i straty. *Jak mogła mi to zrobić? – pomyślała. Dlaczego zabrała mi to, co kocham najbardziej?*

Naraz z radością dostrzegła, że spod nowej warstwy farby na ścianie przebija jeden z jej rysunków. Niesolidny malarz chciał widać oszczędzić sobie pracy i wykonał zadanie niezbyt dokładnie, a matka tego nie zauważyła. Teraz, kiedy farba wyschła, uważny obserwator mógł dostrzec na ścianie wiotką postać z ogromnymi skrzydłami.

To dobra wróżba, zdecydowała Olga. Od czegoś trzeba zacząć. Podeszła do ściany i pogłaskała ją.

– Zacznę od ciebie. Zawsze cię lubiłam.



Tymczasem Marianna wyjawiała sąsiadce swój plan. Stanisława przystała na współpracę bez zastanowienia. Wypróbowały przecież już tę metodę i dawała doskonałe rezultaty. Nie mówiąc już o radości Stanisławy. Znowu będzie mogła myszkować w mieszkaniu obok. Ciekawa była, jak urządziła je młoda sąsiadka, ale ta nigdy nie zaprosiła jej do siebie. Teraz starsza pani to sobie zrekompensuje.

Wyraziła pewne obawy, trochę dlatego, żeby gość nie pomyślał, że jej zależy, a trochę dlatego, że lubiła być proszona. Wreszcie ostatecznie przystała na plan Marianny i obiecała kontrolować poczynania Olgi, a gdyby działo się coś niepokojącego, zobowiązała się natychmiast zawiadomić matkę dziewczyny. Po omówieniu szczegółów panie przeszły do innych tematów. A miały ich wiele. Rozmawiały o tym, jacy mężczyźni są okrutni, o coraz gorszych czasach i o tym, że młodzież nie ma za grosz szacunku dla starszych. Okazało się także, że obie lubią te same seriale i dłuższy czas zaaferowane wymieniały poglądy na temat możliwego rozwoju akcji w każdym z nich.

Wreszcie Marianna przypomniała sobie o córce i w pośpiechu zaczęła zbierać się do wyjścia. Gospodyni odprowadziła ją do drzwi.

– Mam do pani drobną prośbę... – zwróciła się do Marianny.

– Jeżeli mogę w czymś pomóc, to proszę mówić.

– Pewnie będzie pani czasami odwiedzała córkę? – Poczekala na potwierdzenie i dokończyła: – Czy mogłaby pani przy okazji przynieść mi od czasu do czasu coś słodkiego? Czekoladę albo ciasteczka. Mam czasem ochotę coś przegryźć, a tak rzadko wychodzę... Starość nie radość, rozumie pani, prawda? Oczywiście zwrócę pieniądze...

– Nie ma o czym mówić – przerwała szybko Marianna. – Będę pamiętała.

Stanisława skrupulatnie zamknęła drzwi na wszystkie zamki. Była bardzo z siebie zadowolona. Za jednym zamachem załatwiła sobie regularną i bezpłatną dostawę słodkości. Nie miała wątpliwości, że Marianna nie zapomni o obietnicy i że nie przyjmie pieniędzy. W końcu miała wobec niej dług wdzięczności.



Filip jak co wieczór przemierzał osiedle. Szedł bez celu między blokami. Nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o białej kopercie z czerwoną pieczętą, która leżała na biurku. Przez nią prawie nie bywał w domu. Najchętniej zapomnieliby o niej, ale nie potrafił. Wracała natrętnie i przypominała, że ktoś zdecydował o jego życiu, nie pytając go o zdanie. Jedynym sposobem na złagodzenie złości było wypicie kilku piw z kolegami.

Dzisiaj także spędził kilka godzin w osiedlowym barze. Z początku było trochę lepiej, ale później dym z papierosów i zapach spoconych ciał zaczęły go drażnić. Do tego głupie dowcipy kumpli, do znudzenia te same. W pewnej chwili po prostu wstał od stolika i wyszedł. Nikt nie pytał, dlaczego i dokąd idzie, to nie było w zwyczaju jego znajomych. Dotąd pochwalał takie relacje, ale dziś po raz pierwszy poczuł, że chciałby mieć kogoś, komu mógłby się zwierzyć i opowiedzieć o swoim problemie.

Z przyzwyczajenia omiatał wzrokiem każdy budynek. Znał je dokładnie, wiedział, które okno należy do kogo, rejestrował zmiany mechanicznie. Światło w oknie na trzecim piętrze zastanowiło go. Przez ostatnich kilka tygodni nikogo tam nie było.

Co mnie to obchodzi?. Moje czy co, żebym się martwił?

Coś jednak pchało go w tamtą stronę. Przypomniawszy sobie dzień, w którym zabrała ją karetka. Taka była wtedy spokojna i taka dziwna.

Zdecydował, że powinien przynajmniej sprawdzić, co dzieje się w mieszkaniu. *Może to ktoś spoza osiedla próbuje działać na naszym terenie*, tłumaczył sam sobie, wbiegając co tchu po schodach.

Nacisnął klamkę. Zamknięte. W takim razie to nie włamanie. Chciał odejść, ale niepewne: „Kto tam?” zatrzymało go. Rozpoznał głos, zrozumiał, że wróciła.

– To ja – odpowiedział głupio, bo skąd niby miała wiedzieć kto.

Widocznie odgadła, bo uchyliła drzwi. Łańcucha jednak nie zdjęła. Wyglądała lepiej niż ostatnim razem. Tylko oczy nadal miała smutne.

– Czego chcesz?

– Widziałem, że światło się świeci, więc chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Nadal mnie śledzisz? – W głosie kobiety usłyszał nutki złości.

– Nie, dlaczego? – zaprotestował. – Ale może pani czegoś potrzebuje, żeby zrobić zakupy, jak wtedy...

– Niczego nie chcę. – Kobieta nie starała się ukryć rozdrażnienia.

– Skąd ci to przyszło do głowy, chłopcze?

Filip był zmieszany. Brnął w głupią rozmowę i nie wiedział, jak wyjść z tej sytuacji z twarzą. W desperacji powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy.

– Wiem, że pani była chora, i...

– Ale już jestem zdrowa! – krzyknęła. – Rozumiesz?! Zjeżdżaj stąd!

Zatrzasnęła drzwi. Filip ze złością kopnął w nie. Głupia baba!

Ze mnie też niezły palant, wyrzucił sobie, zbiegając ze schodów. Dobroczyńności mi się zachciało, to mam za swoje.



Olga stała przed drzwiami dłuższy czas. Wzdrygnęła się, słysząc kopnięcie, z ulgą przyjęła odgłos oddalających się kroków.

A więc wszyscy już wiedzą. Nie zdoła ukryć, gdzie była. To musiało się stać, choć miała nadzieję, że nie od razu, że zdąży trochę okrzepnąć. Nie była gotowa na stawienie czoła znaczącym uśmiezkom i porozumiewawczym spojrzeniom za jej plecami.

Chrobotanie przy drzwiach ją wystraszyło. Czyżby wrócił i majstrował przy zamku? Na palcach podeszła do wizjera. Nie zobaczyła nikogo, ale drapanie nie ustawało. Zaintrygowana powoli uchyliła drzwi.

Na wycieracze siedział Gabi. Był czysty, zadbany i merdał radośnie ogonem. Wykorzystał zdumienie dziewczyny i wślizgnął się do mieszkania. Pobiegł do kuchni i natychmiast wrócił, piszczeniem zachęcając Olgę, aby poszła za nim. Poszła. Rzeczywiście, w kuchni nie było miseczek. Machinalnie sięgnęła po salaterkę, nalała do niej wody i postawiła na podłodze. Pies wypił i zaszczekał radośnie.

Nie wiedziała, co ma myśleć. Była zupełnie rozbita. Sięgnęła po papierosa, ale nie zdążyła zapalić, bo puchata kuleczka z impetem wylądowała na jej kolanach, a różowy zimny języczek oblizywał z zapalem jej policzki. Delikatnie dotknęła białego futerka.

Jest ciepły, czuję go pod palcami, dotyka mnie, a ja jego. I mam uwierzyć, że nie istnieje? Czy miała skreślić to zwierzątko, które było takie wierne i zawsze przy niej? Zapomnieć o nim? O nie, na to się nie godzę! Do tego mnie nie zmuszą!

– Wystarczy już! – roześmiała się głośno. – Chodź, psie, zrobię ci coś dobrego do jedzenia. Dzielnie dałeś sobie radę podczas mojej nieobecności. Należy ci się nagroda. A jutro kupimy nowe miski i jakąś miłą psią zabawkę.

Zwierzak szczechnął krótko na znak, że rozumie i akceptuje pomysł pani. Olga dopiero teraz poczuła się naprawdę w domu.



Wiesław Krawczuk rzadko nie wiedział, co powinien zrobić. Nie

lubił czuć się bezradny, a w tym wypadku tak właśnie się czuł. Przed chwilą odłożył słuchawkę, a rozmowa, którą odbył, była jedną z bardziej frustrujących w jego zawodowym życiu. Swym zwyczajem tarł dłonią twarz, rozciągając przy tym policzki w różne strony. Gest ten był oznaką olbrzymiego wysiłku umysłowego i znali go wszyscy pracownicy, ale żaden z nich nie ośmielił się nawet uśmiechnąć na jego widok, choć był więcej niż zabawny.

Teraz Wiesław nie miał świadków i był za to wdzięczny losowi. Żałował, że nie załatwił tego problemu wcześniej, gdy tylko się zaczął. Odpuścił za szybko i teraz musiał stawić czoło niewygodnej sytuacji. Pamiętał doskonale dzień, w którym dostarczono mu zwolnienie lekarskie Olgi. Ale jakie zwolnienie! Na pieczętce bez kłopotu odczytał specjalizację lekarza: psychiatra. Natychmiast wezwał prawnika, pytając o możliwość rozstania się z kłopotliwą pracownicą.

– To niemożliwe – odparł prawnik.

– Czy można jakoś podważyć to zwolnienie albo zasugerować, że wzięła je, bo wiedziała, że ją zwolnimy?

– Nie ma mowy – stanowczo upierał się przy swoim fachowiec od przepisów. – Od psychiatri? Żaden sąd nie pójdzie nam na rękę.

– A jak zechce wrócić?

– To trzeba będzie jej pozwolić. Za to później można poszukać pretekstu... – zasugerował jurysta.

Później... Wiesław Krawczuk żałował, że posłuchał rady. Powinien był znaleźć lepszego prawnika niż ten młody, pozał się Boże, magister prawa. Nigdy nie miał zaufania do magistrów, zwłaszcza tych z renomowanych uczelni. Okazuje się, że miał rację.

Krawczuk niespokojnie kręcił się na obrotowym fotelu. Trudno, na razie nic nie zrobi. Będzie zmuszony tolerować tę wariatkę. Za kilka dni coś wymyśli. W końcu nie na darmo Prezes darzy go zaufaniem.

Zdawał sobie sprawę, że skandal z udziałem psychicznie chorej pracownicy obniżyłby jego notowania u szefa. Do tego nie

zamierzał dopuścić. *Zawsze potrafiłem sobie poradzić, to i teraz dam radę*, uspokoił sam siebie. Dla odprężenia włączył komputer i zajął się strzelaniem do wirtualnych kaczek. Zabicie kilkudziesięciu zawsze go uspokajało.



Olga szła do pracy bez entuzjazmu. Wiele trudu kosztowało ją wykonanie makijażu, wciąż wydawało się jej, że jest zbyt wyzywający. Odwykła od pudru i różu, dwa razy zatrzęsła jej się ręka i tusz zostawił czarne ślady pod okiem. Wreszcie uznała, że jest gotowa, ale nie mogła pozbyć się uczucia, że weszła w skórę obcej osoby. Trudno, jakoś się przyzwyczai, w końcu kilka tygodni temu uznawała podobny wygląd za normalny.

Gabi, który nie opuszczał pani ani na chwilę i nawet noc spędził w łóżku wtulony w jej bok, teraz radosnym szczeraniem witał powrót starych zwyczajów. Odprowadził Olgę aż do przejścia dla pieszych; ulicy nigdy nie przekraczał i najwyraźniej dziś także nie zamierzał.

– Czekał na mnie. – Pogłaskała białe futerko. – Nie zostanę tam ani minuty dłużej niż przepisowe osiem godzin.

W głębi duszy wątpiła, czy wytrzyma nawet tyle. Obecność psa dodawała jej otuchy, ale kiedy przeszła przez ulicę, pewność siebie znikła, a w jej miejsce pojawiły się strach i niepokój.

Weszła do budynku i głośnym „Dzień dobry” oderwała portiera od porannego przeglądu prasy, jak nazywał oglądanie ledwie okraszonych tekstem obrazków w tabloidach.

– A, to pani, witamy z powrotem. – Uśmiechnął się, ale Olga nawet tego nie zauważyła.

Co innego bowiem przykuło jej uwagę. Miała wrażenie, że pierwszy raz widzi tego człowieka. Nigdy dotąd nie zauważyła, jakie prostactwo maluje się na jego twarzy. Dosłownie czuła bijące od niego głupotę i płytkość poglądów. Zamrugła i oto znowu miała przed sobą zwyczajną, znaną twarz pana Janka. Nie umiała jednak odwzajemnić uśmiechu. Podbiła szybko kartę, podpisała

listę i skierowała się na drugie piętro, gdzie mieścił się dział marketingu.

Po drodze spotkała sekretarkę samego Prezesa biegnącą gdzieś na poranne plotki. Ona także bardzo się zmieniła. Z całej postaci emanowała próżność, usta wydęte były przez pychę, a w oczach czaiła się miłość do pieniędzy. *Jak mogłam uważać, że jest atrakcyjna?* – pomyślała z niesmakiem Olga. Pochłonięta analizowaniem dziewczyny nawet nie odpowiedziała na pozdrowienie.

W drzwiach oddzielających schody od korytarza zderzyła się z koleżanką z działu kadr.

– Bardzo cię przepraszam. – Nieśmiały uśmiech sprawił, że Olga doznała miłego uczucia, jakby ktoś pogłaskał ją po policzku.

– Nie szkodzi – odpowiedziała, starając się posłać w kierunku koleżanki tę samą dobrą energię, którą od niej otrzymała.

– Cieszę się, że wróciłaś – dodała dziewczyna i Olga wcale nie odczuła tego jako złośliwość. Było coś takiego w koleżance, w jej gestach i spojrzeniu, że nie wątpiła w szczerą jej intencję.

Nieco podbudowana ciepłym powitaniem wkroczyła na teren marketingu. Sekretarki Krawczuka nie było na jej miejscu naprzeciw drzwi. Widocznie odbierała od szefa poranne dyspozycje albo plotkowała w którymś z pokoiów, wykorzystując nieobecność przełożonego. Codzienny obchód w poszukiwaniu nowych wiadomości dla Wiesława leżał w jej zwyczaju, odkąd Olga sięgała pamięcią.

Przy kserokopiarce rozgrywał się codzienny rytuał; Kasia i Izka, udając, że robią kopie niezwykle ważnych dokumentów, rozmawiały w najlepsze, odwołując chwilę, kiedy będą zmuszone wziąć się do pracy. Na widok Olgi znieruchomiały i zamilkły. Chyba właśnie w tym momencie zrozumiała, że naprawdę otrzymała od Ananke dar. I że jest on czymś niesamowitym.

Patrzyła na obie dziewczyny, które znała przecież od lat, z którymi plotkowała, bawiła się, którym zwierzała się z problemów. Kasię postrzegała tak samo; uroda trochę więcej niż

przeciętna, delikatność w gestach, miły wyraz twarzy. Kierując na nią wzrok, czuła obojętność z lekką nutką sympatii. Nie wyczuwała w niej nic przesadnie złego ani bardzo dobrego.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z Izką. Jeden rzut oka wystarczył, żeby poznać prawdę. Przed nią nie zdołała ukryć prawdziwego oblicza. Złość, zawiść i gotowość do zdrady – to wszystko widziała Olga, patrząc na nią. Zamiast zadbanej, wypiełgnowanej najlepszymi kosmetykami i podkreślonej starannym makijażem twarzy ujrzała zniekształcone złem oblicze, tak ohydne, że musiała odwrócić wzrok.

To o tym mówił Ananke, pomyślała. „Od tej chwili będziesz widzieć i czuć tak jak ja, tak jak wszystkie anioły” – przypomniła sobie jego słowa. Miał rację, kiedy mówił, że jeszcze za wcześnie. Nie wiem, czy potrafię udźwignąć taki ciężar. To wielki dar; widzieć ludzi takimi, jacy są naprawdę – jedni źli, inni dobrzy, a jeszcze inni niezdecydowani, po której stronie się opowiedzieć. Co mam z tą wiedzą zrobić? Jak wytrzymać w pobliżu tych, na których widok chciałabym z obrzydzeniem odwrócić głowę?

Postanowiła, że musi jak najprędzej dotrzeć do swojego pokoju. Tam w ciszy, przy kubku kawy spokojnie wszystko przemyśli.

– Cześć, dziewczyny – powiedziała trochę zbyt głośno, mijając koleżanki. – Miło was widzieć.

– Cześć – wydusiły.

– Nam ciebie też – dodała Kasia w imieniu swoim i Izki.

Ta ostatnia nie siła się na uprzejmości. Rzuciła jej spojrzenie, w którym było coś, co Olga odczytała jako wyzwanie. Nie rozumiała, czego dotyczy. Na razie nie miała ochoty się tym zajmować. Musiała po raz trzeci w krótkim czasie przewartościować własne opinie.



Krawczuk przyjął postawę, którą nazwał „przyczajonym tygrysem”. Polegało to na tym, że udawał, iż nie dostrzega powrotu Olgi. Nie zauważał jej, nie wzywał, nie interesował się tym, co robi.

Obojętność była jedynie pozorem, bo sekretarka miała każdego dnia zdawać mu relację z poczynań kłopotliwej pracownicy. Najmniejszy błąd miał spowodować natychmiastową reakcję w postaci wypowiedzenia. Wiesław zdawał sobie sprawę, że będzie to kosztowało firmę, bo Oldze należała się trzymiesięczna odprawa, ale nie martwił się tym. W takich wypadkach po prostu przeprowadzał ocenę kwartalną z pozostałymi pracownikami w taki sposób, że premie były minimalne i udawało się zachować odpowiedni poziom kosztów. A koszty były oczkiem w głowie Prezesa, więc każde ich przekroczenie skutkowało brakiem zadowolenia. Krawczuk był dumny z tego, że jeszcze nigdy nie dał Prezesowi powodu do narzekań, i chciał, żeby tak pozostało.

Sekretarka nieśmiało uchyliła obite dźwiękochłonnym materiałem drzwi do gabinetu i zapukała w futrynę.

– Chodź, chodź – zachęcił ją. – I co tam słyszeć?

– Cały dzień przesiedziała w swoim pokoju. Chyba pracuje, bo telefonowała i ciągle stuka w klawiaturę.

– Niech przygotują billing jej linii. Może dzwoni prywatnie? A informatycy mają sprawdzić e-maile.

– Oczywiście, szefie.

Dziewczyna, nauczona natychmiastowego wykonywania poleceń, wycofała się do sekretariatu. Zanim domknęła drzwi, zdążył jeszcze krzyknąć:

– Zielona herbata!

Nie oczekiwał potwierdzenia, bo wiedział, że nikt nie ośmieli się lekceważyć jego poleceń.



Olga po ośmiu godzinach spędzonych w biurze miała mętlik w głowie. Próbowwała odnaleźć e-maile, które dostawała od Ananke, bez skutku. Nie pozostał po nich żaden ślad w skrzynce odbiorczej ani w archiwum. Jedyne fizyczny dowód, faks, wyfrunął przez okno, jak zdołała sobie przypomnieć. Nie miała nic, żadnego tropu. Jedyne, na czym mogła się oprzeć, to jej pamięć i wiara

w istnienie mężczyzny. Tyle że przez ostatnie tygodnie wszyscy próbowali ją przekonać, że się myli; że to, co uznała za pewne, jest tylko wytworem jej chorego umysłu. W końcu uwierzyła, ale czy postąpiła słusznie?

Wieczorem zadzwoniła matka.

– Przypominam, że powinnaś wziąć lekarstwa – powiedziała. – Zjadłaś porządny obiad?

– Tak, mamo.

– To dobrze. Przyjdę jutro po południu. – Nie pytała, po prostu oznajmiła.

– Dobrze, mamo. – Olga nie chciała z nią dyskutować.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po odłożeniu słuchawki, było wyrzucenie wszystkich leków do kosza. Dla podkreślenia nieodwołalności decyzji zadała sobie trud i wyniosła worek do śmietnika. To miała już za sobą. Nie pozwoli faszerować się chemią, która tylko przeszkadza w myśleniu. Gdyby nie tabletki, z pewnością nie dałaby sobie wmówić choroby. Zadowolona wróciła do domu i spokojnie przespaa noc.

Rano wiedziała już, co ma robić. Przynajmniej na początek. Znajdzie jednoznaczny dowód na to, co jest prawdą. Sprawdzi, co wart jest otrzymany dar, zajmie się ludźmi, pozna ich i będzie próbowała im pomagać. Na to wszystko potrzebowała czasu, nie mogła tracić go na siedzenie przed monitorem i zarabianie pieniędzy dla firmy, której sama nic nie obchodzi. Nie żeby szczególnie jej na tym zależało, ale szef mógł chociaż zajrzeć do niej, pokazać, że wie, iż wróciła.

Skoro on nie przyszedł do mnie, to ja pójdę do niego.

Kwadrans po ósmej miała już gotowy potrzebny dokument. Nie patrząc nawet w stronę biurka sekretarki, weszła do dyrektorskiego gabinetu. Zanim Krawczuk się odezwał, wiedziała. Fala uczuć dotarła błyskawicznie. Olga opanowała się, przywykła już trochę do gwałtownych wrażeń, i nie czekając na zaproszenie, usiadła naprzeciwko szefa.

– Co może mi pan zaproponować, żebym zdecydowała się odejść?

Wiesław próbował zrobić pokerową minę, nie wiedział, że nie jest w stanie ukryć przed dziewczyną nie tylko zaskoczenia, ale i żadnego innego uczucia.

– Nie powiedziałem, że zależy mi na pani odejściu.

– Dyrektorze, znamy się tyle lat... Naprawdę jest pan zadowolony, że ma pan w dziale wariatkę? Prezes o tym wie? A może powinien się dowiedzieć?

Wiedziała, że wygrała. Dyrektor przez chwilę udawał, że się zastanawia. Nie pozwoliła mu na zyskanie przewagi.

– Oprócz trzymiesięcznego wynagrodzenia dostanę najwyższą premię kwartalną. Za całokształt. Trochę chyba zarobiłam dla pana i Prezesa?

Krawczuka zdenerwowała postawa pracownicy. Nie znosił porażek.

– Czy pani nie przesadza? – spytał bardzo oficjalnym tonem. – Prędkiej czy później znajdę coś na panią.

– Tak, ale wtedy spotkamy się w sądzie. To niezbyt dobra reklama dla firmy. Prezes się nie ucieszy. – Nie oszczędzała przełożonego.

– Zgoda – skapitulował.

Resztę formalności załatwili bez słowa. Tylko czerwone końce wydatnych uszu Wiesława Krawczuka świadczyły o złości, która nim targąła. Olgi nic to nie obchodziło. Dopiero wychodząc, przypomniała sobie, że każdemu należy dać szansę. Stała naprzeciw byłego już szefa i powiedziała to, co podpowiadało jej serce:

– Jest pan człowiekiem przepełnionym chorą ambicją. Nie szanuje pan ludzi, dąży pan do sukcesu za wszelką cenę. Ma pan wiele na sumieniu, pogardza pan wszystkimi, którzy są od pana w jakikolwiek sposób zależni. Patrzy pan na ludzi wyłącznie pod kątem ich przydatności dla pańskiej dalszej kariery. To wszystko widzę w panu i mówię o tym dla pańskiego dobra. Proszę się zastanowić, zanim dokona pan nieodwracalnych wyborów. Człowiek ma wolną wolę i zawsze może się zmienić. Niech pan

o tym pamięta.

Wyszła bez pożegnania. Nie mogłaby uścisnąć ręki temu człowiekowi, zło emanujące z niego odpychało ją. Chciała jak najszybciej zapomnieć, zostawić to za sobą. Po wyjściu z gabinetu poczuła ulgę, jakby zrzuciła z pleców ogromny ciężar. Czuła się lekka i wolna.

– Wariatka! – rzucił w kierunku drzwi Wiesław Krawczuk i zaczął się zastanawiać, co zrobić, żeby nie przekroczyć budżetu. Nie było to proste, zwłaszcza że musiał wypłacić wysoką premię i właśnie odeszła osoba, która wypracowywała dla działu marketingu największe dochody.

Będę musiał zagonić pozostałych do pracy po godzinach, pomyślał. Jak im utnę mocno premie, to szybko zrozumieją, że powinni się bardziej postarać.



IV

Matka niczego się nie domyślała. Olga nie wyprowadzała jej z błędu, pozwalała wierzyć, że córka każdego dnia wychodzi do pracy. Zresztą wychodziła. I nawet zarabiała. Tyle że nieco inaczej niż dotąd.

Z początku chciała tylko zrealizować swój zamiar niesienia ludziom pomocy. Zrozumiała, jak może wykorzystać niezwykle możliwości, które podarował jej Ananke. Znalazła klucz do interpretowania uczuć, które odbierała, patrząc na człowieka. W zasadzie było to dość proste: ludzie byli dobrzy, źli i neutralni. Tak ich podzieliła dla własnych potrzeb. Dobrzy ludzie nie potrzebowali pomocy anioła, wystarczył miły gest, uśmiech albo dobre słowo. To dawało im nadzieję, pozwalało nadal wierzyć w dobro. Nieco więcej uwagi wymagali ludzie neutralni, czyli ci, którzy jeszcze nie zdecydowali się opowiedzieć po żadnej ze stron. Tym należało pomóc dokonać wyboru, naprowadzić ich na właściwy trop. Znajomość ich odczuć mogła być tu bardzo pomocna.

Olga najbardziej obawiała się ludzi złych; po pierwsze dlatego, że jeszcze niezbyt dobrze radziła sobie z przyjmowaniem fali negatywnych emocji, która uderzała w nią zawsze przy spotkaniu ze złym człowiekiem, a po drugie – niewiele właściwie mogła zrobić prócz uświadomienia mu popełnianych błędów i przypomnienia o możliwości zmiany. Nie miała pojęcia, czy ktokolwiek uwierzy w jej słowa ani czy przyniosą one pożądanego skutek. Niemniej zdecydowała, że należy próbować. Nikt jej nie obiecywał, że droga do zostania aniołem jest łatwa.

Długo zastanawiała się, w jaki sposób powinna zacząć rozmowę z ludźmi. Nietrudno było się domyślić, że zaczepianie przechodniów może skończyć się nieprzyjemnościami. Poza tym nie miała odwagi działać w ten sposób, nigdy nie była przebojowa,

nie potrafiła się narzucać i bała się odtrącenia. Nie inaczej było tym razem.

Rozwiązanie przyszło samo. Kiedy wieczorem, siedząc na kanapie, wpatrywała się w kontur anioła na ścianie, nagle doznała olśnienia. Może zacząć znowu malować! Rysunki staną się pretekstem do rozmowy. Co prawda nie była całkowicie pewna, czy jej prace mogą się komukolwiek spodobać, ale w końcu nie o to chodzi. Najważniejsze to mieć jakiś punkt zaczepienia, pretekst, pod którego przykrywką będzie mogła przemycić myśli i słowa naprawdę ważne.

Do sprawy podeszła metodycznie. Kupiła plan miasta, blok do rysowania i pastele. Plan podzieliła na kwadraty, kierując się nie siatką narysowaną przez kartografów, ale miejscami, do których przychodziło najwięcej mieszkańców danego rejonu. Późnymi popołudniami i wieczorami rysowała swoje aniołki, a każdego ranka pojawiała się z nimi w kolejnym punkcie miasta. Rozkładała stołeczek i niewielki stolik, na którym prezentowała to, co stworzyła. Siadała i czekała na przechodniów.

Gabi wydawał się zachwycony tym, co robi pani. Mógł spędzać z nią całe dni. Czasem biegł gdzieś, żeby załatwić swoje psie sprawy, ale większość czasu spędzał u stóp Olgi, pod stolikiem.

Dziewczyna nie zamierzała sprzedawać swoich prac, chciała je raczej rozdawać. Ku jej zdziwieniu ludzie nie zamierzali przyjmować rysunków w prezencie. Wreszcie, mając dosyć ciągłych tłumaczeń i dyskusji, postawiła na stoliku niewielkie pudełeczko, do którego można było wrzucać zapłatę. Nie określiła cen rysunków, ustaliła za to zasady.

– To ja decyduję, kto ma płacić, a kto nie – mówiła twardo.

Dobrzy ludzie dostawali obrazki w prezencie, neutralni musieli zapłacić, ale sami decydowali, ile włożą do pudełeczka. Złym ludziom odmawiała. Kiedy, zazwyczaj rozzłoszczeni odmową, pytali dlaczego, mówiła:

– Proszę się zastanowić dlaczego. Odpowiedź jest w tobie. Kiedy zrozumiesz i coś z tym zrobisz, wróc po rysunek. Wtedy będę

mogła ci go sprzedać, a może nawet dam w prezencie. Będę tu znowu za jakiś czas.

Niestety, na razie nikt, komu odmówiła, nie przyszedł po raz drugi. Olga nie traciła nadziei. *Nawet jeśli przyjdzie mi długo czekać, myślała, to poczekam.* A jeżeli choć jeden wróci lepszy, to będzie dla mnie wielką radością.

Ludzie dziwili się na widok młodej kobiety siedzącej nieruchomo na małym stołeczku przez wiele godzin. Niektórzy mijali ją obojętnie, inni zatrzymywali się zaintrygowani, inni uważali za artystkę sprzedającą swoje prace, a jeszcze inni przeganiali ją i jej złorzeczyli. Olga przyjmowała każdą reakcję jednakowo spokojnie. Czowała, że nareszcie robi to, co zawsze chciała robić, do czego została stworzona.



Dzień zapowiadał się słoneczny. Od samego rana na niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka i betonowe osiedle zdążyło się już nagrzać do tego stopnia, że czuło się gorąco bijące od ścian bloków i płyt chodnikowych. Większość mieszkańców dawno była w pracy, a ci, którzy z racji wieku lub bezrobocia mieli wolne, szukali miejsca, w którym byłoby nieco chłodniej. Jedynym takim miejscem w pobliżu był park i tam właśnie spieszyły matki z dziećmi, emeryci, młodzież, która zamiast szkoły wybrała kilka godzin wolności, oraz amatorzy spędzania czasu przy butelce taniego wina.

Filip także wybrał tę samą drogę. W domu mimo otwartych okien było duszno, a powietrze od samego rana przesycała woń matczynych perfum pomieszana z zapachem likieru cytrynowego, od kilku dni ulubionego napoju matki. Chłopaka drażniła jej pijacka wesołość i sztuczność gestów, którymi usiłowała okazać, jak bardzo kocha „swojego małego synka”. Zjadł w pośpiechu kromkę chleba, zagryzając kawałkiem kiełbasy, schował do kieszeni dwa jabłka i patrząc z politowaniem na matkę, przyjął od niej dziesięć złotych oraz ostrzeżenie:

– Tylko nie kupuj piwa. Alkohol bardzo źle wpływa na młode organizmy.

I kto to mówi!

Z papierosem przyklejonym do warg szedł w stronę widocznej z daleka grupy drzew, która była miłym dla oka akcentem na tle szarości bloków i ulic. Nie patrzył na mijanych ludzi, wzrok wbił w chodnik. Nie chciał jeszcze bardziej psuć sobie humoru oglądaniem obcych twarzy zadowolonych nie wiadomo z czego starców i szczebioczących do dzieci matek. Drażnili go i tyle.

Minął kilka ławek zajętych już przez spragnionych chłodu i cienia. Zszedł z głównej alejki, skręcił za kępę krzewów i... przystanął zdziwiony. Na jego ławce siedziała ta kobieta.

Co ona tu robi? – zastanowił się. I dlaczego, do cholery, musiała usiąść akurat na mojej ławce?!

W pierwszej chwili chciał się wycofać, bo ostatnie spotkanie z nią nie nastrajało go do nawiązywania bliższej znajomości. Z drugiej strony nie lubił rezygnować z niczego, co przynajmniej jego zdaniem mu się należało. Niby z jakiego powodu miał szukać innego miejsca? Zwykle w podobnych przypadkach stosował wypróbowaną taktykę. Jeśli miejsce zajęła starsza osoba, przysiadał się i zaczynał rozmowę, okraszając swoje wypowiedzi dużą liczbą przekleństw, jeżeli kobieta z małym dzieckiem – palił jednego papierosa za drugim i wydmuchiwał dym w stronę wózka. Z małolatami radził sobie szybko, uświadamiając im, że dla swojego dobra powinni się usunąć. Nie bardzo wiedział, co zrobić w tym wypadku, więc na razie postanowił po prostu się dosiąść.

Bez słowa zajął miejsce na drugim końcu ławki. Kobieta spojrzała na niego uważnie. Miał wrażenie, jakby prześwietlała go na wylot, jakby chciała się dowiedzieć, co on myśli.

Olga poznała chłopaka. Uznała go za neutralnego, ale poczuła także coś innego, coś, czego dotąd nie doświadczyła i nie potrafiła ocenić. Właśnie dlatego tak uważnie przyglądała się Filipowi. Ten, nie wiedząc, jak się zachować, burknął w jej stronę:

– Dzień dobry.

– Witaj. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła do chłopaka rękę. Zmieszany uścisnął ją, zastanawiając się, jak wobec takiego obrotu sprawy pozbędzie się niepożądanego towarzystwa.

– Humor dziś nie dopisuje?

– Jakby pani była na moim miejscu, to też by się pani nie cieszyła. – Wzruszył ramionami i sięgnął po papierosa.

– Jestem Olga, a nie żadna pani. Niepotrzebnie się denerwujesz. Poczęstujesz mnie?

– Filip – odparł i wyciągnął w kierunku kobiety nieco wymiętą paczkę. – Wcale się nie denerwuję!

– Sądzę, że nie mówisz prawdy, ale to twoja sprawa. Podoba ci się? – Wyciągnęła z kartonowej teczki, która leżała obok niej, rysunek. Przedstawiał chyba anioła, chociaż Filip nie był pewien. Nie widział dotąd, żeby ktoś w ten sposób rysował anioły. Ten miał nieproporcjonalnie dużą głowę pozbawioną ust, za to z ogromnymi oczami. Na szczupłym tułowiu narysowane było ogromne serce. Tylko wielkie skrzydła przemawiały za tym, że Olga chciała przedstawić anioła, inaczej nie wpadłby na to.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą, bo właściwie nie widział w nim nic ładnego.

– Szczery jesteś. – Kobieta się roześmiała. – Niewielu na to stać. Ludzie boją się mówić to, co naprawdę myślą.

– Mnie nie zależy.

– Na czym?

– Na niczym.

– Rozumiem.

– Niczego pani nie rozumie – zdenerwował się. – Jestem w dupie. Bilet do wojska mi przysłali, a moja wiecznie pijana matka go odebrała. – Nie wiedział, dlaczego mówi to wszystko osobie, której właściwie nie znał, ale w końcu dlaczego nie. Dobrze było wyrzucić z siebie to, co tak długo mu ciążyło. Zrobiło mu się jakoś lepiej i lżej.

– Rzeczywiście masz problem. – Olga wyglądała na autentycznie zatroskaną, chociaż nie do końca zrozumiał, co miała na myśli:

matkę czy perspektywę służby ojczyźnie. Po raz pierwszy od dawna poczuł wdzięczność. Nie musiała przecież z nim rozmawiać, nie musiała się interesować. A robiła to.

– A co u ciebie? – odważył się zwrócić do Olgi per ty. – Wyzdrowiałaś? Nie to, że chcę się wtrącać. Jak nie chcesz, to nie mów. – Przypomniał sobie, jak ostro zareagowała ostatnim razem.

– Nie wiem, czy w ogóle byłam chora – cicho powiedziała Olga. – To inni tak twierdzą. Ja prawie w to uwierzyłam, ale znowu wydaje mi się, że to nieprawda. Widzisz, ja byłam w szpitalu psychiatrycznym...

Filip nic nie powiedział. Nie wyglądała na wariatkę, ale faktycznie była trochę dziwna. Olga opowiedziała mu swoją historię. Kiedy mówiła o Ananke, którego nikt oprócz niej nie widział, o tym, jak w szpitalu twierdzili, że to wytwór chorego umysłu, Filip pomyślał: *Ja go widziałem. Rozmawiałem z nim nawet.* Ale nie powiedział tego Oldze.

– Widzisz sam, że nie jest mi łatwo żyć – zakończyła swoją opowieść. – Jedno wiem na pewno, chcę pomagać ludziom, choćby mieli mnie traktować jak wariatkę. Najważniejsze, że sama zdecydowałam o tym, co chcę robić. Ty też się zastanów, czego chcesz naprawdę, i rób to, co ci serce podpowiada. Tak radził mi Ananke i to była dobra rada.

Wstała i wyciągnęła do chłopaka rękę.

– Cześć. Nie przeszkadzam ci dłużej. Lubisz tu posiedzieć sam, prawda?

– Skąd wiesz? – Odpowiedzią był uśmiech. – Twój rysunek – przypomniał o leżącej na ławce kartce.

– Zostawiam go tobie. Zrobisz z nim, co zechcesz, możesz nawet wyrzucić.

– Nie wyrzucę – zapewnił. – Właściwie nie jest zły. Oczy ma takie ładne...

– Niech przyniesie ci szczęście.

Odeszła. Filip przez chwilę wpatrywał się w szkic. Budził w nim dziwne emocje, niepokoił, a jednocześnie uspokajał. *Już dawno*

nie dostałem żadnego prezentu, pomyślał.

Opowieść Olgi podsunęła mu pewien pomysł. Skoro nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy jest chora, czy zdrowa, skoro łatwo można zostać uznanym za wariata, to mógłby trochę poudawać. Psychicznie chorych nie biorą do wojska. Pokiwał głową w uznaniu własnego sprytu. To był jakiś pomysł, szansa na uniknięcie wojska. Wykorzysta historię Olgi, przedstawi jako swoją. Najwyżej posiedzi trochę w szpitalu, i tyle. Lepszy szpital niż koszary, tego był pewien.



Stanisława Bocheńska bardziej niż chętnie wywiązywała się z obietnicy danej Mariannie. Tłumaczyła sobie, że to jej obowiązek, że jest odpowiedzialna za młodą sąsiadkę. Każdego ranka stała przy oknie, sprawdzając, czy dziewczyna wychodzi do pracy, a kiedy tylko jej postać zniknęła z pola widzenia, dreptała do mieszkania naprzeciwko.

Znała na pamięć każdy kąt, każdą szufladę i szafkę. Uważne oko nie przegapiło żadnej zmiany, nawet inaczej ułożonych poduszek czy przestawionego fotela. Wiedziała, że ma dużo czasu, więc nieraz wyciągała z szafy bluzkę czy spódnice, która szczególnie jej się podobała, i sprawdzała w lustrze, jak w nich wygląda. Zazwyczaj dochodziła do wniosku, że na niej prezentują się o niebo lepiej niż na dziewczynie, i żałowała, że nie może znów mieć trzydziestu lat. Drugą namiętnością Stanisławy były perfumy. Sąsiadka miała ich całą kolekcję, więc było mało prawdopodobne, żeby zorientowała się, że ktoś od czasu do czasu ich używał. W końcu należało jej się coś za tę codzienną bieganinę w tę i we w tę.

Brak lekarstw nie uszedł uwagi Stanisławy, ale doszła do wniosku, że dziewczyna nosi je przy sobie. Gdyby ich nie brała, pewnie zachowywałaby się dziwnie, a na razie niczego takiego Stanisława nie zauważyła. Dziwiła się w myślach lekkomyślności ludzkiej. Patrząc na wielki zaciek na środku ściany, kręciła

z dezaprobatą głową. Ona nigdy nie pozwoliłaby zostawić malarzowi takiej niedoróbki. Musiałby poprawić albo pożegnać się z zapłatą. *Widać mają za dużo pieniędzy*, myślała.

Stanisława właśnie zamykała drzwi mieszkania Olgi, kiedy usłyszała głos sąsiadki:

– Co pani robi?

– O, jesteś, drogie dziecko! Jak dobrze! Nie widziałam rano, żebyś wychodziła, więc przyszedłam sprawdzić, czy nic ci nie jest. Pukam i pukam, a nikt nie otwiera. Przeleżałam się, że coś ci się stało, to weszłam, żeby sprawdzić – trajkotała szybko, zastanawiając się, czy dziewczyna zauważy ściereczkę wystającą z kieszeni szlafroka. W kuchennej szufladzie było ich mnóstwo, więc Stanisława wzięła jedną. *Ona i tak ich nie używa*, usprawiedliwiała się. *A je ze swojej emerytury nie mogą sobie pozwolić na takie zbytki.*

– Ma pani klucze od mojego mieszkania? – zdziwiła się Olga. Rozmawiając z sąsiadką, starała się nie patrzeć na nią, bo choć nauczyła się radzić sobie z negatywną energią wysyłaną przez niektórych ludzi, to wciąż świeże wspomnienie spotkania po powrocie ze szpitala utrudniało jej kontakt z panią Bocheńską.

– Pani mamusia mi dała, na wszelki wypadek. Żebym mogła pomóc w podobnych sytuacjach jak dziś – słodkim głosem tłumaczyła Stanisława.

– Nie prosiłam o pomoc, nie potrzebuję jej.

– No, ale skąd ja mogłam wiedzieć...

Olga się nie odezwała, nie powiedziała, że rozumie i nie ma pretensji. Stanisława odebrała to zachowanie jako brak kultury. Ale czego się spodziewać po wariatce? Normalny człowiek doceniłby troskę, a ta? Obrażona starsza pani wróciła do siebie.

Olga weszła do mieszkania i tuż za progiem się rozpląkała. Zrozumiała, że to sprawka matki. Zmówiły się z sąsiadką, żeby kontrolować każdy krok Olgi. Już wcześniej podejrzewała, że tamta obserwuje ją przez okno, a pewność zyskała, kiedy zauważyła ją jakieś trzy dni temu. Nie sądziła jednak, że matka

posunie się aż tak daleko, żeby dawać tej wścibskiej osobie klucze od mieszkania. Teraz zrozumiała, dlaczego niektóre perfumy, dawniej lubiane, teraz wręcz ją odpychały i dlaczego część ubrań przestała jej się podobać. Widać sąsiadka myszkowała już w jej mieszkaniu i dotykała tych rzeczy.

Olga zapragnęła przytulić się do psa, ale Gabi jeszcze nie wrócił. Wyszła na balkon, żeby popatrzeć, czy gdzieś nie zobaczy białej futrzanej kulki. Psa nie było w zasięgu wzroku. Na pobliskim drzewie kilka ptaków spłoszonych otwarciem okna zerwało się do odlotu. *Te to mają szczęście, pomyślała, mogą latać.* Nikt ich nie zatrzyma. Ciekawe, jak to jest mieć skrzydła?

Jej własne się nie pojawiały, ale tłumaczyła sobie, że nie jest jeszcze gotowa do ostatecznej przemiany. To przyjdzie w odpowiednim czasie, tak jak obiecywał Ananke. Chciała jednak poczuć chociaż namiastkę wolności, wiatr we włosach. Bez zastanowienia wspięła się na barierkę balkonu i przełożyła nogi na zewnątrz. Rozłożyła szeroko ręce i zamknęła oczy. Cudowne uczucie! Wokół powietrze, promienie słońca na twarzy...

– Dziecko! Co ty wyprawiasz?! – Stanisława stała na sąsiednim balkonie z niewielką konewką w ręce.

Czar prysł. Znowu była zwyczajną dziewczyną siedzącą na balustradzie.

– Niech mnie pani nie straszy, z łaski swojej – odparła, nie odwracając nawet głowy w jej stronę. – Najlepiej niech mnie pani zostawi w spokoju.

Stanisława z przerażeniem patrzyła na poczynania sąsiadki. Miała wrażenie, że każdy, nawet najmniejszy ruch, może spowodować upadek. *Chce popełnić samobójstwo tylko dlatego, że byłam w jej mieszkaniu?* – zastanawiała się.

– Co ty chcesz zrobić najlepszego? Zejdź, bo spadniesz! – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu, z którego siedząca na balustradzie młoda osoba najwyraźniej nic sobie nie robiła. – Zejdź, bo zadzwonię po twoją matkę!

– Proszę, niech sobie pani dzwoni, gdzie chce. Co, już nie można

wyść na własny balkon? Podoba mi się tu i będę się opalała. A jak mi się znudzi, to zejść, rozumie pani?

– Przecież ty zaraz spadniesz...

– Nie spadnę – odpowiedziała pewnym głosem Olga i znowu rozłożyła ręce, chcąc poczuć to, co kilka minut temu.

Stanisława zdecydowała, że nie ma na co czekać. Odstawiwszy konewkę, wróciła do mieszkania. Najpierw zatelefonowała do Marianny, która zapewniła, że przyjedzie najszybciej, jak się da. Dla większego efektu Stanisława powiadomiła także pogotowie. *W razie czego nikt nie będzie miał pretensji, że coś zaniedbałam, a i popatrzeć będzie na co.*

Dyskretnie obserwowała Olgę zza firanki. Na razie siedziała, ale raz po raz niebezpiecznie wyginała się we wszystkie strony. *Ciekawe, czy utrzyma równowagę?* – zastanawiała się Stanisława.

O los ściereczki była spokojna. Zostanie u niej na zawsze i będzie z pewnością lepiej wykorzystana niż w sąsiednim mieszkaniu.



Scena, którą obserwował Filip, godna była hollywoodzkiego dramatu. Sanitariusz i kierowca karetki wlekli po chodniku Olgę, która bezskutecznie usiłowała im się wyrwać.

– Nie chcę jechać do szpitala! Nic złego nie zrobiłam! Opalałam się na własnym balkonie! Mamo, powiedz im, żeby mnie zostawili!

Idąca za nimi matka Olgi nie odezwała się ani słowem. Głośno szlochała i wycierała na przemian oczy i nos chusteczką w niebieskie kwiatuszki. Te kwiatuszki wydały się Filipowi zupełnie nie pasować do całej reszty. Z wahaniem podszedł bliżej.

– Proszę się odsunąć – warknął lekarz.

Olga zobaczyła chłopaka i nagle jakby straciła wszystkie siły, zawisła bezwładnie na ramionach trzymających ją mężczyzn.

– Chciałam tylko przez chwilę poczuć się jak ptak – powiedziała, patrząc Filipowi w oczy. – Nawet na to mi nie pozwolili.

Chłopak lekceważąco wzruszył ramionami. Nic go to nie

obchodziło. Był zły, bo wiedział już, że nie załatwi sprawy, z którą tu przyszedł. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o chorobie i przeżyciach tej kobiety. Chciał posłuchać, jak opowiada, i zapamiętać jak najwięcej. To, co wiedział do tej pory, nie wystarczy, żeby przekonać wojskowych lekarzy.



Tym razem nie da się podejść. Nie uwierzy nikomu. Nie będzie z nikim rozmawiała. Zresztą nie miała o czym. Po co miałyby po raz kolejny strzępić sobie język i tracić czas na tłumaczenia, skoro wiedziała doskonale, że nie przyniesie to najmniejszego skutku? Matka, sąsiadka, lekarz, pielęgniarki – oni wszyscy wiedzieli lepiej i uzurpowali sobie prawo do decydowania o tym, co istnieje, a co istnieć nie może.

Nie odmawiała im tego prawa, ale nie pozwoli na to, żeby decydowali za nią. Ze swoim życiem mogą robić, co chcą, wierzyć i nie wierzyć, w co chcą, ale nie mogą decydować za nią. Każdy ma prawo do własnego wyboru.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak bardzo im przeszkadza. Nikomu nigdy nie zrobiła krzywdy. Nawet teraz nie miała zamiaru zmuszać ich, aby podzielali jej przekonania. Rozumiała, że trudno im zaakceptować jej opowieść, bo ona sama z początku nie przyjmowała do wiadomości niczego, co mówił Ananke. A oni nawet go nie widzieli. *Och, gdyby chociaż raz mogli z nim porozmawiać, myślała, wtedy na pewno zrozumieliby wszystko.* Ja nie potrafię być taka jak on, nie mam tyle sił. Może kiedyś, z czasem, ale jeszcze nie teraz.

Olga była zła na siebie. Wystarczyła chwila nieuwagi, spontaniczny odruch i znowu przywieziono ją do szpitala. Pobyt na oddziale stawiał jej plany pod znakiem zapytania. Jak miała rozmawiać z ludźmi, jeśli nie mogła swobodnie się poruszać? Traciła czas i na dodatek znowu zmuszano ją do zażywania lekarstw, które przytępiały zmysły, powodowały senność. Nie miała siły, z trudem zmuszała się do ubrania, umycia, a myślenie

sprawiało jej trudność. Myśli nie chciały się zatrzymywać, przemykały przez głowę pojedynczo, nieskoordynowanie lub przeciwnie, przybywały całymi stadami, powodując mętlik – i niemożliwe było wyłowienie z nich ani jednej sensownej, na której można by się dłużej skoncentrować.

Lekarz odwiedzał ją kilka razy dziennie. Przychodził, bo stanowczo odmówiła wizyt w gabinecie. Prawdę mówiąc, odmówiła spotkań w ogóle, ale doktor nie rezygnował; uparcie przychodził, siadał na krześle przy łóżku i zagadywał:

– Jak samopoczucie, pani Olgo?

Nie zrażał się jej milczeniem, mówił, nawet kiedy odwracała się do niego plecami. Drażnił ją, ale postanowiła, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Po kilku minutach odchodził, wzdychając ciężko. Zdaniem Olgi był neutralny, chociaż bił od niego pewien rodzaj smutku i rezygnacji. Nie mogła jednak mu pomóc, bo sam zamknął się na wszystko, co nie było opisane w podręcznikach psychiatrii jako norma.

Matka odwiedziła ją dwa razy. Urażona milczeniem i pełnym wyrzutem wzrokiem córki przestała przychodzić. Każdego dnia zostawiała pielęgniarce reklamówki pełne jedzenia, które one przekazywały Oldze, a następnego dnia wyrzucały nietknięte do kosza, wyjąwszy z nich słodczyce, które umilały im nocne dyżury.

Olga najbardziej lubiła kąć w końcu korytarza, ten sam, w którym ostatni raz widziała Ananke. Prawie nikt tam nie zaglądał, było cicho i spokojnie. Siadywała w nim często, zastanawiając się, jak długo tym razem przyjdzie jej czekać na powrót do domu. Pewnie brak współpracy z lekarzem będzie miał duże znaczenie i wyjścia nie przyspieszy, ale podjęła mocne postanowienie, że tym razem nie wyrzeknie się swoich przekonań. Nie ufała już doktorowi; oszukał ją, próbował wmówić własną wizję świata. Wcale nie chciał jej słuchać, tak naprawdę go to nie interesowało. Jego celem było wmówienie jej, że się myli, a to założył od początku, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Olga nie lubiła, kiedy jej przeszkadzano, dlatego niechętnie

spojrzała na kobietę, która szła w jej stronę. W miarę jak się zbliżała, Olga zaczynała rozumieć, że ma do czynienia z osobą, która potrzebuje rozmowy, chce się komuś zwierzyć. Takich odczuć nie mogła zignorować. Wyprostowała się i spróbowała uśmiechnąć zachęcająco, chociaż czuła, że twarz wykrzywia jej się raczej w dziwnym grymasie niż miłym uśmiechu.

Kobieta nie zrezygnowała.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale wydaje mi się, że panią znam.

Olga przyjrzała jej się uważnie. Nieznajoma miała około pięćdziesięciu lat, krótko obcięte włosy ufarbowane na intensywny bordowy kolor. Przez półprzezroczystą bluzkę widać było obfity biust, a spódnica opinała wydatne biodra, wylewały się z niej niezbyt eleganckie wałeczki. W twarzy kobiety nie znalazła nic znajomego, więc rozkładając ręce w geście bezradności, powiedziała:

– Przykro mi, ale nie przypominam sobie...

– Widziałam panią kiedyś w poczekalni u doktora Leszczyńskiego. Nazywam się Teresa Jawor.

– Jestem Olga.

– Pani wtedy uciekła. Myślałam, że dowiedziała się pani o czymś strasznym, ale doktor Janusz powiedział, że nic pani nie jest. A jednak... Mnie też lekarze mówili, że jestem zdrowa. A ja dobrze wiem, że coś mi dolega. Nikt mi nie wierzy, nawet rodzina. – Po krótkim namyśle dodała cicho: – Szczególnie oni.

– I dlatego chciała pani to zrobić? – zapytała Olga, wskazując na obandażowane przeguby dłoni kobiety.

– Czy pani wie, że oni jeszcze ani razu mnie nie odwiedzili? Mija tydzień... No, ale ja wiem, że mają wiele zajęć, dzieci muszą się uczyć, mąż ma tyle pracy. Bardzo go cenię w pracy, wie pani? Nieraz do nocy musi siedzieć, bo nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić. Już trzy lata nie miał urlopu, biedak.

Olga słuchała. Nie chciała przerywać Teresie. Kobieta musiała wypowiedzieć te wszystkie bzdury, to była obrona i jednocześnie

ucieczka przed prawdą. Olga odkryła, że i tu, w szpitalu, znajdzie się ktoś, komu trzeba pomóc. Nie mogła zlekceważyć ani nowo poznanej kobiety, ani tego, że miała szansę realizowania swojej misji.

– Pani Tereso, przecież pani doskonale wie, jak jest naprawdę. Mam rację?

Spłoszona kobieta uczyniła gest, jakby chciała odejść.

– Niech pani zostanie, proszę. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego?

– Nie chcę o tym mówić. – Teresa Jawor starała się, aby zabrzmiało to oschle, ale w połowie zdania głos jej się załamał, a w oczach pojawiły łzy.

– To ja powiem. – Olga wzięła rękę kobiety i delikatnie ją gładziła. – Chciała pani, żeby wreszcie zauważyli pani istnienie, żeby docenili to, co pani robi każdego dnia. To był akt desperacji, pani już nie miała siły dłużej być nikim. Tyle pani przecież robiła i żadnej wdzięczności, nawet słowa podziękowania...

– Ale ja nie chciałam podziękowań. Ja to wszystko dla nich, dla ich dobra.

– No właśnie. Dla nich. I co, kiedy zrozumiała pani, że nie warto? Wtedy postanowiła pani ich ukarać swoją chorobą, tak? Niech się martwią, niech poczują strach, kiedy zrozumieją, że bez pani sobie nie poradzą, tak? A tu radzą sobie tak dobrze, że nawet zapomnieli o odwiedzinach. Musi być pani przykro. Trudno zaakceptować prawdę, wiem o tym.

Teresa nie potrafiła powstrzymać łez. Dziewczyna miała rację i obie o tym wiedziały. Nie próbowała zaprzeczać.

– To co ja mam zrobić?

– Nic wielkiego. Po prostu coś dla siebie, coś, co pani naprawdę lubi. Może pojeździ pani na rowerze albo zasadzi kilka kwiatów, bo ja wiem? A jeśli już chce pani robić coś dla rodziny, to proszę ich zapytać, czego chcą. Widać nie potrzebują domowych obiadów i czystych ubrań. O to potrafią zadbać sami. Może woleliby, żeby pani była uśmiechnięta?

- Nie wiem, czy jeszcze potrafię...
 - Nie obiecuję, że będzie łatwo, ale czy się uda, zależy od pani.
- Kobieta spojrzała na Olgę.
- Zastanowię się, ale chyba spróbuję. Dziękuję za pomoc. Jest pani aniołem.
 - Wiem.



Minęło kilka dni, a ona ciągle nie wracała. Filip każdego wieczoru obserwował okna Olgi, ale nadal było w nich ciemno. Nie miał pojęcia, jak długo może trwać pobyt w szpitalu psychiatrycznym, wydawało mu się jednak, że dosyć długo. Poza tym to, co widział, kiedy ją zabierali, nie wyglądało ciekawie. Nie chciał nawet sam przed sobą się przyznać, jak duże wrażenie wywarła na nim ta scena.

Nie wiedział, co myśleć o Oldze. Z jednej strony mówiła rozsądnie, ale skąd miał wiedzieć, jak się zachowują wariaci. No właśnie, i tu był problem. Nie wiedział, a musiał się dowiedzieć jak najszybciej. Właśnie dlatego nogi same niosły go pod jej okna.

Bał się, że Olga nie zdąży wrócić i opowiedzieć mu jeszcze raz swojej historii. Większość pamiętał, ale szczegóły mu umknęły. A przecież szczegóły są najważniejsze. Nie znał procedury, ale pewnie każą mu rozwiązywać testy, będzie rozmawiał z psychiatrą. Musiał wiedzieć, jak się zachowywać, co mówić. Zdawał sobie sprawę, że powinien być przygotowany na każde pytanie, a dojdą jeszcze nerwy i stres.

Zdenerwowany Filip krążył między blokami. Przysiadał na ławkach, ale nie mógł usiedzieć, więc wstawał i znowu krążył. Był zły i bezradny. Miał pomysł, wydawało się, że najlepszy, jaki mógł wymyślić, i przez głupi przypadek wszystko wzięło w łeb.

Wreszcie zdecydował się na powrót do domu. Noc była chłodna, a on nie wziął kurtki i zaczął już marznąć. Po drodze wstąpił do sklepu po papierosy.

- Cześć! – przywitała go dziewczyna za ladą. Znali się od dziecka,

wychowywali na tym samym osiedlu.

Filip nie był w nastroju do rozmowy. Skinął niedbale głową i poprosił o tę markę, co zawsze. Dziewczyna podała papierosy i przyjęła pieniądze.

– Coś ty taki nie w sosie? – zapytała.

– A tobie wesoło? – burknął. – Co ci się miłego zdarzyło przez ostatni miesiąc?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Głupie pytanie! Co się mogło zdarzyć w osiedlowym sklepie, gdzie każdego dnia widzi się tych samych ludzi, którzy to samo kupują? Nie musiała na szczęście odpowiadać, bo chłopak już wyszedł.

Filip cicho otworzył drzwi mieszkania i starając się nie robić hałasu, przeszedł do swojego pokoju. W salonie światło było zgaszone, tylko telewizor rozlatał zimną poświatę, oświetlając ojca rozpartego na kanapie i matkę siedzącą w fotelu, z nieodłącznym kieliszkiem i papierosem.

Beznadzieja. I to ma być rodzina? Miał ochotę wejść tam, stanąć na środku pokoju i wykrzyknąć, co o nich myśli. Tylko po co? Robił to kilkakrotnie i nic nie zrozumieli.

W swoim pokoju Filip także nie zapalił światła. Rzucił się na łóżko i nałożył słuchawki. Głośna muzyka rozsadzała mu głowę, ale nie zagłuszała dręczących myśli. Błądził wzrokiem po pokoju, wyławiając z mroku dobrze znane przedmioty. Szafa, plakaty na ścianach, półki z książkami, biurko. Zatrzymał wzrok na rysunku, który dostał od Olgi. Dlaczego mu go podarowała? Właściwie się nie znali.

Kurde, ale kanał. Jak czegoś nie wymyślę, to niedługo będę tupał w koszarach. Ciekawe, gdzie jest gorzej? Tam czy w psychiatryku?

Nic prostszego niż sprawdzić osobiście – olśniło go. Jasne, dlaczego wcześniej na to nie wpadł?! Pójdzie w odwiedziny do sąsiadki. Pogada z nią i przy okazji obejrzy sobie, co się kryje za drzwiami bez klamek. Porówna sobie później na spokojnie i będzie miał jasność. Przynajmniej potem nie będzie zaskoczony.

Wybiorę się jutro z samego rana, zdecydował. Napiecie nieco

osłabło i muzyka znowu zaczęła sprawiać mu przyjemność.



Janusz Leszczyński był zmęczony po nocnym dyżurze w szpitalu. Zamierzał trochę się przespać i zanim zacznie przyjmować pacjentów w prywatnym gabinecie, odwiedzić znajomego lekarza. Wiedział doskonale, że nie było to rozsądne, bo nie odeśpi nocnego dyżuru, ale był przyzwyczajony do zarwanych nocy. Mógłby pracować mniej, ale na razie nie było nikogo, kto czekałby na niego w domu. Dokładniej mówiąc, domu też jeszcze nie było, bo trudno wynajmowaną kawalerkę nazwać domem. Doktor Leszczyński miał plan na życie – zbudować dom, znaleźć kobietę, która w tym domu z nim zamieszka i urodzi mu dzieci. Po skończeniu studiów zaczął pracować w przychodni, po kilku latach z pomocą rodziców i kredytu otworzył prywatny gabinet. Dodatkowe dyżury w szpitalu zapewniały mu nie tylko doświadczenie zawodowe, ale i nowych prywatnych pacjentów. No i dzięki nim szybko spłacił kredyt, a od roku odkładał pieniądze na kupno działki i budowę domu. To, że często sypiał zbyt krótko, było kosztem wliczonym w cenę realizacji zamierzeń.

Leszczyński, starając się stłumić ziewanie, tłumaczył pielęgniarce, że nie był umówiony z ordynatorem, ale jest jego dobrym kolegą i z pewnością zostanie przyjęty. Kobieta w białym fartuchu, odsłaniającym niezbyt zgrabne, jak z przykrością zauważył Janusz, nogi, nie dawała wiary wyjaśnieniom, a im bardziej gość upierał się przy swoim, tym podejrzliwiej na niego patrzyła. W końcu, po długich namowach, zgodziła się poinformować przełożonego o wizycie, ale przezornie kazała mu poczekać przed drzwiami. Zrezygnowany usiadł na odrapanym krzeselku. Poczuł, jak jest zmęczony. Właśnie dlatego nie lubił czekania i starał się być ciągle w ruchu. Dopóki działał, zmęczenie dawało się odegnąć, można było o nim zapomnieć, ale kiedy tylko miał wolną chwilę, wracało ze zdwojoną siłą.

Na szczęście pielęgniarka wróciła bardzo szybko. Teraz już

z uśmiechem uchyliła drzwi:

– Dlaczego pan nie powiedział, że jest lekarzem? – powiedziała z udawanym wyrzutem. – Od tego trzeba było zacząć, to od razu bym pana wpuściła. Proszę wybaczyć, ale różni tu przychodzą, ordynator kazał uważać – tłumaczyła się.

Leszczyński machnął ręką na znak, że nie ma problemu, nie gniewa się i rozumie. Faktycznie, zapomniał, dokąd przyszedł. To nie zwyczajny oddział, ten rządzi się innymi prawami.

Szedł korytarzem w stronę wskazaną przez pielęgniarkę, starając się nie zwracać uwagi na pacjentów. *Nie mógłbym być psychiatrą, pomyślał. Nie wiedziałbym, jak mam ich traktować, nie umiałbym z nimi rozmawiać.*

W głębi korytarza zauważył kobietę, która wydawała mu się znajoma. Przez chwilę zastanawiał się, kim jest. Bywało, że miał kłopot w podobnych sytuacjach, bo przyjmował tylu pacjentów, że nie sposób było wszystkich zapamiętać. Tę kobietę jednak zdołał sobie przypomnieć. Może dlatego, że mu się spodobała? Ponieważ zazwyczaj zamiast nazwisk kojarzył z twarzami nazwy chorób, i tym razem przypomniało mu się, z jakim problemem się do niego zgłosiła. *Podejrzenie guza mózgu, zidentyfikował. Bezpodstawne, ale niewątpliwie bóle głowy na tle stresu i przemęczenia.*

Co tu robiła? Nic nie wskazywało na chorobę psychiczną. Owszem, była zdenerwowana, ale nie bardziej niż inni pacjenci, kiedy podejrzewają u siebie poważną dolegliwość. Doskonale pamiętał, że miał nadzieję na powtórny wizytę, chciał nawet zaproponować kawę. Tak mu się podobała, że z powodzeniem mógł wyobrazić ją sobie jako panią wymarzonego domu. *Gdybym miał podejrzenia co do jej stanu psychicznego, na pewno nie przyszłoby mi do głowy umawiać się z nią. Widać nic mnie nie zaniepokoiło.*

Ostatnia myśl wbrew pozorom nie była radosna. Przypomniała mu, po co właściwie przyszedł do dawno niewidzianego kolegi. Chodziło o pacjentkę często odwiedzającą jego gabinet. Pani Teresa skarżyła się właściwie na wszystko. Kiedy tylko

udowadniał jej ponad wszelką wątpliwość, że nie dolega jej to, co podejrzewała, w kolejnym tygodniu przychodziła z nowymi objawami, pewna, że tym razem na pewno jest chora. Kilka dni temu zadzwonił mąż pani Teresy, żeby odwołać wizytę. Na grzecznościowe pytanie o pacjentkę chłodno odpowiedział, że żona usiłowała popełnić samobójstwo i przebywa na oddziale psychiatrycznym. Janusz poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. Rozważał, czy nie traktował pani Teresy zbyt lekceważąco, bo powinien był zauważyć u niej jakąś zapowiedź próby samobójczej. Widywali się tak często, a pacjentka podczas wizyt wiele mówiła. Czyżby nie słuchał uważnie? A może wymyślone choroby były wołaniem o pomoc i zainteresowanie, których nie dostrzegł? Jako lekarz powinien. Z drugiej strony nie może się skupiać maksymalnie na każdym pacjencie, nie wytrzymałby tego. Miał tyle pracy, był zbyt zajęty i zmęczony, żeby wsłuchiwać się w każde wypowiedziane przez pacjenta słowo. Ponieważ sprawa pani Teresy uwierała go, postanowił ją odwiedzić.

Nie spodziewał się, że zastanie tu kolejną swoją pacjentkę. Wątpliwości odżyły. Nie był dobrym lekarzem? Coś zaniedbał, przeoczył?

Kolega przywitał go serdecznie.

– Dawno mnie nie odwiedzałeś. – Poklepał Janusza po ramieniu.
– Myślałem, że może wyemigrowałeś gdzieś w poszukiwaniu lepszych zarobków...

– E tam, i tu nie narzekam. – Opadł na wskazany fotel. – Przepraszam, ale mam tyle roboty, sam wiesz, jak jest.

– Napijesz się? – Na stoliku pojawiły się butelka whisky i dwie szklaneczki. – Coś marnie wyglądasz. Problemy?

– Nie. – Leszczyński machnął ręką. – Nocny dyżur. Przychodzę się dowiedzieć o jedną z pacjentek. Przychodziła do mnie i wiem, że jest teraz tutaj.

– Wiesz, stary – ordynator wprawnym ruchem rozlał po solidnej porcji bursztynowego płynu do obu szklanek – właściwie nie

powinienem. Nie jesteś rodziną. – Uniósł naczynie. – No, to zdrowie! Przepraszam, że bez lodu, ale chyba dasz radę? – Wypił wszystko jednym haustem i zadowolony wygodniej rozsiadł się w fotelu. – O kogo chodzi?

Leszczyński zrozumiał, że musi wybierać. Nie wahał się ani chwili. Teresa Jawor znowu nie była ważna. Na szczęście nigdy nie miała się o tym dowiedzieć.

– Taka młoda, zapomniałem nazwiska. – Musiał blefować, bo właściwie nazwiska nie pamiętał wcale. – To przez zmęczenie...

Psychiatra pokiwał głową ze zrozumieniem. Pomyślał chwilę, podrapał się po karku i po raz drugi napełnił szklaneczkę.

– Chyba wiem. Zasadniczo mamy teraz tylko jedną młodą pacjentkę.

Nakreślił koledze historię choroby, wypijając w tym czasie kolejną porcję whisky.

– Teraz wcale nie chce rozmawiać. Nie mam pojęcia, co z nią robić.

– Mogę ją odwiedzić? – zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie Janusz.

– Jak chcesz. Ale wątpię, czy to coś da.

– Spróbuję. Mam wyrzuty sumienia, bo powiedziałem jej, że jest zdrowa.

– Nie przejmuj się, stary, z twojego punktu widzenia jest zdrowa. A że z mojego wygląda to trochę inaczej... Nie musisz się znać na psychice, ty jesteś od ciała. Zresztą... każdy ma jakieś problemy, nie? – Popatrzył znacząco na butelkę.

Uścisnęli sobie dłonie bez słów.

Leszczyński ruszył na poszukiwanie dziewczyny. Odnalazł ją na końcu korytarza. Siedziała w kącie i wpatrywała się w okno. Odniosł wrażenie, że nie zauważyła go. Nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, co powiedzieć, gdy zapyta, jak ją znalazł i czego od niej chce. Przyszło mu do głowy, że to nie był dobry pomysł. Właściwie nic o niej nie wiedział, nie znali się, widzieli tylko raz. Stchórzył i chciał się wycofać, kiedy niespodziewanie dziewczyna

odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy w taki sposób, że przeszedł go dreszcz.

– Nie wiem, czy pani mnie pamięta... – zaczął nieporadnie, ale nie dane mu było dokończyć.

– Panie doktorze – mówiła powoli, jakby musiała odnaleźć w głowie kolejne wyrazy. – Nie wiem, po co tu pana przysłali. Chyba nie po to, żeby powiedział mi pan po raz drugi, że jestem zdrowa? – Zachichotała dziwacznie. – Tu wszyscy sądzą, że jestem wariatką, wie pan? A może im pan opowie o swojej diagnozie? Ostrzegam, że nie uwierzą. – Oblizwała spierzchnięte wargi i zaczęła mówić dużo szybciej i bardziej nerwowo. – Nie będę rozmawiała ani z panem, ani z żadnym innym lekarzem. Nie powiem już słowa, bo każde jest wykorzystywane jako dowód choroby. Skoro pan także bierze udział w tej farsie, to proszę przyjąć do wiadomości, że będziecie zmuszeni trzymać mnie tutaj wiecznie, gdyż ja nigdy więcej nie uwierzę w swoją chorobę. Rozumie pan?!

Leszczyński się przestraszył. Nie przewidział takiej gwałtownej reakcji, nie miał praktyki w podobnych rozmowach. Wiedział, że powinien ją uspokoić, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób.

– Nie przyszedłem tu jako lekarz – wypowiedział głośno pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy. – Odwiedzam panią jako człowiek.

Popatrzyła z zainteresowaniem. Uspokoila się, co ucieszyło doktora.

– Skoro tak – powiedziała już spokojnie – to ja panu coś powiem. Właściwie poradzę. Niech pan tyle nie pracuje. Nic dobrego z tego nie będzie. Na co panu te pieniądze? Do grobu ich pan ze sobą nie weźmie, prawda? Lepiej odpocząć, poznać kogoś, zrobić kilka przyjemnych rzeczy. Kiedy zdąży pan kogoś pokochać? W drodze między gabinetem a szpitalem? Tak nie wolno. – Znowu oblizwała usta. – Poza tym proszę czasem pomyśleć o pacjentach, nie tylko o banknotach, które zostawiają. Niech dla nich pan będzie taki jak dla mnie teraz; niech pan będzie człowiekiem, a nie lekarzem. A teraz proszę odejść, nie mam ochoty na rozmowę.

Odwróciła się w stronę okna i nie odpowiedziała na żadne pytanie Janusza. Ten chciał się dowiedzieć, skąd Olga o nim tyle wie, ale nie wyjaśniła. Pozostała nieruchoma, patrzyła gdzieś w dal. Wreszcie Leszczyński zrezygnował. Dalsze nagabywanie dziewczyny nie miało sensu. Zastanawiał się, czy powinien opowiedzieć o tym koledze. *Co go może obchodzić, że usłyszałem kilka słów prawdy?* – pomyślał i spojrzął na zegarek. *Cholera jasna! Spóźnię się do gabinetu!*



– Siostrze, proszę, bardzo mi zależy...

– Tłumaczę ci, że to niemożliwe. Twoja znajoma należy do tych pacjentów, których może odwiedzać tylko rodzina.

Pielęgniarka próbowała zamknąć drzwi, ale chłopak zablokował je nogą. Najwyraźniej nie zamierzał ustąpić.

– Ja muszę!

– Nie będę sto razy powtarzała – zdenerwowała się kobieta. – Zabierz, chłopcze, tę nogę, bo zawołam sanitariusza, a on nie jest taki miły jak ja.

– Siostrze, tylko na chwileczkę. – Chłopak był uparty.

Leszczyński przecisnął się między pacjentami, którzy zgromadzili się wokół pielęgniarki. Kolejni nadchodzili z całego oddziału, jakby wyczuwając sensację. Niektórzy szeptali między sobą, gestykułując zamasyście, inni bezgłośnie poruszali wargami, jeszcze inni wpatrywali się w milczeniu.

– Siostrze, chciałbym wyjść.

– Dobrze, że pan jest, doktorze. Proszę mi pomóc, bo on – wskazała głową na intruza – chce wejść za wszelką cenę. Niech pan patrzy, pacjenci już się denerwują.

Janusz podszedł do przytrzymywanych drzwi i zmierzył chłopaka surowym lekarskim spojrzeniem.

– Skoro cię proszą, żebyś wyszedł, to wyjdź. Tu musi być spokój.

Ponieważ chłopak ani myślał się wycofać, Leszczyński po prostu naparł na niego całym ciałem. Niespodziewający się ataku młody

człowiek stracił równowagę i musiał zrobić krok do tyłu, żeby nie upaść. Lekarz zdołał wyjść, a pielęgniarka natychmiast wykorzystała okazję i zatrzęsnęła drzwiami, rzuciwszy tylko:

– Dziękuję, doktorze.

Chłopak zastąpił drogę mężczyźnie.

– Pan tutaj pracuje? – I nie czekając na odpowiedź, dodał szybko: – Ja muszę zobaczyć się z panią Olgą. To ważne.

Janusz miał na końcu języka kilka ostrych słów pod adresem chłopaka. Już był mocno spóźniony, a każda kolejna odwołana wizyta to strata pieniędzy. Razem z nimi zaś odsuwały się w czasie marzenia o kawałku własnej ziemi. Przez tego smarkacza tracił kolejne minuty, ale to, co usłyszał w ostatnim zdaniu, sprawiło, że naraz przestał się spieszyć.

– Panią Olgę? – upewnił się. – Tę młodą kobietę? – Chłopak przytaknął. – Skąd ją znasz?

– To moja sąsiadka. Czasami robiłem jej zakupy, często rozmawialiśmy... – Filip kłamał jak z nut, widząc szansę na zrealizowanie planu.

– Rozmawiała – zastanowił się lekarz. – Tutaj z nikim nie chce rozmawiać. Wiesz, co jej jest?

– Nie bardzo.

– Dlaczego przyszedłeś ją odwiedzić?

– Lubię ją, chciałem sprawdzić, jak się ma.

– To nie jest zwyczajny szpital, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Jestem dorosły, jeśli pan tego nie zauważył – zdenerwował się Filip. Ten facet był starszy od niego może z dziesięć lat, a traktował go z góry jak dzieciaka. – Nie będę płakał, spoko.

Doktor Leszczyński przez chwilę badawczo mu się przyglądał, jakby ważąc coś w myślach. Wreszcie zdecydował.

– Poczekaj tutaj, tylko spokojnie i bez awantur, jasne? No. Spróbuję coś załatwić. Widzisz, ja nie pracuję na tym oddziale, ale tak się składa, że znam tę pacjentkę i chciałbym jej pomóc.

Leszczyński nacisnął dzwonek. Słyszał jego przytłumiony dźwięk i po chwili po raz trzeci tego dnia ujrzał młodą pielęgniarkę.

– Zapomniałem czegoś z gabinetu ordynatora – wyjaśnił.

Wpuściła go z uśmiechem. Widać uznała go za pełnoprawnego gościa.

Ordynator trzymał się całkiem nieźle jak na to, ile ubyło z otwartej przed godziną butelki. Zachował także trzeźwość sądów i niełatwo przyszło Januszowi przekonanie go do wpuszczenia kolejnego gościa.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – stwierdził. – Z tobą rozmawiała?

– Nie – skłamał Leszczyński.

– To niby dlaczego z nim by miała?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Ale tak mu zależy, jakby byli sobie bliscy. Może się odblokuje, spróbować nie zaszkodzi.

– W sumie nie zaszkodzi – skapitulował psychiatra. – Niech ci będzie, po starej znajomości. Chodź! – Objął Janusza ramieniem, a ten poczuł mocny zapach alkoholu. – To moje perfumy – roześmiał się ordynator, zauważając skrzywienie warg kolegi. – Pacjenci z daleka czują, że nadchodzę.

Razem poszli do pokoju pielęgniarek, gdzie psychiatra nakazał wpuszczenie chłopaka i wyraził zgodę na godzinną wizytę. Prosił też siostry o dyskretny nadzór z daleka i interwencję w razie problemów. Następnie odprowadził Janusza do samych drzwi, gdzie uścisnął go serdecznie na pożegnanie.

Widać w miarę jak butelka się opróżnia, on staje się coraz bardziej wylewny, pomyślał Leszczyński.

– Zaraz cię wpuszczą – oznajmił chwilę później chłopakowi. – Tylko bez numerów, poręczyłem za ciebie.

– Dzięki.

Janusz Leszczyński nie słyszał już podziękowań. Zbiegał po schodach najszybciej, jak potrafił, jednocześnie próbując dodzwonić się do pielęgniarki pełniącej także funkcję recepcjonistki w jego gabinecie.

Niech zatrzyma pacjentów, myślał. Przyjmę wszystkich, którzy jeszcze nie uciekli.

Miał nadzieję, że o tej porze nie będzie już korków, choć, prawdę mówiąc, nadzieja ta nie była zbyt duża. Janusz Leszczyński był realistą. Między innymi dlatego nie został psychiatrą.



Filip, idąc za pielęgniarką, uważnie rozglądał się po szpitalnym korytarzu. Musiał zapamiętać jak najwięcej, żeby później móc świadomie zdecydować, czy chce spędzić bliżej nieokreślony czas w podobnym miejscu. Na pierwszy rzut oka wyglądało tu jak w zwyczajnym szpitalu. Jasne ściany, stoliki na korytarzach. Tylko okna zabezpieczone drucianą siatką.

Dyskretnie omiótł wzrokiem mijaną salę. *Nawet lepsza niż w zwykłym szpitalu*, ocenił, bo mniejsza. Przyglądał się mijanym pacjentom. Nie zwracali na niego uwagi, zajęci sobą. Jakiś mężczyzna szybkim krokiem przemierzał korytarz tam i z powrotem. Za nim dreptała kobieta, szepcząc coś półgłosem. Oganiał się od niej jak od natrętnej muchy, ale ona nie rezygnowała. Niespodziewanie do Filipa podeszła otyła kobieta i zastąpiła mu drogę.

– Widzi pan, jaką mam dziurę w zębie? Niech pan patrzy! – zażądała i otworzyła szeroko usta.

– Pani Lodziu, proszę wracać do sali. – Pielęgniarka przywołała ją do porządku i nieznajoma posłusznie, nie protestując, odeszła.

– Czy tu wolno palić? – zainteresował się Filip.

– Tak, ale tylko w palarni – sucho poinformowała siostra, niezadowolona, że chłopakowi jednak zezwolono na odwiedzinę. – Twoja znajoma jest w tej sali – dodała, wskazując drzwi, przed którymi się zatrzymali. – Będę zaglądała od czasu do czasu. I pamiętaj, że masz tylko godzinę.

Odeszła, postukując drewniakami, a Filip nieśmiało zastukał we framugę. Nikt nie odpowiedział, ale zdecydował się wejść.

Olga leżała odwrócona twarzą do ściany. Drugie łóżko było puste, zmięta pościel świadczyła jednak, że współlokatorka jest nieobecna tylko chwilowo.

– Dzień dobry – zebrał się na odwagę Filip. – Nie gniewasz się, że przyszedłem?

Olga na dźwięk jego głosu gwałtownie usiadła.

– To ty – ucieszyła się. – Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Usiądź przy mnie – zachęciła chłopaka, wskazując krzesło. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Filip usiadł, cały czas zastanawiając się, jak skierować rozmowę na interesujące go tematy. Tymczasem Olga, niezwykle uradowana nieoczekiwaną wizytą, przeszła od razu do rzeczy.

– Słuchaj, ja muszę stąd uciec. Oni mnie nigdy nie wypuszczą. Chcą, żebym przyznała się do choroby, faszeringują mnie lekami. To jest spisek, namówili się, że zrobią ze mnie wariatkę.

Chłopak był nieco przerażony rozwojem sytuacji. Nie wiedział, co robić, słuchał więc, siedząc sztywno. Olga zdawała się nie zauważać jego skrępowania i mówiła dalej:

– Moja matka zawsze miała mnie w nosie. Niby mówiła, że kocha, ale ja swoje wiedziałam. Kojarzyłam się jej z odejściem ojca i byłam tylko ciężarem. Chciała się mnie pozbyć i znalazła sposób. Nawet tu nie przychodzi, tylko jedzenie podaje przez pielęgniarki. Masz, poczęstuj się, ja i tak tego nie zjem.

Podawała Filipowi pomarańczę. Przyjął owoc z ulgą, bo obieranie go ze skórki pozwoliło mu się czymś zająć i nie patrzeć na Olgę.

– Potem był Gabor, zresztą ty go znasz, nie? No, to ten, co mnie kazał pilnować, wiesz?

– Nie wiedziałem, że ma na imię Gabor – burknął Filip.

– Ma. To jest bardzo zły człowiek, właściwie to samo zło bez odrobiny człowieka. Właśnie Gabor wymyślił, żeby mnie tu zamknąć. Nie chce, żebym spotykała się z Ananke. Pragnie, żebym była taka sama jak on, zła. Odwiedził mnie, gdy byłam tu pierwszy raz, i powiedział, że nie zrezygnuje. Dlatego muszę uciec. Daleko, gdzie mnie nie znajdą. A ty mi pomożesz.

– Dlaczego ja? – zaprotestował Filip, któremu to wszystko przestało się podobać. Zamiast szczegółów, które były mu potrzebne, słuchał głupot, a na dodatek ta kobieta chciała go

wciągnąć w swoje chore plany.

– Bo tylko tobie ufam. Czułam od początku, że jesteś dobry. Podarowałam ci obrazek, pamiętasz? Daję je tylko dobrym ludziom. Mam dar i wiem, kto jest dobry, a kto zły. Pomożesz mi?

– Błagalnie spojrzała na chłopaka.

– Nie – zdecydowanie odmówił Filip. Wstał z krzesła i schował do kieszeni pomarańczowe skórki. – Nie mogę.

Olga przez kilka sekund zastygła z rozchylonymi wargami, jakby słowa uwięzły jej w gardle. Gwałtownie zamknęła usta, a jej twarz natychmiast przybrała maskę spokoju.

– Kosz jest na korytarzu – powiedziała tylko i odwróciła się do ściany.

– Wizyta trwała tak krótko? – zapytała pielęgniarka ironicznie. – Co, znajoma nie jest rozmowna?

– Przeciwnie – odpowiedział Filip. – Do widzenia.

Zaraz za drzwiami przypalił papierosa. Był wściekły i zrezygnowany jednocześnie. Nie widział już dla siebie ratunku. Sam nie da rady wymyślić takich historii, zaraz poznają, że próbuje ich oszukać.

W drodze do domu kopał każdy napotkany kosz na śmieci. Nie znalazł się nikt, kto zwróciłby mu uwagę. *Boją się*, myślał Filip. *Ale żeby wiedzieli, jak ja się boję...*



Złość nie przeszła Filipowi ani tego dnia, ani następnego. Przeciwnie, rozrastała się w nim i czuł, że jeżeli jakoś jej nie rozładuje, to zostanie rozerwany na kawałki. Ręce same zaciskały mu się w pięści, szukał okazji, żeby wyrzucić z siebie choć trochę wściekłości. Jak na złość nie stanął mu na drodze żaden wagarujący małolat, nikt nie zaczepił go na ulicy, choćby pytając o papierosa czy godzinę. Krążył po osiedlu z taką miną, że nawet kumple omijali go z daleka. Było w nim coś takiego, co odstraszało nawet tych, którzy zazwyczaj nie bali się niczego.

Chłopak za wszystko obwiniął Olgę. To przez nią miał już

niedługo słuchać rozkazów kaprała idioty i spać w jednej sali z bandą śmierdzących potem rówieśników. A to tylko dlatego, że kobiecie, która była jego ostatnią szansą, zachciało się zwariować do tego stopnia, iż zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Zawiodła go i chociaż nie miała pojęcia o tym, czego od niej oczekiwał, powinna ponieść karę. Filip nie zawracał sobie głowy głębszym analizowaniem sytuacji. Nie miał tego w zwyczaju. Nauczył się reagować zgodnie ze swoimi chwilowymi odczuciami, dawno zaprzestał prób usprawiedliwiania czy tłumaczenia kogokolwiek. Nie znał pojęcia empatii, ba, nigdy nawet o czymś podobnym nie słyszał. Zresztą gdyby nawet ktoś mu o tym powiedział, to usłyszałby tylko ironiczny śmiech. Miałby wczuwać się w nastroje innych? A czy ktoś myśli o jego uczuciach? Filip uważał, że każdy powinien dbać o siebie, a jeśli inni chcą wyrządzić mu krzywdę – powinien walczyć.

Teraz jego walka się skończyła. Przegrał, a tego nie znosił. Przegranym pozostawała jedynie zemsta i z tego prawa postanowił skorzystać.

Odnalazł numer telefonu, wystukał go na klawiaturze telefonu i z satysfakcją poinformował swego rozmówcę o wizycie w szpitalu i jej przebiegu. Potem przez chwilę słuchał odpowiedzi, krótko potwierdził, że zrozumiał człowieka po drugiej stronie, i krótkim ruchem, jakby stawiał kropkę po zakończonym zdaniu, przycisnął klawisz z rysunkiem czerwonego telefonu.

Miał trochę czasu, więc zajrzał do matki. Znalazł ją w kuchni, gdzie z rękami ubielonymi mąką zagniatała ciasto, co rusz sięgając po stojący obok stolnicy kieliszek z winem.

– Jesteś, synku! – zaszczębiotała radośnie.

– Zaraz wychodzę. – Usiadł przy stole i sięgnął po karton z sokiem.

– Dobrze, dobrze – zgodziła się matka. – Tylko wróć na obiad. Ojciec dzwonił, że będzie wcześniej. Zrobię pierogi, takie jak lubicie. Cieszysz się?

– Jasne – mruknął bez entuzjazmu Filip.

– I nie pij z kartonu. – Pogroziła białym od mąki palcem. – Tyle lat cię wychowuję i bez skutku.

Chłopak miał dosyć. *Spadam stąd*, pomyślał. *Najwyżej poczekam chwilę.*

Nie musiał czekać. Z daleka zobaczył znajomy samochód. Kiedy podszedł, drzwi od strony pasażera się uchyliły. Filip zajął miejsce obok kierowcy i samochód ruszył.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Nieważne. Nie chcę, żeby ktoś mnie tutaj widział.

Milczeli przez całą drogę. Kierowca dociskał pedał gazu, chwilami balansując na granicy bezpieczeństwa. Za miastem skręcił z piskiem opon na pierwszy przydrożny parking. Wysiedli. Gabor wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, najpierw sam wyjął jednego i przypalił, dopiero potem podsunął paczkę chłopakowi.

– A więc chce uciec ze szpitala? – rozpoczął bez wstępów.

– Szczególnie od pana. – Filip uważnie obserwował reakcję rozmówcy.

– Nie rozumiem. – Gabor zmarszczył czoło. – Mieliśmy się pobrać.

– Wygląda, że to już nieaktualne.

Mężczyzna głęboko zaciągnął się dymem.

– Dlaczego zadzwoniłeś do mnie?

– Mówiła, że pan będzie chciał ją powstrzymać.

– I na tym ci zależy? Dlaczego?

– To moja sprawa.

– Czego chcesz za tę informację?

Chłopak wzruszył ramionami. Nie zastanawiał się nad tym, powodowany wyłącznie pragnieniem zemsty, ale jeżeli mężczyzna zaproponuje zapłatę, to nie odmówi.

– Zapłacę – Gabor odgadł, o czym myśli Filip – ale za pomoc Oldze w ucieczce.

– Ściemnia pan... – Chłopak był zaskoczony.

– Posłuchaj, nie lubię się zwierzać, ale kocham tę dziewczynę.

Nie chciałem, żeby znalazła się w szpitalu, a jeśli już, to nie w tym. Mam możliwości, znam wielu ludzi i mogę załatwić jej lepszą terapię. Pragnę, żeby wyzdrowiała jak najszybciej. – Rzucił papierosa i przydepnął niedopałek butem. – Jej matka się uparła, nie lubi mnie. Zabroniła mi odwiedzin, sam wiesz, że nikogo prócz niej nie chcą wpuszczać. Tylko ty możesz nam pomóc.

– Wcale nie chcę jej pomagać – wypalił Filip bez namysłu. Nie był zadowolony, że kolejny raz sytuacja rozwija się zupełnie inaczej, niżby sobie tego życzył.

– Za kwotę, którą dostaniesz, zechcesz – zapewnił Gabor. – Zresztą nie musisz mieć wyrzutów sumienia. Mam podejrzenia, że Olga wcale nie jest chora. Pamiętasz faceta, którego kiedyś miałeś znaleźć? To guru pewnej sekty. Upatrzyli sobie dziewczynę i zrobili jej pranie mózgu. Chcieli się dobrać do jej pieniędzy.

Słowa mężczyzny brzmiały sensownie. Dużo lepiej niż opowieść o aniele, którego nikt nie widzi. W podjęciu ostatecznej decyzji pomógł Filipowi plik banknotów, który pokazał mu Gabor. Z taką kasą nawet w wojsku musi być łatwiej.

– Dobra, wchodzę w to – zdecydował.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Chwileczkę... – Chłopak cofnął rękę, którą wyciągnął po pieniądze. – Zapłata dopiero po robocie.

– To co mam zrobić?

– Pójdiesz do niej i powiesz, że się zgadzasz. Tylko ani słowa o mnie, bo wiesz, że ten sekciarz naopowiadał jej bzdur. Umówicie się, ja dostarczę ci ciuchy dla niej. W umówionym dniu będę czekał na parkingu podziemnym w centrum handlowym. Przyrowadzisz ją tam pod jakimś pretekstem. Wtedy zapłacę, jasne?

– Naprawdę ją pan kocha? – zainteresował się Filip.

– Wątpisz? – Gabor spojrzał na niego, unosząc ostrzegawczo brew. – Czy facet, który nie kocha, chciałby brać na siebie opiekę nad kobietą, która zachowuje się tak jak Olga?

Nie czekał na odpowiedź. Wsiadł do samochodu, dając chłopakowi do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Wracali

w milczeniu. Wszystko zostało powiedziane.

„To jest bardzo zły człowiek, właściwie to samo zło bez odrobiny człowieka” – przypomniał sobie Filip słowa Olgi. *Baby są jednak głupie*, zdecydował. *Facet płaci kupę szmalu, żeby ją wyciągnąć z wariatkowa, a ona jednego dobrego słowa o nim nie powie.*

W domu zastał matkę śpiącą na kanapie. Miała rozmazany makijaż, widać było, że płakała. *Pewnie ojciec zadzwonił, że jednak nie wróci*, domyślił się.

Wyłączył telewizor i przeszedł do kuchni w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Wrócił w ostatniej chwili, akurat żeby wyłączyć gaz pod garnkiem, w którym rozgotowane pierogi zaczynały już przywierać do dna. Woda niemal całkiem wyparowała. Zrozumiał, że obiadu nie będzie, więc zrobił sobie kilka kanapek z żółtym serem, położył obok nich na talerzu dwa pomidory, pod pachę zabrał butelkę coli i z tym prowiantem poszedł do swojego pokoju.

Nie wiedział, co powinien myśleć o odbytej rozmowie. Kto miał rację? Ona czy on? Odgryzając olbrzymie kęsy, w miarę jak uczucie głodu słabło, dochodził do wniosku, że właściwie to nie jego sprawa. Zrobi to, czego chce facet, bo dobrze płaci. Nie ma nad czym się zastanawiać. Z tego mogą być tylko kłopoty.



W ciepłe słoneczne dni pacjentom szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych zezwalano na godzinny spacer po szpitalnym ogrodzie. Mogli chodzić swobodnie po betonowych alejkach, siedzieć na drewnianych ławkach, jednym słowem zażywać świeżego powietrza. Pilnowali ich pielęgniarka i młody salowy. Teoretycznie, bo pielęgniarki zazwyczaj korzystały z wolnej godziny i robiły zakupy w okolicznych sklepach, zostawiając pacjentów pod opieką chłopaka. Ten był niespecjalnie przejęty swoją rolą. Zajmował miejsce na ławce w pobliżu ogrodowej bramy i wystawiał twarz do słońca.

– Pracujesz tu?

Na dźwięk obcego głosu salowy otworzył oczy. Krótco zlustrował

chłopaka, który zajął miejsce obok niego. Wyglądało, że jest mniej więcej w jego wieku, nie wymagał więc specjalnego traktowania. Zamknął na powrót oczy, nie chcąc stracić ani jednej słonecznej chwili.

– A bo co? – zapytał.

– Tak pytam. Jesteś w fartuchu, a nie wyglądasz na lekarza.

– Odrabiam tu wojsko. Sprzątam, pilnuję czubków i takie tam...

– Wojsko?

– No, nie wiedziałeś, że tak można? Różnie mówią, ale ja tam wolę to niż tupanie i poligon.

Do Filipa powoli docierało to, co usłyszał. Informacja, której udzielił salowy, była równie bezcenna, jak te, po które naprawdę przyszedł.

– A nie boisz się, że któryś ci ucieknie?

– Spoko, ja za nich nie odpowiadam. Pielęgniarki łażą po sklepach, to jakby co, będzie na nie. Zresztą co mi mogą zrobić? Nic. Czy ja mogę ich wszystkich upilnować? Chowają się po krzakach, nie da rady nad nimi zapanować. Jak któryś będzie chciał uciec, to ucieknie, nic na to nie poradzę. A co ty się tak wypytujesz? Nudzisz się?

– Tak bez ściemy, to chciałem się spotkać ze znajomą. Jest tu, ale mnie do niej nie wpuszczają.

– To pewnie ta od aniołów, nie? – Chłopak z zainteresowaniem spojrzał na Filipa. – Bo reszta to same próchna, raczej nie towar dla ciebie. Ta to jeszcze ujdzie, dobrze się trzyma.

– To da radę?

– Jasne, żaden problem. Jakby co, to ja niczego nie widziałem. Opalam się. – Mrugnął porozumiewawczo do Filipa i spojrzał na zegarek. – Masz piętnaście minut, potem zbieram świry. A, i nie przesadz z tymi amatorami, żeby ktoś mnie potem o molestowanie pacjentek nie posądził. To karalne.

– Spoko, luz. – Filip uniósł rękę w pożegnalnym geście.

Ruszył alejką w poszukiwaniu Olgi. Znalazł ją na ławeczce, za krzakiem bzu. Nie zdziwiła się na jego widok. Przysiadł obok niej,

nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Wybawiła go z kłopotliwej sytuacji.

– Masz papierosy? Mama mi nie przyniosła pieniędzy, a tutaj nie ma takich, co poczęstują. Oddam ci, jak wyjdę.

– Nie musisz.

Przez chwilę palili w milczeniu.

– Wiedziałaś, że wrócisz – stwierdziła z taką pewnością, że zdenerwowało to Filipa.

– Niby skąd mogłaś wiedzieć?

– Mówiłam ci. Mam dar. Wiem, czego się można spodziewać po ludziach.

Akurat, pomyślał chłopak. Gówno wiesz. Gdyby nie kasa twojego faceta, to moja noga by tu nie powstała. Twój dar to zwyczajne świrowanie, tak jak ten anioł z sekty.

Nie podzielił się z Olgą swoimi myślami, ale ona chyba wyczuła jego wątpliwości.

– Nie wierzysz mi? Mogę ci powiedzieć, że kiedy byłeś u mnie ostatnim razem i wcześniej, w parku, miałeś duży problem. Dręczyłeś się. Pamiętasz, mówiłam ci o tym.

– Fakt – przyznał.

– No, a teraz już go nie masz. Znalazłeś rozwiązanie. Zgadza się? Zgadzało się. Filip musiał to przyznać. *Może widać po mnie, kiedy jestem zły, kiedy nie? To żaden dowód na rzekomy dar.*

Nie miał ochoty na rozmowę o sobie. Przyszedł do niej w konkretnej sprawie i chciał ją jak najszybciej załatwić.

– Pomogę ci stąd uciec.

Z radości aż podskoczyła. Jej zmiany nastroju ciągle zaskakiwały Filipa. W jednej sekundzie mogła płakać albo się złościć, a w następnej cieszyć jak dziecko. *Czy ja mógłbym pracować w miejscu pełnym takich ludzi? – zastanawiał się. Za jedną trudno nadążyć, a co dopiero z wieloma. Co prawda koleś nie wydawał się przemęczony czy niezadowolony... Zaczął analizować rozmowę sprzed chwili. Do rzeczywistości przywróciło go pytanie Olgi.*

– Masz jakiś plan?

– Najprościej byłoby nawiać. Nikt cię właściwie nie pilnuje, rozmawiałem z jednym gościem, który tam siedzi przy bramie, i mówił, że nie zauważą, że kogoś brakuje, przed powrotem na oddział. Mielibyśmy prawie godzinę, a w godzinę to będziemy daleko. Mam znajomego z samochodem, jak zapłacisz, to zawiezie cię, gdzie zechcesz. Tylko kasa musi być z góry.

Nie widział powodu, żeby nie zarobić dodatkowych pieniędzy, jeśli była okazja. Na biedną nie trafiło.

– Dobrze, poproszę mamę, przyniesie. Coś wymyślę.

– Okej, będę tutaj za dwa dni. Jeśli będzie padało, to będę czekał każdego następnego dnia, aż was wypuszczą na spacer. Zapamiętasz?

– Nie wiem, jak mam ci dziękować, naprawdę! – Olga ucałowała chłopaka w oba policzki. Odsunął się, bo nie w smak mu były podobne czułości.

– Dosyć tych pieszczot – usłyszał i zza krzaków wyszedł salowy z porozumiewawczym uśmiechem na twarzy. – Wracamy na oddział. A ty spadaj już, bo pielęgniarka wróciła. Zła jakaś, będzie się czepiała o byle co. Jak cię zobaczy, to zbiorę opierdół.

– Spoko, już mnie nie ma. – Filip wymienił uścisk dłoni z chłopakiem i pobiegł w kierunku siatki otaczającej ogród. Jednym skokiem przesadził ogrodzenie i zniknął wśród samochodów. Nie podobało mu się, że został posądzony o związek z Olgą, ale nie protestował, bo to mogło mu ułatwić realizację planu. Salowy nie będzie sprawiał kłopotu, widząc go po raz drugi.

Tymczasem Olga wraz z pozostałymi pacjentami wracała na oddział. Wchodziła po schodach powoli, dostosowując się do tempa grupy, ale rozpierała ją energia i miała ochotę krzyczeć z radości. Za kilka dni już jej tu nie będzie. Tym razem wyjedzie gdzieś daleko i nikt jej nie odnajdzie. Zacznie nowe życie, swoje własne, nie według wyobrażeń matki czy Gabora. Wtedy wezwie Ananke.

– Dzień dobry, panie ordynatorze. – Wesoło pomachała do

lekarza stojącego w drzwiach gabinetu.

Lekarz nie krył zdumienia.

– Dzień dobry – odpowiedział odruchowo i wycofał się do gabinetu.

Olga stłumiła chichot. Nikt nie powinien się domyślić, że cokolwiek się zmieniło. I tak już zachowała się zbyt spontanicznie.



Nie sądził, że wszystko pójdzie tak gładko. Obawiał się komplikacji, do ostatniej chwili wahał się, czy warto ryzykować. Jeżeli ich złapią, to zamiast do wojska może trafić za kratki, a ta alternatywa nie wydawała mu się atrakcyjna. Zadzwoił jednak do Gabora, informując go o szczegółach. Ustalili miejsce spotkania.

Olga czekała na tej samej ławce. Miejsce było bardzo dobre, zasłaniało ich przed wzrokiem innych, co gwarantowało, że nikt nie zauważy ucieczki aż do czasu zakończenia spaceru. Patrząc, jak sprawnie przechodzi przez ogrodzenie, Filip zastanawiał się, po co właściwie była jej jego obecność. Z powodzeniem mogła to zrobić sama. Zapytał więc o to.

– Może potrzebowałam wsparcia psychicznego – zastanawiała się głośno. – A może czułam, że jesteś mi w jakiś sposób niezbędny?

– Dokąd uciekniesz?

– Nie myślałam jeszcze o tym. A może – odwróciła się w jego stronę – pojedziesz ze mną? We dwoje bezpieczniej, a z tego co wiem, nic cię tu nie trzyma.

– Chciałabyś ze mną jechać?

Widząc zdumienie chłopaka, Olga się roześmiała.

– Nie w tym sensie, o jakim myślisz. Jako przyjaciel po prostu.

– Przyjaciel? – Po raz pierwszy ktoś nazwał go swoim przyjacielem. Owszem, miał kumpli, ale ich lojalność była ograniczona. Filip wiedział o tym. Nie nazywali się przyjaciółmi, bo przyjaciel to ktoś więcej, ktoś gotowy do poświęceń dla drugiego. A w ich relacjach o poświęceniu nie było mowy. Każdy odpowiadał tylko za siebie. Razem się bawili, przesiadywali na osiedlowych

ławkach i mogli liczyć na pomoc, ale tylko jeśli nie oznaczała ona kłopotów pomagającego.

Tymczasem ta kobieta nazywa go przyjacielem.

– Nie jestem twoim przyjacielem... – Chciał od razu wyjaśnić sytuację, ale przerwała mu.

– Ja sądzę inaczej. Pomagasz mi, jesteś przy mnie w trudnej chwili, a ja ci ufam. Tak właśnie jest między przyjaciółmi, chyba nie zaprzeczysz?

Nie zaprzeczył, ale poczuł się głupio.

– Nie stójmy tu, bo jeszcze ktoś nas zobaczy. – Pociągnął Olgę za sobą i ruszył szybkim krokiem. – Kumpel z samochodem czeka na podziemnym parkingu.

– A, pieniądze – przypomniała sobie Olga i znowu przystanęła, żeby wyciągnąć z kieszeni banknoty.

– Później, nie ma czasu. – Filip unikał jej wzroku.

Nie wiedział, co zrobić. Prowadził ją wprost do tego, od którego chciała uciec. Na dodatek miała mu jeszcze za to zapłacić. Coś w głębi duszy podpowiadało mu, że nie robi dobrze. Zacisnął zęby. *Trudno, pomyślał, to biznes, a nie sentymenty. Nic jej nie jestem winien.*

Przed centrum handlowym odnalazł bar szybkiej obsługi, którego szyby były tak oklejone plakatami reklamowymi, że nikt z ulicy nie mógł zajrzeć do środka i zobaczyć, kto w nim siedzi. Nakazał Oldze, żeby poczekała, a sam poszedł sprawdzić, czy Gabor jest już na umówionym miejscu.

Samochód stał tam, gdzie się umówili. Już miał podejść, kiedy z auta wysiedli Gabor i nieznana chłopakowi kobieta. Niezwykle atrakcyjna kobieta. Stukając szpilkami, obeszła samochód dookoła i zarzuciła mężczyźnie ręce na szyję. Filip nie miał wątpliwości, że tę parę łączy coś więcej niż zwykła znajomość. Gdyby jeszcze jakieś miał, to z pewnością rozwałby je widok namiętnego pocałunku, którego był świadkiem.

Para trwała w uścisku jeszcze chwilę, nieświadoma, że jest obserwowana. Wreszcie mężczyzna odsunął się, spojrzał na

zegarek i powiedział coś do kobiety. Ta pokiwała głową na znak, że rozumie, i odeszła, poruszając biodrami w taki sposób, że żaden mężczyzna nie mógł pozostać obojętny. Po przejściu kilku kroków odwróciła się i wystudiowanym gestem gwiazdy filmowej posłała Gaborowi pocałunek. Mężczyzna udał, że łapie go, i przyłożył zaciśniętą pięść do serca.

Filip stał przez chwilę skryty za betonowym filarem. W głowie miał mętlik. Oddychał szybko, nerwowo, serce biło mu tak, jakby przebiegł długi dystans. „To jest bardzo zły człowiek, właściwie to samo zło bez odrobiny człowieka” – po raz kolejny powróciły do niego słowa Olgi.

Do baru wracał, nie wiedząc jeszcze, co robi. Wszedł do środka, potrącając wychodzącego mężczyznę. Olga siedziała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, a przed nią na stoliku stała nieruszona kawa. Spokojnie czekała na Filipa, ufna, pewna jego przyjaźni.

Kiedy podszedł, natychmiast wstała.

– Wszystko w porządku? Masz taką dziwną minę. Chcesz te pieniądze?

– Siadaj – powiedział ostro.

– Nie idziemy? – Niczego nie rozumiała. – Nie przyjechał?

Filip westchnął. To była ta chwila, w której musiał podjąć decyzję.

– Posłuchaj i nie przerywaj. Pomogłem ci uciec nie dlatego, że jestem twoim przyjacielem. Zrobiłem to, bo Gabor miał mi zapłacić. Kazał cię przyprowadzić na ten parking. – Widział przerażenie w oczach Olgi, ale mówił dalej. – Powtarzał, że cię kocha, że załatwi dobrych lekarzy i jeszcze coś o sekcje, która chciała cię wykorzystać... – Chciał się jakoś usprawiedliwić, żeby nie wypaść w oczach tej kobiety jak ostatni drań.

– I uwierzyłeś mu?

– Tak.

– On czeka?

– Czeka.

– Dlaczego mi to mówisz? Dlaczego mnie ostrzegasz?
– Bo on tam był z inną kobietą. A to znaczy, że kłamał.
– Więc jednak jesteś moim przyjacielem.
– Gówno prawda! – Chłopak zdenerwował się naprawdę. Miał po dziurki w nosie tej wariatki, Gabora i historii, w którą został wplątany. – Interesowałem się tobą tylko dlatego, że chciałem udawać świra, żeby nie iść do wojska. Miałem robić to, co ty, żeby uwierzyli. Nic mnie poza tym nie obchodzisz. A dla Gabora pracowałem dla pieniędzy i tyle. Zwisacie mi, nawet forszę mam gdzieś, bo już wiem, jak się wymigać od wojska. Sami sobie radźcie, ja odbijam.

Wstał od stolika, ale Olga złapała go za rękę.

– Naprawdę tak czujesz czy tylko mówisz to, żeby się mnie pozbyć?

– Ty nie rozumiesz po polsku? Nie obchodzisz mnie. Co ty myślałaś, że z tobą pojedę? Naprawdę jesteś wariatką, serio!

Olga została sama. Wpatrywała się w poplamiony keczupem i musztardą stolik. Kawa wystygła i miała ohydny smak. Gorzki jak poczucie pomyłki, wielkiej pomyłki, którą popełniła. Jak smak zawodu, kolejnego zawodu.

Machinalnie sięgnęła po chusteczkę i dokładnie wytarła blat. Teraz lśnił plastikowym blaskiem. Jak łatwo było to zrobić, jakie to było proste. Brudny to brudny, czysty to czysty. Z ludźmi bywa inaczej. Filip wydawał się dobry, a okazał się zły. A jeżeli inni, których uznawała za dobrych, też byli tacy jak ten chłopak?

Nie mogła dłużej siedzieć w barze. Stojąca za ladą kobieta patrzyła podejrzliwie. Olga nie chciała być zapamiętana. Nie po to uciekała, żeby teraz dać się łatwo złapać. Jedyne, co może teraz zrobić, to poszukać bezpiecznego miejsca, w którym będzie mogła się zastanowić, co robić dalej.

Wychodząc, zabrała ze stolika kubek, który następnie wyrzuciła do kosza ustawionego przy drzwiach, co spotkało się z pełnym aprobaty spojrzeniem sprzedawczyni. *Wreszcie normalny człowiek, pomyślała, a nie świnia. Posprzątać po sobie potrafi.* I wprawnym

ruchem ścierki trzymanej w ręku uśmierciła muchę chodzącą po kontuarze w poszukiwaniu resztek. Zmiotła owadziego trupa na podłogę i szorstko zwróciła się do kolejnego klienta:

– Co dla pana?



Gabor niecierpliwie chodził wzdłuż samochodu. Co chwila patrzył na zegarek. Minęło ponad czterdzieści minut od umówionej godziny, a nie pojawili się ani chłopak, ani tym bardziej Olga.

Nerwowo potrząsnął ręką i przyłożył zegarek do ucha. Czyżby się spieszył? Zapłacił za niego majątek, bo lubił widzieć zazdrosne spojrzenia innych mężczyzn. Niemożliwe, żeby zawodził akurat teraz, w tak ważnej chwili. Misternie uknuty plan miał szanse na realizację tylko wtedy, jeżeli będzie miał dziewczynę przed piętnastą, do której brakowało zaledwie kwadransa. Sięgnął do samochodu przez uchyloną szybę, wyjął telefon i wystukał numer chłopaka. Nie odbierał.

Co się mogło stać? Pogoda była piękna, więc nie to było przyczyną. Pacjenci na pewno wyszli do ogrodu. *Mógłby ten gówniarz wysilić trochę mózg i zadzwonić*, myślał zdenerwowany.

Dzwonek telefonu zabrzmiał jak na żądanie.

– Przepraszam, że cię niepokoję, ale nie wiem, co robić. – W słuchawce usłyszał płaczący głos Marianny. – Wiem, że Olga nic już cię nie obchodzi, ale muszę zapytać...

– O co chodzi? – Gabor i bez płaczu Marianny był wystarczająco wytrącony z równowagi. Nie miał chęci na babskie histerie.

– Ona uciekła ze szpitala, dzwonili przed chwilą. Chciałam ci powiedzieć, bo może będzie cię szukała.

– Wątpię.

– Przeszkadzam ci? Jesteś jakiś dziwny.

– Tak, jestem zajęty. Nie mogę dłużej z panią rozmawiać.

Nie czekając na pożegnanie i samemu nie mówiąc „do widzenia”, rozłączył się. A więc uciekła! Dlaczego więc ten gówniarz nie przyprowadził jej na parking? Nie wyglądał na takiego, który da

się otumanić bajeczkami o aniołkach. Ci, których wychowuje osiedle, szybko dorastają i przestają wierzyć w bajki. Wierzą za to w pieniądze. A tych przecież Gabor nie żałował. Za niewielką przysługę oferował tyle, ile z pewnością chłopak nie byłby w stanie ukraść przez kilka lat. Był pewien, że ma go po swojej stronie.

Gabor wiedział, że dalsze czekanie nie ma sensu. Wsiadł do samochodu, a dojazd na osiedle zajął mu zaledwie kilka minut. Objechał kilkakrotnie wszystkie uliczki, gówniarza nigdzie nie było. Wreszcie zatrzymał się przy grupce chłopaków podpierających plecami ścianę jednego z bloków. Odkręcił szybę i zapytał:

– Znacie chłopaka, który chodzi w kurtce z kapturem i spodniach z krokiem w kolanach?

Odpowiedział mu rechot z kilku gardeł.

– Mnie pan szuka? – zapytał jeden.

– A może mnie?

Gabor zorientował się, że wszyscy są ubrani podobnie. Zaklął w myślach, ale nie okazał złości. Zachował kamienną twarz i podał najbliższemu stojącemu sto złotych i karteczkę.

– Tu jest mój numer telefonu. Jakbyście się domyślili, kogo szukam, i wiedzieli, gdzie jest, zadzwońcie. Dla pierwszego drugie tyle.

Wiedział, że nie będzie czekał długo. Za kilka godzin dowie się, gdzie jest ten szczeniak. Kiedy w grę wchodziły pieniądze, koleżeństwo się nie liczyło. Któryś z nich pęknie. Nawet jeżeli znalazł się jeden, który zrezygnował z pieniędzy, to z pewnością jest tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę. Drugi taki się nie zdarzy.

Nie popuszczę, zimno kalkulował Gabor. Mnie się tak łatwo nie oszukuje. Nie ucieknie przede mną, choćby się schował w mysiej dziurze. Dorwę prędzej czy później. Swoją drogą to ciekawe, jak go przekonała? Bo chyba nie w typowy babski sposób? Wtedy byłaby moja. Muszę to sprawdzić.

Elegancki czarny samochód przemknął przez przejście dla

pieszych. Wystraszona staruszka ledwie zdążyła cofnąć się na chodnik. Zza przyciemnionej szyby usłyszała szydery śmiech.

– Ty diable! – Pogroziła laską w kierunku samochodu.



Olga szła bez celu. Nie potrafiła myśleć o schronieniu czy noclegu. Głowę wypełniały jej wątpliwości, a w ustach czuła gorzki smak rozczarowania. Nie cieszyły jej już słońce, wolność, którą wreszcie odzyskała. Ucieczka wydawała się bezsensowna, bo wątpliwy stał się cel, dla którego to zrobiła.

Jak bardzo się pomyliła! A może to nie pierwszy raz? Co, jeżeli każde z odczuć było mylne? Albo choćby niektóre? W jaki sposób miała odróżnić, kiedy ma rację, a kiedy nie?

Otrzymałam dar, ale nie wiem, jak z niego korzystać, myślała rozżalona. To tak, jakbym dostała bardzo skomplikowane urządzenie bez instrukcji obsługi. Nie można się domyślić wszystkiego samemu, jeśli nie jest się fachowcem, a metoda prób i błędów często przynosi więcej szkody niż pożytku. Jak on mógł! Cały żal skierowała na Ananke. Przecież doskonale wiedział, że nie jestem specjalistką od ludzkich dusz. Nie jestem nawet jeszcze aniołem. Dobrze wiedział, że to zbyt wcześnie, sam to powiedział.

Pokonywała kolejne metry, ale pochłonięta swoimi myślami, nie czuła zmęczenia. Mijały ją setki samochodów, ludzie wracali z pracy do domów, zmęczeni upałem i korkami, nikogo nie zainteresowała samotna postać na poboczu. Tylko jeden kierowca zwolnił i zapytał:

– Może dokądś panią podwieźć?

Odmówiła, chociaż wyczuwała w nim życzliwość. Tyle że teraz nie wierzyła już w to, co czuje. Poza tym nie wiedziała, dokąd mogłaby pojechać.

A może nie mam żadnego daru? – zastanawiała się. Może rzeczywiście uroiłam sobie, że jestem wybrana?

Ile razy można wątpić? Nie powinna przecież już się wahać. To prawda, że zawiodła się na chłopaku, ale patrzyła na jego

postępowanie przez pryzmat własnych pragnień. Anioł tak nie postępuje. Poza tym Filip mógł robić to, co sam uznał za stosowne. Jak każdy, miał wolną wolę i nie powinna się wtrącać do jego decyzji. Ileż to razy Ananke zawiódł się na niej? Ile trwało, zanim uwierzyła? Nie mogła więc wymagać od chłopaka, żeby natychmiast zrozumiał, że Olga mówi prawdę.

Była tak zamyślona, że mało brakło, a uderzyłaby głową w betonową ścianę. Rozejrzała się, żeby zidentyfikować przeszkodę. Pobocze kończyło się w tym miejscu, a ulica nikła w mrokach tunelu. Nie zastanawiając się, zrobiła krok w lewo i weszła w ciemność. Było tu chłodno i przyjemnie. Samochody śmigają bardzo blisko, zostawiając na twarzy podmuchy powietrza. Nie zrobiła więcej niż kilkanaście kroków, gdy zauważyła wgłębienie w ścianie tunelu. Nasunęło jej miłe skojarzenie z bezpiecznym kątem szpitalnego korytarza.

Tu nikt mnie nie zauważy, pomyślała. Nie przyjdzie im do głowy szukać mnie tutaj.

Wnęki rozmieszczone były regularnie wzdłuż całego tunelu, a w każdej z nich umieszczona była świetlówka. Olga rozejrzała się i podniosła leżący przy ścianie kawałek betonu. Rzuciła nim w świetlówkę, która rozprysła się i zgasła. Dziewczyna zgarnęła resztki szkła z betonowej półeczki i usiadła. Nareszcie czuła się bezpiecznie. Patrzyła na światła samochodów, które najpierw przybliżały się, a potem oddalały. Ogarnął ja spokój, jakiego nie doznała od dawna.



V

Straciła poczucie czasu, nie wiedziała, jak długo już siedzi w bezpiecznej ciemności. Czy jest jeszcze dzień? A może nadszedł wieczór? Tunel otaczał ją ze wszystkich stron, otulał mrokiem i chłodem. Mogła całkowicie poświęcić się odczuwaniu własnego ciała. Odnotowywała każdy miesiąc, krew przepływającą przez żyły ciepłymi strużkami. Zginała i prostowała każdy palec u rąk, chcąc sprawdzić, czy stawy działają bez zarzutu. Nie spieszyła się, miała czas. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu ma wystarczająco dużo czasu, żeby poznać samą siebie. Nie własne myśli czy charakter, ale zewnętrzną powłokę, która je skrywa. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale przecież ciało nie było niczym innym jak ograniczeniem. Miało kształt, którego wszak sama nie wybrała – został jej narzucony w chwili narodzin – a który nie pozwalał jej robić wielu rzeczy. Nie mogła latać, zbyt długo pływać, nie wspominając o nurkowaniu na przykład. Nie konsultowano się z nią w sprawie jej cielesnej powłoki, nikt nie zapytał, czy chce być człowiekiem, czy może rybą lub kotem. Ograniczono jej wolność wyboru.

Czy zewnętrzna powłoka musiała istnieć? Po co była potrzebna? Nakazywano przykrywać ją ubraniami, pielęgnować i utrzymywać w czystości. Mimo to była nietrwała, zużywała się każdego dnia, aż wreszcie stawała się niezdatna do użytku. Nie słyszała jeszcze, żeby ktoś czuł się stary wewnątrz. To, że musiał odejść, spowodowane było zużyciem ciała, a nie duszy. Ona także nigdy nie zastanawiała się nad wiekiem własnych myśli, nie oceniała, czy są młode, czy stare, były po prostu jej. Nad tym, że kiedyś będzie musiała odejść, rozmyślała wyłącznie wtedy, kiedy patrzyła w lustro. To ogląd ciała zmuszał do tego, świadomość, że kiedy ten futerał na duszę się zużyje, przestanie istnieć.

Jakim prawem i kto uwięził ją w opakowaniu? Czy nie czułaby

się bez niego dużo lepiej? A inni ludzie? Ileż trosk i zmartwień przysparza nam ciało. Drżymy za każdym razem, kiedy coś zawodzi w tej maszynerii, bo wiemy, że bez niej nie istniejemy.

Jesteśmy oceniani i oceniamy innych, patrząc na ciało, jego kształt, symetrię, całość i poszczególne części. Dokładnie tak samo wybieramy samochód, meble, naczynia. Traktujemy się wzajemnie jak rzeczy. Zwodzi nas chęć posiadania, chcemy wierzyć, że otaczając się trwałymi, pięknymi przedmiotami, dodajemy trwałości i piękna opakowaniu swojej duszy.

A gdyby nie było „obudowy duszy”? Swobodne istnienia mogłyby robić wiele więcej, rozrastać się i rozwijać bez ograniczeń, osiągać wielkość dotąd niedostępną. Zyskalibyśmy czas, który tracimy na zapewnienie ciała jak najdłuższej trwałości. Fakt istnienia ciała skłaniał do popełniania czynów wbrew sobie, ale niezbędnych z punktu widzenia ziemskiego istnienia. Wspominała dotychczasowe życie, analizując, jak dużą jego część poświęcała zewnętrznej powłoce. Bez wątpienia znaczną. Czy nowa szminka potrzebna była jej duszy? A krem liftingujący? Dwa popołudnia w tygodniu spędzała w siłowni, gdzie z mozołem pracowała nad płaskim brzuchem i kondycją, mając przy tym świadomość, że utrata energii i zmęczenie jednocześnie skracają czas, w którym będzie się mogła cieszyć efektami ćwiczeń.

Ciągła konieczność podejmowania decyzji i dokonywania wyborów związanych z ciałem męczyła. Działania te odbywały się kosztem jej samej, tej prawdziwej, zamkniętej w środku. Blokowała radość z ulubionej czekolady, zmuszała do zjadania tego, co miało pomóc ciału, ale nie cieszyło. Niby drobiazgi, ale przecież z nich składa się życie.

Poza tymi drobnostkami było też coś dużo ważniejszego. Umieszczenie ludzkich istnień w cielesnych powłokach musiało mieć przyczynę i cel. Próbowwała podzielić się swoimi przemyśleniami z innymi, ale jej nie słuchali. Właśnie dlatego potłukła lustro. Nadmierne identyfikowanie własnego „ja” z lustrzanym odbiciem powodowało większość ludzkich nieszczęść

i nieporozumień. Dopóki chcemy poznać siebie, posługując się lustrem jako narzędziem, dopóty nie poznamy prawdy. Lustra są złe, stworzone, żeby mylić i zwodzić, skłonić nas do uwierzenia w pozory, zniechęcić do dalszego szukania lub spowodować, że pierwsze zadowolenie uznamy za wystarczające.

Ja także nie chciałam uwierzyć, bo patrzyłam tylko na ciało, myślała. Nie rozumiałam, że w płaskiej powierzchni luster nie da się zobaczyć głębi. Przez prawie trzydzieści lat tkwiłam w kokonie, który otrzymałam, nie prosząc o niego, i który – nieświadoma prawdy – budowałam wokół siebie sama i przy pomocy innych: matki, nauczycieli, znajomych. Dopiero Ananke zdołał zrobić na twardej powłoce rysę i dotknął wrażliwego wnętrza; odnalazł prawdziwą mnie, ożywił, spowodował, że wreszcie zamiast kolejnej warstwy kokonu zaczęło rosnać to, co kokon otulał. Pomógł mi zrozumieć, że jedyną naprawdę żyjącą częścią mnie są myśli i uczucia, a reszta to jedynie maszyna, której zmuszona jestem używać, bo inaczej nie będę istnieć dla innych.

Skoro ludzie mogli kiedyś funkcjonować bez czajników, samochodów i zegarków, to może jeszcze dawniej funkcjonowali bez ciał? Tworzy się sztuczne kończyny, oczy, nawet serca. Wszystko niby po to, żeby przedłużyć ludzkie życie. Tylko zapomina się o tym, że cała ta praca służy opakowaniu, a nie temu, co w nim jest. Czy naprawdę tak zagalopowaliśmy się w trosce o worek kości, mięśni i narządów, że zupełnie zapomnieliśmy o tym, co naprawdę ważne?

Olga znieruchomiała, jakby porażona tym, co odkryła. Znalazła przyczynę! Aby dotrzeć do tej jednej, najważniejszej myśli, musiało być tyle wcześniejszych, które były tworzywem dla powstania ostatecznego zrozumienia. Sekunda, błysk w głowie, pozornie nagły, ale rozjaśniający wszystko, dający zrozumienie. Wiedziała, po prostu wiedziała. Zrozumiała, tak po prostu.

Nie miała wątpliwości, że nadeszła długo oczekiwana chwila. Była pewna, że właśnie o tym mówił Ananke. Miał rację, nie wystarczy wierzyć, trzeba być pewnym. I nie chodzi wcale

o pewność racjonalną, ale o ten rodzaj przekonania, który wypływa z wnętrza. Ona właśnie je zyskała.

Dar, który otrzymała, był prawdziwy. Jednak ludzie nie potrafią się wyzwolić z ograniczeń, jakie narzucają im ciało i dodatkowa, niewidzialna powłoka, którą tworzą wokół siebie. To dlatego postępują niezgodnie z tym, co podpowiada im prawdziwe „ja”. Przez przekonanie, że istnienie bez ciała jest niemożliwe, wybierają zło, chcąc maksymalnie wykorzystać jedyny, ich zdaniem, dany czas. Chcą skorzystać jak najwięcej, zanim opakowanie się zużyje, i gotowi są poświęcić dla tego celu duszę.

Zrozumiała, o co toczy się gra; o ludzkie dusze, o to, żeby o nich nie zapomniano. A ona została wybrana, żeby przypominać. Uświadomić ludziom, że mogą trwać wiecznie, że ciało jest im dane tylko na pewien czas, że to nie prezent, ale niewola. Od nas samych zależy, czy zdołamy się rozwinąć na tyle, żeby wtedy, gdy odzyskamy wolność, móc w pełni z niej skorzystać. Jeśli przegramy, nasze dusze znajdą się poza rozpadającymi się ciałami niezdolne do samodzielnego istnienia, pozbawione możliwości, obumarłe, zaniedbane, brzydkie... Ona miała temu zapobiec. To wielkie zadanie, ale wiedziała, że jest już gotowa je podjąć.

Nadszedł czas, żeby wezwać Ananke. Roześmiała się głośno. Olśnienie, którego doznała, dodało jej energii. Wstała i wyszła wprost na środek ulicy. Kierowcy zauważali ją w ostatniej chwili i trąbili głośno. Olga nie zwracała na nich uwagi. Nie bała się, że któryś ją potrąci, wiedziała, że pozostanie sobą zawsze, na wieczność.

– Ananke! – krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła, przykładając rękę do ust. – Ananke, przyjdź! Wzywam cię! Już wiem!

Echo niosło jej słowa w głąb tunelu, do jego wylotu, gdzie wydobywszy się na wolność, rozplywały się w powietrzu i milkły.

Powtórzyła wołanie kilkakrotnie i wróciła do niszy. Teraz pozostało już tylko czekać. Ananke przyjdzie, nie miała wątpliwości. Właściwie nie musiała krzyczeć. Myśl dotrze do niego tak samo szybko jak głos. A on pojawi się najszybciej, jak będzie

mógł. Krzyczała dla siebie, żeby uwolnić radość, szczęście i nową siłę. Może od tego krzyku jeszcze bardziej popęka znienawidzony kokon? Potem łatwiej będzie całkiem z niego wyjść.



Musiała zasnąć na chwilę, bo nie zauważyła, kiedy i skąd nadszedł. Zbudził ją delikatnym dotknięciem w ramię.

– Witaj, Olga. Wzywałaś mnie, więc jestem.

– Ananke... – Nie całkiem rozbudzona, jakby nie wierząc w jego obecność, Olga dotknęła jego policzka. – Wiedziałam, że przyjdiesz.

Anioł uśmiechnął się, a ona poczuła, że najbardziej brakowało jej właśnie tego uśmiechu. Szczerego, dobrego uśmiechu. Nie ironicznego czy wymuszonego, nie uśmiechu z grzeczności, ale naturalnego. Po prostu uśmiechu.

– Wiem wszystko. I rozumiem. – Nie musiała niczego wyjaśniać.

– To dobrze. Wierzyłem w ciebie. Nie było łatwo?

– Nie było. Ale teraz już będzie.

– Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

– Co zamierzasz?

– Mówić ludziom prawdę.

– A jeśli nie zechcą słuchać? Trudne zadanie sobie postawiłaś.

– Przecież sam mówiłaś, że do tego zostałam wybrana, że mam do wypełnienia ważną misję. Wypełnię ją więc najlepiej, jak potrafię.

– Nie wątpię w ciebie. – Tym razem uśmiech Ananke był pełen smutku. – Nie jestem tylko pewien, czy ludzie są gotowi.

– Bo nie są. I nigdy nie będą. Przynajmniej niektórzy.

Siedzieli ramię w ramię w niszy muru. Anioł i dziewczyna. Rozumieli się bez słów. Samochody pędziły, raz po raz oświetlając ich twarze. Reflektory rzucały podłużne snopy światła na ściany tunelu.

– Chciałabym tu zostać na zawsze.

– Nie zmuszam cię do niczego.
– Wiem. Miałeś tylko mi pomóc i wykonałeś swoje zadanie. Dalej będę działała sama.

Ananke położył dłoń na dłoni Olgi.

– Ostateczna przemiana jeszcze się nie dokonała. Nadal będę przy tobie, chyba że nie będziesz sobie tego życzyła. Wtedy będę cię chronił z daleka.

– Czuję, że to już nie potrwa długo.

Znów milczeli przez chwilę. Każde z nich znało prawdę, ale żadne nie znało zakończenia.

– Co zamierzasz?

– Mówiłam już, chcę głosić prawdę.

– Nie zdołasz porozmawiać z każdym. Nie z każdym będziesz w stanie rozmawiać, o tym już wiesz.

– Tak... Czasem się zastanawiałam, czy twój dar to szczęście, czy przekleństwo.

– Jedno i drugie, a zarazem żadne z nich. To jedynie narzędzie, od nas zależy, jak je wykorzystujemy.

Ananke spojrział na Olgę z troską.

– Nadal cię szukają.

– Domyślam się.

– Będziesz bezpieczna, dopiero kiedy dokona się przemiana. Do tego czasu musisz być bardzo ostrożna.

– Obiecuję uważać, nie martw się. – Olga nie chciała się przyznać, że obawia się wyjścia z tunelu. Będzie jak ścigane zwierzę, które nie może pozwolić sobie nawet na chwilę wytchnienia, nie może stracić czujności. – Postaram się zrobić jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Mam nawet pewien pomysł.

Nie chciała o tym opowiadać, postanowiła, że pokaże mu po prostu, co będzie robiła. Wymyśliła, w jaki sposób można szybko porozmawiać z większą liczbą osób, jak zwrócić ich uwagę, zainteresować i skłonić do chwili zastanowienia.

Ujęła dłoń Ananke i zmusiła go, żeby wstał. Zrozumiał jej intencje i bez oporu poszedł za nią. Po wyjściu z tunelu anioł

przyspieszył kroku i zrównał się z Olgą. Szli obok siebie, ich ramiona się stykały. Wschodzące słońce oświetlało promieniami ich plecy, a rzucane przez nich cienie wyglądały jak jedna istota o dwóch głowach.

– Patrz! – ucieszyła się Olga. – Wyglądamy, jakbyśmy byli zrośnięci.

– Bo jesteśmy, w pewnym sensie.

– Ale głowy mamy dwie.

– To dobrze czy źle?

– Ludzie mówią, że co dwie głowy, to nie jedna.

Roześmiali się głośno. Olga nigdy nie była tak szczęśliwa. Radość wydawała jej się naturalnym stanem, a nie jak dotąd chwilą, która zaraz przeminie. Wiedziała, że teraz będzie już zawsze szczęśliwa, że szczęście nigdy się nie skończy.

Wyglądali jak para przyjaciół, kiedy tak szli ulicami budzącego się miasta. Jakiś pijany wytoczył się z bramy kamienicy i bełkotliwie zawołał:

– Zabalowało się, co nie?

Olga odpowiedziała śmiechem. Zrozumiała słowa Ananke, wiedziała już, o czym mówił. To była prawda – anioły kochają wszystkich ludzi. I ona wszystkich kochała. Nawet tych złych. Nie było w niej już nienawiści, zazdrości, żalu ani pretensji. Wybaczyła każdemu, nie pamiętała win. *Tak trzeba*, pomyślała, *żeby móc z czystym sercem do nich mówić*. Na własnym przykładzie należy pokazać, jak powinno się żyć. We mnie nie może być fałszu. Potrzebowałam czasu, żeby zebrać dość sił na odrzucenie go, na prawdziwą miłość.

Ananke objął ją i się zatrzymał.

– Dokąd idziemy?

– To niespodzianka. Zobaczysz, już niedaleko.

Ruszyli w dalszą drogę. Na ulicach pojawiły się już autobusy i snuli się pierwsi przechodnie. Mijały ich samochody dostawcze wiozące świeże pieczywo do sklepów i taksówki rozwożące do domów tych, dla których wczorajszy wieczór dopiero teraz się

kończył.

Jeszcze słychać było śpiew ptaków, które choć dopiero niedawno rozpoczęły koncert, już za godzinę lub dwie miały być zagłuszone przez warkot samochodów.

Latarnie uliczne gasły powoli, przed osiedlowymi sklepikami zaczęli gromadzić się ci, którym pragnienie nie dawało dłużej spać. Od czasu do czasu zaszczekał pies, szczęśliwy, że nareszcie może opróżnić pęcherz. Śmieciarki z głośnym rumorem wciągały do brzuchów zawartości kontenerów, żeby wywieźć to wszystko, co przez ostatnią dobę wydaliło miasto.

Ananke zatrzymał się po raz kolejny. Odwrócił dziewczynę tak, że stali teraz, patrząc sobie w oczy.

– Wiesz, że nie mogę w nic ingerować? Będziesz musiała stawić temu czoło o własnych siłach. Czy masz już dość odwagi? Możesz się jeszcze wycofać, jeśli nie jesteś gotowa.

– A więc wiesz, dokąd idziemy?

– Jestem aniołem. Twoim opiekunem. Muszę wiedzieć.

Długo patrzyła mu w oczy. Nie odwróciła spojrzenia, nawet nie zamrużyła. To w tych oczach znalazła po raz pierwszy pewność. To w nich zobaczyła prawdziwą siebie. W końcu powiedziała:

– Powinieneś więc wiedzieć, czy mam dość sił. Znasz odpowiedź na każde pytanie, które zadałeś, więc po co pytasz?

– To jest ostatnia chwila, w której mam obowiązek dać ci wolny wybór.

– Chodźmy więc, szkoda czasu.



Widok był wspaniały. Przed Olgą roztaczała się panorama całego miasta. Bez trudu odnalazła swoje osiedle, dzielnicę, w której mieszkała matka, i inne miejsca doskonale jej znane. Pod stopami miała centrum; ulice zapełnione samochodami, sklepy, bary i biura. Chodnikami spieszyli ludzie, z tej wysokości podobni do ruchomych kropeczek. O tej porze tutaj koncentrowało się życie miasta, nie było lepszego miejsca na zrealizowanie jej zamiaru.

Aby się tu dostać, musiała pokonać prawie pięćset schodów. Policzyła je, bo chciała dokładnie pamiętać każdą chwilę tego dnia. Liczyły się szczegóły, w końcu to one tworzą wspomnienia. Z czasem o nich zapominamy, znikają w mrokach niepamięci... i w głowie zostaje nam jedynie zarys, wyobrażenie, nie prawdziwy opis tego czasu. Oldze zależało, żeby z dzisiejszym dniem tak się nie stało, pragnęła zapamiętać go wiernie i na wieczność.

Nikt ich nie zatrzymywał. Portier drzemał w recepcji, nie spodziewając się nikogo w ciągu najbliższej godziny. Drzwi z napisem „Wyjście ewakuacyjne” były otwarte. Ogromna przestrzeń dachu już po chwili okazała się niczym w porównaniu z przestrzenią wokół budynku. Olga czuła się jak rozbitek na malutkiej wyspie, zewsząd otoczona powietrzem i wiatrem.

Dach okalała barierka. Olga usiadła wprost na betonowej płycie, nogi opuściła tak, by swobodnie wisały w powietrzu, ręce oparła na dolnym pręcie barierki. Patrzyła w dół bez strachu.

– Widzisz, ilu ich tam jest? – zwróciła się do Ananke, który usiadł obok niej. – Stąd mogę do nich mówić. Zobacz, ilu mnie usłyszeli! Czy to nie doskonały pomysł?

Ananke nic nie odpowiedział. Zrozumiała, że nie odezwie się więcej, nie może. Była zdana tylko na siebie. Musiała zwrócić uwagę ludzi na to, co mówi. To było najtrudniejsze, bo żaden z przechodniów nie patrzył w górę. Wszyscy spieszyli do swoich spraw wpatrzeni w chodnikowe płyty, w milczeniu przebierając nogami. Miała nadzieję, że któryś z nich oderwie wzrok od ziemi, choćby po to, żeby sprawdzić, czy na niebie nie zbierają się chmury, i ją dostrzeże. Na razie nie miała wyjścia, musiała czekać.

Czekanie nie było uciążliwe. Tu, na górze, słońce prażyło mocno, ale powietrze było czystsze niż na dole. Od czasu do czasu ciepły wiatr omiatał jej twarz powiewem zbliżającej się wolności. To uczucie także starała się zapamiętać, zapisać w sercu.

Zastanawiała się, jak ci ludzie na dole zareagują na jej słowa. Nie miała gwarancji, że osiągnie zamierzony cel. Równie dobrze mogą ją wyśmiać, zlekceważyć, machnąć ręką na to, co mówi,

i pójść swoją drogą. Jeżeli jednak chociaż jeden człowiek się zatrzyma, wysłucha i poświęci chwilę na przemyślenie jej słów, to już będzie coś. Na dobry początek.

Olga się rozmarzyła. Gdyby przyjechała telewizja, jej przesłanie trafiłoby do wielu domów; mieliby szansę usłyszeć je nawet ci, których tu dzisiaj nie będzie. Ta myśl spodobała się jej, dawała nowe możliwości. Powinna o tym pamiętać i wykorzystać to, jeżeli nadarzy się okazja.

Mało brakowało, a nie zauważyłaby, że na dole zaczyna się coś dziać. Najwyraźniej ktoś jednak podniósł głowę i została dostrzeżona. Inni szli w ślady pierwszej osoby, stworzyli już sporą grupkę. Zadzierali głowy i wskazywali ją palcami. Pomachała do nich, co spowodowało poruszenie. Przechodnie wymieniali między sobą komentarze, gestykulując gwałtownie.

Zdecydowała, że pora zacząć wyglądać poważniej. Nie mogła beztrąsko machać nogami, mówiąc o tak poważnych sprawach. Nikt nie traktuje poważnie osób, które zachowują się jak dzieci. To kolejna konsekwencja oceniania ludzi jedynie na podstawie ich wyglądu. Nie mogła mieć o to pretensji do tych, co stoją na dole. Przecież nie znali jeszcze prawdy. To ona ma sprawić, że ją poznają.



– Jakaś wariatka jest na dachu! – wrzasnął wprost do ucha policjanta mężczyzna z wąsami, starając się przekrzyczeć ludzi napierających ze wszystkich stron.

– Pan wzywał radiowóz? – zapytał rzeczowo policjant, zsuwając służbową czapkę na tył głowy. Mimo że do południa zostały jeszcze dwie godziny, upał już mocno dawał się we znaki.

– Tak, ja. – Mężczyzna skwapliwie pokiwał głową.

– Ktoś zna tę kobietę? – Tym razem policjant zwrócił się w stronę gromady gapiów. Przez grupę przeszedł szmer, ale nikt nie przyznał się do rozpoznania postaci stojącej na dachu biurowca. – Trzeba wezwać strażaków i pogotowie – poinformował policjant

kolegę, który nie wysiadł z samochodu, tylko przez opuszczoną szybę starał się ocenić sytuację. Teraz sięgnął po nadajnik i krótkimi zdaniem przekazał komunikat do centrali.

– Proszę się odsunąć! – zakomenderował funkcjonariusz i tłum cofnął się o parę kroków. Stróż prawa nie miał pomysłu, co robić dalej. Nie przeszedł szkolenia, podczas którego nauczono by go, jak się zachowywać w podobnych sytuacjach. Ocierając pot z czoła, patrzył w górę, mając nadzieję, że kobieta nie zdecyduje się skoczyć, zanim przyjadą strażacy i lekarz.

Kiedy zza zakrętu wyjechał czerwony wóz, a z daleka dało się słyszeć syrenę pogotowia ratunkowego, policjant mógł odetchnąć z ulgą.

Zgromadzeni ludzie z ciekawością obserwowali sprawną akcję strażaków, którzy w miejscu, gdzie mogła spaść kobieta, w pośpiechu instalowali ogromny dmuchany materac.

– Myśli pan, że skoczy? – zapytał funkcjonariusza mężczyzna z wąsami, a w jego głosie dźwięczała jakby nutka nadziei na widok, który niewielu ludziom jest dany. Oglądać na żywo samobójstwo to lepsze niż reality show w telewizji.

– Bo ja wiem... – zastanowił się mundurowy. – Jakby chciała skakać, to już by skoczyła. Na co niby czeka? Na oklaski?

– Wstydziliby się pan! – krzyknęła histerycznie piskliwym głosem kobieta w średnim wieku, objuczona dwoma wypchanymi torbami z logo hipermarketu. – Ładną mamy policję, nie ma co! Zamiast działać, stoją i od samego stania są spoceni jak po ciężkiej pracy.

– Spojrzała z niesmakiem na plamy potu na służbowej koszuli.

– A co ja mogę? – Policjant wzruszył ramionami.

– Właż pan tam i nakłoń ją do zejścia! – z satysfakcją zapiszczała kobieta.

– Sama niech pani wejdzie, jak taka pani mądra. – Mężczyzna z wąsami stanął w obronie stróża prawa.

– Spokój! – zakończył rozmowę funkcjonariusz.

I bez tego ludzie zamilkli, bo kobieta na dachu podeszła do bariereki, wspięła się na nią i rozłożyła ręce. Tłum zebrany u stóp

wieżowca zaszemrał i umilkł. W tym momencie przy krawężniku jednocześnie zaparkowały dwa samochody. Z jednego wyskoczyło troje ludzi z kamerą i mikrofonami, natychmiast zaczęli rozkładać kable.

Z drugiego samochodu wysiadł mężczyzna w dzinsach i koszulce z napisem „I love NY”. Pewnym krokiem podszedł do policjanta i poprosił o rozmowę na osobności. Odeszli kilka kroków i półgłosem wymienili kilka zdań. Następnie mężczyzna poszedł w kierunku wejścia do biurowca, a policjant wrócił na poprzednie miejsce.

– Czy to policyjny negocjator? – Mężczyzna z wąsami był tak rozemocjonowany, że szarpał mundurowego za rękę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Będzie z nią rozmawiał? Jak na filmie!

Mundurowy stanowczym gestem odtrącił rękę mężczyzny.

– Tajemnica służbowa – odparł z poważną i tajemniczą miną. Sam tylko domyślał się roli mężczyzny, ale nie chciał utracić autorytetu u gapiów.



Olga była zadowolona z tego, co widziała. Na dole zgromadził się spory tłum, który rósł z minuty na minutę. Przyjazd straży i pogotowia uznała za niepotrzebny, za to czekała na telewizję. Może są bliżej wejścia? Wdrapała się na barierkę, żeby lepiej widzieć. Właśnie wtedy przyjechali. Przewidziała wszystko!

To była jej chwila, największa szansa, którą musi wykorzystać. Nadeszła pora, żeby powiedzieć ludziom prawdę o nich samych.

Olga rozłożyła szeroko ręce i głośno, tak głośno, jak potrafiła, zaczęła:

– Ludzie! Chcę wam powiedzieć o bardzo ważnych sprawach! Przede wszystkim musicie wiedzieć, że zostałam wybrana do przekazania wam tych informacji. Mam wam pomóc, mam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żebyście wybierali dobro i ocalili swoje dusze! Mam stać się aniołem! Otrzymałam dar odróżniania dobra

od zła, więc uwierzcie, wiem, co mówię! Jest ze mną anioł, ale wy nie możecie go zobaczyć! Ja też wkrótce stanę się aniołem!

Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. Spojrzała na Ananke, który siedział wsparty plecami o wystający z dachu przewód wentylacyjny. Nie umiała odczytać z jego twarzy żadnych uczuć, w oczach nie było podziwu, ale nie było też dezaprobaty. Widocznie nie mógł w takich chwilach okazywać emocji. *Pozostawia mi swobodę działania*, pomyślała. *Nie chce wpływać na to, co robię i mówię.*

– Posłuchajcie mnie! – kontynuowała. – Dostrzeżcie coś więcej niż opakowanie! Zniszczcie lustra! One tylko przeszkadzają! Nie pokazują prawdy, przesłaniają ją tylko! Żeby zobaczyć siebie, musicie popatrzeć w głąb!

Chyba jej słuchali. Przed chwilą gestykulowali, a teraz znieruchomieli z zadartymi w górę głowami. Patrzyli na nią bez słowa. Poczowała, że jej przesłanie trafia na podatny grunt. Nie mogła czekać, musiała się spieszyć, póki chcą słuchać, póki chłoną ważne słowa. Wierzyła, że raz usłyszana prawda zakiełkuje w ich sercach i będzie się rozpychać ze wszystkich sił, aż ją zrozumieją.

– Tylko kochając bliźnich, możecie zwyciężyć zło! Trzeba wybaczać, nie chować urazy! Najważniejsze, żeby nasza dusza miała dość miejsca, żeby się rozwijać! Każdy z nas może opuścić krępujące go ciało, wyjść poza nie! Wolność jest cudowna, kiedy się jej raz doświadczy! Czy nie chcielibyście bez skrępowania szybować w powietrzu? To możliwe, jeśli tylko przestaniecie dawać wiarę rzeczom i w nich upatrywać cel i sens życia! Uwierzcie w siebie! W prawdziwe ja, nie w skorupę, w którą zostaliście włożeni i o którą dbacie bardziej niż o duszę!

Ananke wstał. Olga, zaskoczona jego nagłym ruchem, zachwiała się i ledwie zdołała utrzymać równowagę. Tłum na dole zafalował i znieruchomiał ponownie.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Anioł nie odpowiedział. Olga zrozumiała jednak, że próbuje ją

przed czymś ostrzec. Odwróciła się i zobaczyła, że drzwi, przez które dostała się na dach, uchyliły się i pojawił się w nich mężczyzna.

Tego nie przewidziała. Musiała mieć przerażoną minę, bo uniósł rękę w uspokajającym geście i bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem powiedział:

– Niech się pani nie boi. Nie będę się zbliżał, jeżeli pani tego nie chce. Możemy porozmawiać?

Nie miała już czasu. Wiedziała, że ten człowiek jest tutaj po to, żeby sprowadzić ją na dół, a tam czekała karetka. Tym razem z pewnością będą jej pilnować i nie wiadomo, ile czasu upłynie, zanim opuści szpital. Jeśli w ogóle.

Spojrzała na Ananke, szukając u niego ratunku. Anioł stał nieruchomo na krawędzi dachu.

– Nie możesz mi pomóc?! – krzyknęła w popłochu. – Czy na tobie też się zawiodę?!

– A na kim się pani zawiodła? – zapytał mężczyzna z doskonale udawanym zainteresowaniem i troską, robiąc kilka kroków w stronę Olgi. Dziewczyna nawet tego nie zauważyła, bo w tym samym momencie anioł zrzucił koszulę. Oczom dziewczyny ukazał się cudowny widok. U ramion Ananke pojawiły się skrzydła. Rozłożył je. Były ogromne, czuła ich siłę. Machnął nimi kilka razy, podmuch uderzył ją w twarz. Zachwiała się, ale natychmiast odzyskała równowagę. Nieznajomy skorzystał z okazji i znowu zrobił kilka kroków w jej kierunku. Jeszcze dwa lub trzy i będzie mógł złapać desperatkę.

Olga zrozumiała, co anioł chciał jej powiedzieć. *Teraz albo nigdy*, pomyślała.

Nie czuła strachu. Przeciwnie. Miała moc. Zrobiła krok naprzód, puściła barierkę. Było tak, jak sobie wymarzyła. Poczuła, że kokon, w którym dotąd tkwiła, pęka i rozpada się. Nareszcie! Ulga, szczęście, wolność – mieszanina odczuć, od których kręciło się w głowie.

Lecę! – pomyślała. *Naprawdę lecę!*

Uwolniona Olga miała skrzydła! Tak samo duże i silne, jak te, które posiadał Ananke. Machanie nimi nie sprawiało żadnych trudności, nie było męczące. Spokojnym, równym lotem zniżyła się ponad ludzkie głowy. Widziała wyraźnie spoconego policjanta, przerażoną twarz starszej pani, zastygłego ze strachu i ciekawości mężczyznę z wąsami. Czy aż takie wrażenie zrobiło na nich to, co mówiła? Wreszcie dotarło do niej, co naprawdę wydarzyło się przed chwilą.

– Jestem aniołem! – wykrzyknęła, ile miała sił w płucach. – Ananke! Widzisz? Latam!

– Nie musisz krzyczeć, jestem obok. – Uśmiech anioła działał jak zawsze kojąco.

– Masz wspaniały uśmiech – powiedziała.

– Ty także teraz masz taki. Jesteś aniołem. Rozejrzyj się, jest nas więcej...

Olga podniosła wzrok. Ananke miał rację. Wokół niej i dalej, jak tylko mogła sięgnąć wzrokiem, nad ziemią widziała wiele podobnych do nich istot. Emanowało z nich dobro, które czyniło je pięknymi. Wydawało się, że trzepot tak ogromnej liczby skrzydeł powinien słyszeć każdy człowiek, a jednak nikt nie zwracał na to uwagi. Nikt z przechodniów nie zdawał sobie sprawy, że lekkie powiewy wiatru, które czuje na twarzy, nie są zwykłym zefirkiem, ale anielskim wiatrem. Anioły były wszędzie, cały czas w ruchu, zajęte obserwowaniem swoich podopiecznych. W pozornym chaosie ich lotu, ciągłym zawracaniu i zmianie kierunku nie było jednak niepokoju. Czuło się troskę, zainteresowanie, opiekuńczość. Olga nie zauważyła i nie odczuła żadnego zniecierpliwienia czy złości, tylko czystą, nieskalaną chęć niesienia pomocy. Anioły się nie narzucały, nie ingerowały w toczące się na ziemi życie, a jednak cały czas były gotowe wspierać potrzebujących. Otoczona tymi wspaniałymi, pełnymi siły istotami Olga z zapartym tchem obserwowała, jak spotykają się w locie, mijają, oddalają od siebie i znowu zawracają. Miała wrażenie, że wszystko, co dotąd wydawało jej się obłokami, było

tak naprawdę zastępami delikatnych, a jednocześnie mających wielką moc aniołów. Słyszała ich szepty, tworzące subtelną melodię. Była dumna, że może być jedną z nich.



Ludzie zgromadzeni przed najwyższym w mieście biurowcem obserwowali, co się dzieje, w milczeniu. Widzieli, że kobieta coś krzyczy, ale jej nie słyszeli. Potem na dachu pojawił się negocjator; powoli zbliżał się do kobiety, która zdawała się go nie zauważać. Niespodziewanie, kiedy już wszyscy zdążyli uwierzyć w szczęśliwe zakończenie, kobieta rzuciła się do przodu. Leciła w dół jak szmaciana lalka. Ludzie odwracali wzrok, odważniejsi z gapiów obserwowali upadek. Ciało nie trafiło w strażacki materac. Głucho uderzyło o chodnik. Nikt nie miał odwagi podejść. Nawet lekarz sprawiał wrażenie, że wolałby być w tej chwili gdzie indziej.

– Nigdy się nie dowiemy, dlaczego to zrobiła. – Mężczyzna z wąsami pierwszy przerwał milczenie.

– Taka tragedia! – Kobieta z siatkami postawiła je na ziemi, żeby wyciągnąć chusteczkę z torebki

Policjant, milcząc, przyglądał się, jak ekipa telewizyjna zwija kable.



Pogrzeb był skromny. Marianna była zdziwiona, gdy zobaczyła, że przed bramą cmentarza czeka kilka osób. Spodziewała się, że będzie żegnać córkę zupełnie sama. Tragiczna śmierć Olgi zaskoczyła ją, nie spodziewała się, że choroba córki jest tak poważna. Wyrzucała sobie, że wcześniej nie zauważyła objawów, że nie sprzeciwiła się zbieraniu aniołków. Teraz było za późno.

Stała pod gałęziami dębu rosnącego przy cmentarnym murze. Tuż przy nim wykopano dół, w którym miała spocząć jej córka. Ksiądz co prawda zgodził się przyjść, przyjmując wyjaśnienia o chorobie Olgi, ale tylko pod warunkiem, że miejsce pochówku będzie daleko od głównej alejki, przy samym murze. Choroba czy

nie, niewątpliwie była to śmierć samobójcza, więc na specjalne względy nie można było liczyć za żadne pieniądze.

Marianna przyglądała się ludziom stojącym wokół trumny. Oprócz niej przyszła pani Stanisława, trochę ze współczucia i sympatii dla Marianny, a trochę z ciekawości, bo nigdy nie była na pogrzebie samobójcy. *Tamtych dwojga nie znam*, pomyślała, patrząc na Janusza Leszczyńskiego i Teresę Jawor. Lekarz o wszystkim dowiedział się od kolegi psychiatry. Trzymająca się jego ramienia Teresa tak bardzo chciała pożegnać dziewczynę, że Leszczyński uległ jej prośbom, wyprosił przepustkę dla niej i wziął na siebie odpowiedzialność za powrót kobiety do szpitala.

Z drugiej strony stał Gabor. Marianna nie spodziewała się, że go tu zobaczy. Jeszcze bardziej zdziwiona była widokiem towarzyszącej mu osoby. Izka, koleżanka córki, nawet przy tak smutnej okazji potrafiła wyglądać pociągająco. Przypominała wdowę po szefie mafii – młoda, w czarnym kostiumie i czarnych okularach, na głowie chustka związana do tyłu wzorem Sophii Loren. O krok od nich przystanęła Kaśka. Wyglądała na naprawdę przejętą, miała zaczerwienione oczy.

Jeszcze jedna postać stała w pewnym oddaleniu od reszty żałobników. Filip postanowił pożegnać kobietę, która tak nieoczekiwanie pojawiła się w jego życiu i tak wiele w nim zmieniła. Nie czuł się pewnie, nie wiedział, czy rodzina życzyłaby sobie jego obecności. Rozglądał się, czekając na rozpoczęcie ceremonii. Silniejszy powiew wiatru sprawił, że zaszumiały liście dębu rosnącego przy grobie. *Ładnie tu*, przemknęło przez głowę chłopakowi i natychmiast ta myśl wydała mu się niewłaściwa. A jednak nie umiał jej się pozbyć. Nieco zawstydzony odwrócił wzrok, jakby ktoś z obecnych mógł z oczu wyczytać, o czym myśli. Spojrzał w głąb alejki i wydało mu się, że na jej końcu widzi Olgę i mężczyznę, którego kiedyś spotkał na osiedlu. Rozmawiali, gestykulowali i sprawiali wrażenie radosnych.

Filip zerknął na pozostałych żałobników, ale chyba nikt inny nie widział tego, co on. Znowu przeniósł wzrok w tamtą stronę, ale nie

zobaczył już nikogo.

Wiatr przybrał na sile i sprawił, że gałęzie dębu zaszumiały uspokajająco.



Filip odszedł od grobu ostatni. Patrzył długo na mogiłę przykrytą wieńcem od matki i kilkoma bukietami przyniesionymi przez innych. Czy to możliwe, żeby tam, w ziemi, była ona, kobieta tak inna od wszystkich, które spotkał w życiu? I to miał być koniec? Nie podobało mu się to.

Jak niewiele osób przyszło na pogrzeb, pomyślał. A ona chciała pomagać ludziom. Naprawdę była głupia. I naiwna. Proszę bardzo, jak jej podziękowali.

Chłopak spojrział na zegarek. Na niego czas, musi zdążyć na dyżur. Ordynator postawił twarde warunki – jedna wpadka i odsyła go do koszar. Poza tym nie chciał zawieść zaufania, którym obdarzył go doktor Leszczyński. Tylko dzięki niemu udało się tak szybko załatwić zamianę służby wojskowej na pracę w szpitalu. Spotkali się wieczorem, po ucieczce Olgi ze szpitala. Mężczyzna szukał jej na osiedlu. Filip powiedział mu o wszystkim. Wspólne poszukiwania sprawiły, że zawiązała się między nimi nie sympatii. Dziewczyna połączyła ich losy.

Lekarz był pierwszą osobą od wielu lat, która bezinteresownie chciała mu pomóc. Zadzwoił, powiedział o zgodzie ordynatora oddziału i jakichś innych „ważnych osób” i kazał napisać podanie. Filip usiadł przy biurku nad czystą kartką. Chciał jak najlepiej uzasadnić swoją prośbę, od niej zależało tak wiele w jego życiu. Wtedy przypomniał sobie spotkanie z dziwnym mężczyzną. Zrozumiał, co tamten chciał mu przekazać. Do tej pory jego życie przypominało raczej stos zamazanych kartek, których nie chciałby nikomu pokazywać. Postanowił to zmienić, a początkiem zmian miał być leżący przed nim kawałek papieru.

Wspomnienia przerwał pies, który przyplątał się nie wiadomo skąd. Podeszedł do Filipa i z zaciekawieniem obwąchiwał mu

nogawkę.

– Poszedł stąd! – krzyknął Filip i chciał kopnąć zwierzaka, ale ten sprytnie uskoczył i zniknął między grobami.

Chłopak szybkim krokiem szedł w kierunku bramy cmentarza. Jeżeli chciał zdążyć do szpitala, powinien się pospieszyć. Zbyt długo stał nad grobem i teraz musiał nadrobić stracony czas. Nagle z bocznej alejki pędem wybiegł przegoniony przed chwilą zwierzak i zatrzymał się kilka kroków przed nim. W zębach niósł czapkę.

To moja, zdumiał się Filip. Musiała wypaść mi z kieszeni podczas pogrzebu.

– Oddaj! – zażądał.

Pies posłusznie położył czapkę na ziemi. Nie odsunął się jednak od niej i chłopak, chcąc odzyskać swoją własność, musiał do niego podejść.

– Dobry piesek. – Starał się nie drażnić zwierzęcia. – Grzeczny. Nic ci nie zrobię, nie bój się.

Przyjrzał się psu z bliska. Nie był ładny, a już z pewnością nie rasowy. Puszysty, owszem, ale łapy miał krótkie i krzywe. Za to mordka sympatyczna. I bez wątpienia był mądry.

– Dzięki za czapkę. Lubię ją, byłoby szkoda, gdybym ją zgubił.

Ruszył w stronę szpitala, prawie biegnąc. Kilka kroków za nim biegł pies.

– Czego chcesz? – Chłopak zatrzymał się, dysząc. – Dobra, należy ci się znaleźne. Tylko ja najpierw muszę do pracy. Jak się spóźnię, to mnie wyleją.

Zobaczył nadjeżdżającą taksówkę. Staruszka wysiadła przed bramą cmentarza. Filip nie zastanawiał się długo. Chwycił psa i wsiadł do samochodu. Miał wrażenie, że ktoś odprowadza go spojrzeniem. Odwrócił się, ale przed bramą cmentarza nie zobaczył nikogo.

KONIEC

Karolina Wilczyńska
Kielce 2007

Owoce miłości czyli czwarta część cyklu „Rok na Kwiatowej”



Pierwszy wspólny rok na Kwiatowej dobiega końca... Zajrzyj do swoich ukochanych przyjaciółek i przekonaj się, jak potoczą się ich losy.

Wioletta jest pewna, że jej małżeństwo się rozpada. Mimo kryzysu i nadmiaru matczynych obowiązków, kobieta chce aktywnie spędzać czas. Tylko czy znajdzie go wystarczająco dużo, by realizować nową pasję? Co wyniknie z jej spontanicznego pomysłu?

Karolina Wilczyńska przekonuje nas, że miłość zwycięża wszelkie nieporozumienia, by wydać swoje owoce. Lecz piękny finał nie

musi oznaczać końca bajki – czasami w życiu to dopiero nowy początek...

„Rok na Kwiatowej” to pełne kobiecych emocji powieści, z którymi zechcesz się zaprzyjaźnić!

**W obiektywie wspomnień – ósmy tom bestsellerowego cyklu
„Stacja Jagodno”**



Daj się porwać subtelnej opowieści o malowniczej miejscowości w Górach Świętokrzyskich, w której ponadczasowość łączy się z urokiem chwili.

Hubert przyjeżdża do Jagodna, by uwiecznić jego wyjątkowy klimat w albumie okolicznościowym, zamówionym przez wójta. Fotograf wpada na pomysł włączenia do niego starych portretów rodzinnych – zazwyczaj to one skrywają najciekawsze historie, związane z danym miejscem. W jaki sposób jedno zdjęcie sprzed

lat może wpłynąć na mieszkańców Jagodna?

Jeśli ciekawi cię, co tym razem los przyniesie Twoim ulubionym bohaterom i jakie tajemnice nie zostały jeszcze wypowiedziane na głos, sięgnij po najnowszy tom bestsellerowej sagi!



SPIS TREŚCI

I

II

III

IV

V

Polecamy również